

**Tadeusz KostECKi**  
**(Krystyn T. Wand)**  
**Kanion Słonej Rzeki**



## **MORDERSTWO**

Całe wieki upłynęły, zanim brunatne, wartko toczące się nurty zdołały wyźłobić w twardej skale ten kanion.

Nazywał się po prostu Kanionem Słonej Rzeki, tak samo jak po prostu nazywała się Słona rzeka, która go wyźłobiła. Kanion i rzeka nazywały się tak od niepamiętnych czasów. Zanim jeszcze na brzegu rzeki powstała noga białego człowieka, liczne plemiona indiańskie, przemierzające kanion, nazywały już rzekę Słoną, woda bowiem w niej miała naprawdę mocno alkaliczny smak. Prawdopodobnie gdzieś, podczas swej wędrówki poprzez skały, przepływała przez pokłady solne czy też potasowe.

Nurty Słonej Rzeki były martwe. W jej wodzie nie mogło żyć żadne stworzenie. Nikt nigdy, odkąd oko ludzkie oglądało ciemne fale Słonej Rzeki, nie widział w nich ani jednej ryby, ba, nawet komary nie mogły żyć na jej kamienistych brzegach.

Kanion, przez który przepływała Słona Rzeka, był również martwy.

Poszarpane, znikające w chmurach krawędzie otaczających go skał oraz nierówno zwalone jedne na drugich głazy na brzegach rzeki - to wszystko.

Ani śladu jakiegokolwiek roślinności, ani śladu jakiegokolwiek, choćby najmniejszej zwierzyny.

Woda Słonej Rzeki nie mogła zaspokoić pragnienia, nie mogła dać sił żywotnych roślinom.

Od chwili, gdy jakieś dwadzieścia lat temu wysadzone dynamitem skały otworzyły przejście przez Przełęcz Generała Readera, ludzie zaczęli unikać Kanionu Słonej Rzeki.

Droga przez przełęcz była znacznie krótsza i... przyjemniejsza. Nie było już potrzeby zapuszczania się w ponury półmrok, panujący wiecznie w kanionie. Nie było potrzeby prowadzenia ze sobą jucznych zwierząt, obładowanych bukłakami z wodą, nie było wreszcie potrzeby wdychania w udrećzone płuca ciężkiego, przesyconego solą powietrza.

Kanion zupełnie opustoszał. W ostatnich czasach opowiadano, że w pustynnym wąwozie znaleźli przytułek ludzie szukający schronienia przed karzącą ręką sprawiedliwości.

Piotr Caudreau nie przejmował się tym wszystkim, co opowiadano o kanionie. Nic go nie obchodziła jego pustynna ponurość. Cóż z tego, że to była pustynia, skoro opowiadano także o złocie ukrytym pod załomami skalnych brzegów?

Inni przez długie lata szukali tego złota i nie znaleźli. On szukał zaledwie parę miesięcy i... znalazł.

On i jego towarzysz podróży, don Francesco Almawira, jak kazał siebie nazywać, po prostu Frank, jak nazywał go Caudreau. Też łotrzyk

spod ciemnej gwiazdy, człowiek niewiadomego pochodzenia ale dzielny towarzysz.

Znaleźli złoto.

Nie były to wprawdzie bajeczne skarby, po które wystarczy sięgnąć ręką. Nie, złoto wypełniające spory skórzany worek, stojący w tej chwili pomiędzy nimi, było tylko złotym piaskiem. Każde jego ziarnko opłacone zostało wielkim trudem. Każdą grudkę matowego, żółtego metalu okupili udawką pragnienia i krwią, wydobywającą się z płuc przeżartych słonym powietrzem.

Praca już dobiegła końca. W całym kanionie nie zostało ani odrobinki cennego pyłu. Przeszukali wielokroć każdą najmniejszą nawet szczelinę pomiędzy kamieniami.

Nadszedł wreszcie, wymarzony w czasie długich godzin męki w tym piekle, moment opuszczenia kanionu.

Nędzne zasoby, stanowiące cały ich dobytek przez te nieskończone włokące się miesiące, zostały już spakowane. Teraz miało być inaczej. Skórzany worek zawierał w sobie fortunę. Ale...

Byli już gotowi do podróży, jednak nie ruszali się z miejsca. Nietrudno było podzielić złoty piasek, którego każdy najmniejszy okruszek ważyli nieskończoną ilość razy... Ociągali się przecież z podziałem. Znali niemal co do centa wartość swej zdobyczy... To był majątek dla... jednego.

Dla dwóch te kilkadziesiąt tysięcy dolarów, jakie można było osiągnąć za zawartość worka, stanowiło zaledwie... dostatek.

Dostatek za te potępieńcze męki, za zrujnowane zdrowie? Czyż można uważać to za wystarczający ekwiwalent?

Te same myśli tłukły się pod czaszkami obydwóch.

Dlatego właśnie zwlekali z dokonaniem podziału zdobyczy. Siedzieli nieruchomo w miejscu będącym jeszcze przed kilkoma godzinami ich obozowiskiem, kurząc resztki cuchnącego tytoniu w fajkach.

Obrzucali się ukradkiem baczными spojrzeniami. Te same myśli kłębiły się w ich głowach i... obydwaj o tym wiedzieli.

Pozbawieni byli jakichkolwiek skrupułów. Nie mieli zwyczaju cofać się przed czymkolwiek, gdy coś im stanęło na drodze w zdobyciu upragnionego celu.

Jeżeli dotychczas jeszcze obydwaj żyli, to dlatego, że pochwy ich rewolwerów pozostawały stale otwarte, a śpiąc, przymykali tylko jedno oko. Każdy z nich rozumiał, że mocny sen mógł się stać snem wiecznym.

Znali się nawzajem zbyt dobrze. Zresztą w czasie pracy byli sobie potrzebni. Ta robota nie mogła być wykonana przez jednego. Teraz już skończyli pracę.

Popękane, pokryte stwardniałymi odciskami dłonie spoczywały niedbale na biodrach. W pobliżu główki rewolwerów.

Może po raz pierwszy w życiu ręce ich nosiły na sobie ślady pracy.

Zbliżał się moment rozwiązania spółki. Żaden nie chciał być tym, który swą część otrzyma w postaci kilku uncji ołowiu. Raczej tym drugim.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Ktoś, patrzący na nich z pewnej odległości, odniósłby wrażenie, że ma przed sobą dwóch przyjaciół pograżonych w szczerej pogawędce.

A przecież w sercach ich gorzało pragnienie mordy.

Woreczek nie mógł wystarczyć na dwóch. To było jasne.

Caudreau miał przewagę nad swym przeciwnikiem. Indiańska krew w jego żyłach pozwalała mu zdobyć się na wyczekanie właściwego

momentu.

Almawira nie chciał już dłużej czekać. Uważał, że długie miesiące czekania były wystarczające. Ponosiła go żądza posiadania całego złota.

Caudreau opuścił nieznacznie dłoń na drewnianą rękojeść rewolweru. Żółte ogniki migocące w oczach Hiszpana ostrzegły go. To się niedługo zacznie.

Obserwował spod współprzymkniętych powiek brutalne palce Almawiry, pełznące podstępным ruchem ku gładkiej kolbie colta.

Aha - pomyślał z triumfem - więc nie wytrzymał!

Odpowiadało mu pod każdym względem, by Hiszpan pierwszy sięgnął po rewolwer.

Co do tego, że zdąży wystrzelić, zanim tamten się na to zdobędzie, nie miał żadnych wątpliwości, rewolwer zaś w ręku trupa da mu ochronę w razie wścibskich dociekań szeryfa. Oczywista obrona konieczna.

Czekał, nie spuszczać ani na moment baczności z przeciwnika. Rozmawiał w dalszym ciągu o rzeczach obojętnych.

Almawira poruszył się niespokojnie. Miał już dosyć tych przygrywek.

- A ja uważam - oświadczył, niespodziewanie podnosząc się na nogi - że powinienem otrzymać co najmniej trzy czwarte naszej zdobyczy.

Jego prawa ręka całkiem niedwuznacznie spadła na głównię rewolweru.

To, co powiedział, nie było propozycją. Nie zgodziłby się na utratę choćby jednej uncji złotego piasku. To było po prostu wyzwaniem do walki.

Metys trwał bez ruchu, obserwując Hiszpana spod przymrużonych

powiek.

- O - wycedził leniwie - a dlaczegóż to chciałbyś otrzymać aż trzy czwarte zamiast umówionej połowy?

Hiszpan osłupiał. Był przygotowany na wybuch ze strony Caudreau, ale na rozmówki?

Mimo wszystko nie mógł jakoś strzelać do siedzącego nieruchomo.

- Bo tak - burknął. - A właściwie powinienem otrzymać całość...

To już było zupełnie wyraźne. Chciał jak najprędzej zakończyć całą sprawę.

Caudreau wzruszył obojętnie ramionami. Czekał, aż Hiszpan wyciągnie rewolwer z pochwy. Nie tkwiło w tym właściwie żadne niebezpieczeństwo. Almawira, jak to już miał niejednokrotnie możliwość przekonać się, zabierał się do rewolweru całkiem niezdarnie, podczas gdy on...

O, Caudreau był bez najmniejszych wątpliwości przekonany o swym mistrzostwie na tym polu. Mógłby dawać popisy na jarmarkach... zresztą w rzeczywistości i to zdarzało się już kiedyś w jego bogatej karierze życiowej.

- Nie zawracaj głowy - mruknął pogardliwie. - Ja zabiorę całość, a tobie wypłacę coś niecoś za pracę...

Wystarczyło. Hiszpan szarpnął się jakby smagnięty biczem, wyciągając rewolwer.

Nie zdążył jednak skierować wylotu lufy w stronę Metysa.

W brunatnej ręce błysnęła stal. Huknął strzał i Hiszpan, uderzony pociskiem w samo serce, zwałił się bez dźwięku na kamienie. Jego palce kurczowo obejmowały rękojeść broni.

Caudreau był zupełnie zadowolony.

Kopnął sztywniejące zwłoki. W takich przypadkach nie można było zaniedbywać żadnej ostrożności, miał przecież pod tym względem niejaki doświadczenie.

Odetchnął z ulgą. Hiszpan był niewątpliwie martwy!

Brunatny skórzany woreczek napełniony drogocennym kruszcem należał do niego. Tylko do niego.

- No - zawołał w przestrzeń - ktoś teraz może powiedzieć, że to nie była obrona konieczna?

- Ja to powiem! - zabrzmiał od strony wylotu kanionu chłodny, obcy głos.

## **PECH JACKA BANDERY**

Metys osłupiał, zwracając się gwałtownym ruchem w stronę, z której dobiegł go niespodziewany dźwięk.

Spoza sterczących niemal tuż nad brzegiem rzeki głazów wysunął się jeździec, trzymając rewolwer wycelowany w pierś Caudreau.

Jeździec zatrzymał ostro konia, niemal tuż przed zabójcą.

- Nic ci nie przyjdzie z morderstwa - oświadczył, przeszywając Metysa ostrym wzrokiem, zdającym się wwiercać aż pod czaszkę - widziałem całą scenę od początku. Nie zdążyłem ci przeszkodzić w zamordowaniu twego towarzysza, ale za to przybyłem w sam czas, by cię doprowadzić do najbliższego szeryfa. Szubienica tęskni za tobą.

Caudreau ocenił sytuację. Właściwie nie miał żadnych szans. Skoro tamten trzyma palec na spuście, a lufa jego broni o mały włos nie dotyka

piersi? Sam wciąż jeszcze miał w ręku swój rewolwer. Tamten nie kazał mu go rzucić ani podnieść rąk do góry. Musiał być widocznie nowicjuszem w tego rodzaju sprawach.

Spojrzał uważnie na niespodziewanego przybysza.

Stężale w bacznej uwadze rysy nie były angielskie. Wymowę miał prawidłową, ale dźwięczał w niej jakiś obcy akcent.

Caudreau miał duże doświadczenie w określaniu narodowości ludzi, z którymi się stykał. Włóczył się przecież niemało po świecie. Tu jednak miał trudności.

Twarz wskazywała raczej na Niemca, czemu przeczył śpiewny akcent. Może Włoch? W każdym razie ktoś nietutejszy. Jakiś włóczęga, taki sam jak i on. To mogło uprościć sprawę.

Metys nie miał zwyczaju rozpaczać.

Chciał ratować choć część zdobyczy.

- O co ci chodzi? - zapytał po chwili, patrząc obojętnie w wylot wycelowanej w siebie lufy - chcesz się podzielić? - Ruchem głowy wskazał pękaty woreczek stojący na kamieniach w bezpośredniej bliskości trupa.

- Podzielić? - wycedził przez zęby jeździec. - Łupem z morderstwa?

- W jego głosie brzmiała pogarda.

Metys wcale się tym nie przejął. Pogarda ludzka nie była czymś, co by go mogło wyprowadzić z równowagi. Za często się bowiem z nią stykał. Tu chodziło o sprawy całkiem realne. Z jednej strony szubienica, z drugiej zaś nadzieja uratowania choćby cząstki złotego piasku. Czyż mógł się w takich warunkach bawić w jakieś tam subtelności?

Wzruszył beznamiętnie ramionami, podnosząc oczy najeźdźca.



- Powiedz mi, co cię ta sprawa właściwie obchodzi? - zapytał spokojnie. - W końcu w tym woreczku jest złoty piasek za kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Możemy się spokojnie podzielić i rozejść w zgodzie...

- Milcz! - krzyknął jeździec, marszcząc się z obrzydzenia na tę propozycję. - Pytasz, co mnie obchodzi? Musi mnie obchodzić morderstwo rabunkowe popełnione na moich oczach. Skoro byłem świadkiem mordu, jestem zmuszony zatańczyć cię do szeryfa... taki już mój pech...

Nerwy Metysa napięły się niby struny.

- Więc mnie nie puścisz? - głos jego obniżył się o jeden ton.

- Nie! - pokręcił przecząco głową jeździec.

- Nawet za cenę... całego złota? - wykrztusił z wysiłkiem Metys. Ostatecznie w tej chwili najważniejsze było wycofanie się spod wylotu lufy... później można będzie sprawę naprawić.

- Dość już tego gadania - przeciął energicznie rozmowę jeździec. Głos jego brzmiał zupełnie stanowczo. Nie można było żywić nadziei na polubowne załatwienie sprawy. Caudreau rzucił ukradkowe spojrzenie na rękę trzymającą rewolwer. Skoro nie było innego wyjścia...

- Rzuć broń! - krzyknął jeździec, dostrzegłszy zielonkawy płomień zabłysły nagle w czarnych oczach Metysa.

Opuszczona dotychczas ręka Caudreau szarpnęła się gwałtownym podrywem w górę. Z lufy jego colta buchnął płomień. Coś z piekielną siłą uderzyło jeźdźca w pierś. Zachwiał się bezwładnie na siodle. Bezwiednym, instynktownym ruchem pociągnął dwukrotnie za cyngiel.

Jak przez gęstą mgłę zobaczył nikłe ogniki wystrzałów. Już nie wiedział, czy kule trafiły. Zwalił się ciężko z siodła na kamienie, tracąc

przytomność.

Obudziło go dotkliwie zimno, przenikające całe ciało. Otworzył z wysiłkiem oczy. Wydawało mu się, jak gdyby na jego powiekach leżały gniotące ciężary. W kanionie panowała zupełna ciemność. Nie mógł się zorientować, jak długo tak przeleżał nieprzytomny.

Co się stało z Metysem? - rozmyślał apatycznie, usiłując bezskutecznie przebić wzrokiem otaczający go mrok. - Pewnie uznał mnie za trupa i pojechał sobie - zdecydował wreszcie, nie dostrzegając żadnego ruchu na brzegu rzeki.

Przesunął delikatnie prawą ręką po powierzchni brezentowej kurtki. W okolicy lewej piersi palce jego napotkały na wznórek zaskorupiałej krwi.

Gdy spróbował odchylić materiał bluzy, poczuł wreszcie dotkliwy ból, przeszywający całe ciało. Pozostawił ranę w spokoju. Nie było mowy, by zdołał ją po ciemku opatrzyć. Wyciągnął się na kamieniach, przyjmując jak najwygodniejszą pozycję. Wkrótce zapadł w gorączkowy półsen.

Ciekawe - rozmyślał tępo - czy dożyję do rana.

Nie wiedział, jak długo trwało, zanim mrok zszarzał. Chłód stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

Ciałem wstrząsał febryczny. Zęby dzwoniły, uderzając jedne o drugie. Czuł się z każdą chwilą coraz gorzej.

Trzeba było coś przedsięwziąć. Zdawał sobie doskonale sprawę z grożącej mu nieuchronnie śmierci w razie dalszego bezruchu.

Zwłókł się w ostatecznym wysiłku. Gdy zdołał wreszcie tego dokonać, pot wystąpił mu na czoło, pomimo przejmującego zimna panującego w wąwozie.

W odległości kilku metrów czerniały na brzegu dwa nieruchome kształty.

Dwa? - starał się mozolnie rozwiązać zagadkę.

Na chwiejnych, uginających się nogach podszedł bliżej. Szkliste oczy Metysa patrzyły nieruchomo w niebo.

Ostrożnie, końcem buta dotknął leżącego. Metys był martwy, jego zwłoki zdążyły już zeszywnieć.

Poczuł niespodziewanie uczucie mdłości. Nigdy jeszcze dotąd nie zabił człowieka.

- Ba - wyszeptał - taki pech... niemal u samego celu podróży... - Odwrócił się plecami do trupów. Szkliste oczy Metysa budziły w jego sercu niezrozumiałą trwogę. Trup człowieka, którego zabił!

Dowlókł się do głazów, omywanych przez brunatne nurty, opuszczając się ciężko na kolana.

Brutalnym szarpnięciem oderwał przylepioną do rany bluzę. Zabolało piekielnie, ale na to nie było rady. Za wszelką cenę trzeba było jako tako opatrzyć ranę.

Nie mógł przecież czekać na pomoc. Kanion wydawał się zupełnie pustynny.

Zapieкло przeraźliwie. Czerwone płaty zamigotały mu przed oczyma. Nie wiedział przecież, że woda jest przesycona solą.

Po chwili zrobiło mu się nieco lepiej. Zaczął niezdarnymi ruchami bandażować ranę zdjętą z szyi chustką.

Byle tylko jak najprędzej wydostać się z tego ponurego kanionu - wpatrywał się z napięciem w mętne nurty rzeki. Za plecami czaiła się groza. Sam... pośród tej kamienistej pustyni z dwoma trupami! Nie czuł

żadnego lęku w chwili, gdy ujrzał wycelowany w swą pierś rewolwer Metysa, ale teraz?...

W odległości kilku metrów od niego stał nieruchomo jego koń, zwiesiwszy ponuro głowę nad ciemną wodą. On już wiedział, że ta woda nie może zaspokoić pragnienia.

Ujrzawszy swego konia odetchnął z ulgą.

Skoro Bartek nie uciekł, miał szansę wydostać się z tej pułapki śmierci.

Gwizdnął cicho. Mustang odwrócił łeb i przybiegł do niego długimi susami.

- Dobry Bartek, dobry - pogłaskał go po gorących nozdrzach. Dziwnie nie pasowała ta obco brzmiąca nazwa do kresowego mustanga, ale koń przyzwyczał się do niej bardzo szybko.

- Mamy pecha, Bartku - mruknął, chwytając się oburącz lęku siodła.

Nagle, w momencie gdy z wysiłkiem zaczął się gramolić na siodło, drgnął usłyszawszy niespodziewany odgłos.

Od wylotu kanionu dochodził wyraźny tętent licznych kopyt. Bartek zastrzygł niespokojnie uszami.

Ranny niepewnie spojrział na trzech jeźdźców, nadjeżdżających galopem od strony wylotu kanionu. Jeżeli żywili jakieś wrogie zamiary, było już po nim. Nie był w stanie stawić żadnego oporu.

- Otóż to - zawołał jeden z nich, kierując lufę w pierś rannego - tym razem wpadłeś, chłoptysiu. Rączki w górę... jeżeli łaska! - W głosie jego zabrzmiały nuty wyraźnej groźby.

Podniósł prawą rękę, o poruszeniu lewą nie było mowy. Jeździec w

skórzanym ubraniu zręcznie zeskoczył z siodła i podszedłszy do niego, wprawnym ruchem przesunął ręką po kieszeniach jeńca. W oczach jego załśniło zdumienie.

- Nie masz broni? - Spojrzał badawczo. - Aha - schylił się podnosząc z kamienia wielkiego colta. - Przed śmiercią zdołali cię trochę trzepnąć? Ale to nic nie szkodzi. Dla szubienicy jesteś jeszcze dostatecznie żywy.

Teraz dopiero ranny dojrzał niewielką srebrną gwiazdkę po prawej stronie skórzanej kamizelki.

- A... więc szeryf - bąknął.

- Tak - skłonił się ironicznie - właśnie szeryf. Tylko nie mów, że jest ci z tego powodu bardzo przyjemnie, bo ja jestem tym szeryfem, który cię zaprowadzi na szubienicę.

Nie mógł zrozumieć, o co szeryfowi chodzi. W jego głowie kłębiły się poplątane myśli, spowite oparami gorączki.

- Na szubienicę... - powtórzył niezbyt przytomnie. - Mnie?... O! - straszna myśl błysnęła w jego mózgu. - Czyżby mnie szeryf podejrzewał o... - urwał, wskazując ręką trupy.

Szeryf wybuchnął na to pytanie głośnym śmiechem.

- Dobry sobie, co? - zwrócił się do swych towarzyszy, przysłuchujących się w milczeniu rozmowie. - Pyta, czy go podejrzewamy.

Ładne podejrzenie - parsknął, wpierając znów wzrok w rannego - przecież ujeliśmy cię na gorącym uczynku...

- Ja... - bąknął słabym głosem. Przed oczyma wirowały mu coraz gęstsze czerwone pląty. Czuł, że za chwilę straci przytomność.

- Daj spokój - machnął lekceważąco ręką szeryf - nie będziesz chyba chciał nam wmawiać jakichś tam historii. Może sami się pomordowali, co?

- zapytał zjadliwie.

- A... jednak tak było - potwierdził beznadziejnym tonem ranny - to jest... jeden z nich zastrzelił drugiego... a ja musiałem tego mordercę... zabić we własnej obronie... - Zdawał sobie sprawę z całego nieprawdopodobieństwa opowiadanego przebiegu wypadków.

Szeryf wzruszył ramionami.

- Wstydzilibyś się - oświadczył dobitnie. - Nie namawiam cię do przyznania się, bo w tych warunkach jest ono i tak zupełnie zbędne, ale w każdym razie mógłbyś nam oszczędzić tych andronów. Trzeba umieć zachować się z godnością. Wpadłeś paskudnie i na to już nie poradzisz, plotąc bzdury...

Ranny jednak nie miał zamiaru dać się z godnością powiesić.

- Było... tak, jak mówiłem... - powtórzył z uporem - jakież miałbym cel mordować tych ludzi, których widziałem po raz pierwszy w życiu?

- Jaki cel? - powtórzył przeciągle szeryf. Schylił się i rozwiązawszy skórzany worek stojący na kamieniach, zajrzał ciekawie do wnętrza.

- Ot właśnie, taki cel. - Wydobył z worka garść złotego piasku, podtykając go niemal pod nos rannego. - Złoto. Ten woreczek wart jest co najmniej kilkadziesiąt tysięcy. Cel zupełnie wystarczający, by zamordować nawet kilku ludzi...

Ranny ciężko usiadł na kamieniu.

- Strzeliłem tylko do Metysa, w chwili gdy usiłował mnie zabić - powtórzył bezbarwnie.

Szeryf przesunął bębenek podniesionego z ziemi colta.

- Brakuje dwóch naboju! - oświadczył - a znajdziemy je na pewno w ciałach zastrzelonych.

Przyklął nad trupami, manipulując coś przy nich wyjętym z kieszeni nożem. - Proszę - podniósł triumfująco na dłoni dwa okrwawione kawałki stali. - Tak jak przypuszczałem: po jednej kuli w każdym. A kulki z colta, kaliber 32... pasują do twojej pukawki jak ulał. Czy jeszcze będziesz się upierał?

Ranny podniósł na niego zamglony wzrok.

- Widocznie Metys miał też colta kaliber 32 - oświadczył z wysiłkiem.

- Co? - spojrzał na niego zdumiony szeryf - jeszcze zaprzeczasz? Podszedł niechętnie do trupów, wyjmując rewolwer z zeszywniałych palców Metysa.

- O - mruknął - pod tym względem masz rację. Rzeczywiście colt 32. Ale co z tego?

Głos jego jednak stracił nieco ze swej początkowej pewności.

- To z tego - ożywił się ranny - że może być wszystko tak, jak wam opowiedziałem. W moim ramieniu znajdziecie na pewno także kulę z colta.

- Ale przecież w twoim rewolwerze brakuje dwóch naboju? - bąknął niezdecydowanie szeryf.

- Jak wam mówiłem, strzelałem będąc już rannym - wyjaśnił. - Druga kula poszła w świat. W rewolwerze Metysa też brakuje na pewno dwóch kul, jeżeli nawet nie więcej...

- Hm - chrząknął szeryf, obejrzawszy rewolwer - brakuje dwóch...

- No widzicie. Jedna z nich utkwiała w ciele czarnowłosego, druga zaś w moim ramieniu.

Szeryf westchnął żałośnie. Teraz to wszystko, co mówił ranny, nie

wydawało mu się już tak bardzo pozbawione sensu. Zdołał zidentyfikować zabitych: dwóch łotrzyków spod ciemnej gwiazdy o ustalonej reputacji. Niewątpliwie byli zdolni pomordować się wzajemnie dla daleko mniej cennego łupu aniżeli zawartość skórzanego woreczka. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. A nieznajomy?... Prawda, o nim nic jeszcze dotychczas nie wiedział.

Postanowił natychmiast naprawić to zaniedbanie. Podchodząc do rannego, miał mniej stanowczą minę. Sprawa, która w pierwszej chwili wyglądała tak prosto, zaczynała się komplikować.

- Kim jesteś? - zapytał, pochylając się nad rannym.

Ranny sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wydobywając jakąś książeczkę w ciemnej ceratowej oprawie. Na okładce widniał wyciśnięty srebrnymi literami napis w niezrozumiałym dla szeryfa języku i wizerunek orła.

- Proszę - szept rannego był ledwie dosłyszalny - oto mój paszport.

- Paszport? - Szeryf nieufnie ujął końcami palców książeczkę. W tych stronach ludzie niezbyt wiele mieli do czynienia z paszportami i to na dodatek wystawionymi w obcym języku.

Obracał przez chwilę dokument niezdarnie w palcach.

- Nazywam się... Jacek Bandera... - wykrztusił ranny. Dźwięk tego cudzoziemskiego nazwiska wywarł na szeryfie niespodziewane wrażenie.

Drgnął cały, wpatrując się zdumionym wzrokiem w rannego.

- Jak? - głos szeryfa brzmiał zupełnie niepewnie. - Jacek Bandera - przesyłabizował wyraźnie ranny.

Twarz szeryfa zszarzała. Bezmyślnym ruchem otworzył paszport, wlepiając oczy w fotografię na wewnętrznej stronie okładki.



Zapanowało trwające dłuższą chwilę milczenie. Szeryf był zupełnie ogłuszony.

Bandera tu, po tylu latach? - rozmyślał gorączkowo. Niespodziewane niebezpieczeństwo zawisło tuż nad jego głową. Po długich latach spokoju przeszłość wstawiała z grobu. Trzeba było natychmiast coś przedsięwziąć. Każda chwila zwłoki groziła katastrofą.

- Skąd... skąd przyjechałeś... i... po co? - Szeryf bezskutecznie usiłował nadać swemu głosowi obojętne brzmienie. Pytanie zadał jedynie w celu zyskania na czasie. Wiedział doskonale, po co mógł przyjeżdżać w te strony ktoś noszący nazwisko Bandera.

- Z Warszawy... Polska... do Neavill... po spadek po moim stryju... Janie Banderze.

Szeryf zaciął wargi. Tak, to było zupełnie zrozumiałe. John Bandera musiał mieć przecież jakichś krewnych w swej dalekiej ojczyźnie. Te wszystkie męki sumienia... ta krew od lat ciężąca na jego sercu... miały pozostać bezpłodne?

Gorączkowe myśli kłębiły się pod jego czaszką.

- Mam wszystkie dokumenty... - odezwał się Bandera, wyciągając z kieszeni szarą, wypchaną kopertę.

- Daj. - Palce, zgięte jak szpony spadającego na zdobycz jastrzębia, schwyciły kopertę. W jednej chwili zniknęła w kieszeni skórzanej marynarki.

Nie zaglądał do wnętrza. Po co? I tak wiedział, co tam się znajduje. To było niebezpieczniejsze od lufy naładowanego rewolweru, wycelowanej prosto w piersi.

Odetchnął z ulgą, gdy koperta znalazła się w jego kieszeni. Tamten

był głupi. Jakżeż mógł się pozbyć tak potężnej broni? To nie to, co stary John Bandera, ba, nawet daleko mu do tamtego młodego wilczka Stana. Ale tamci od tylu lat już unieszkodliwieni. Głazy, którymi przykryto ich mogiły, zdążyły porosnąć mchem. Ten też musi być za wszelką cenę unieszkodliwiony! Teraz, gdy już oddał dokumenty, nie przedstawiało to takich znów wielkich trudności. Nie potrzebował tym razem sam go unieszkodliwiać, miał przecież do swej dyspozycji... prawo. Stryczek będzie nie mniej pewnym środkiem aniżeli kiedyś... kula... Był już zupełnie zdecydowany.

Gdy się znowu odezwał, głos jego odzyskał pewne brzmienie.

- Halo - zwrócił się do swych milczących towarzyszy - sprawa się ostatecznie wyjaśniła. Ten - wskazał na nieruchomego Bandere - jest z całą pewnością zabójcą Caudreau i Almawiry. Zwykły mord rabunkowy. Jesteście chyba tego samego zdania? - zapytał z naciskiem.

Spojrzeni po sobie nieco zdziwieni. Przed chwilą mieli wrażenie, jakby szeryf się wahał. Sami nie byli tak zupełnie przekonani o tym, co mówił. Znali przecież dobrze zabitych. Ale skoro szeryf jest taki pewny?

Jak na komendę wzruszyli obojętnie ramionami. Cóż mieli powiedzieć? Ostatecznie szeryf był od tego, by rozwiązywać kryminalne zagadki. Nazwisko Bandery nic im nie mówiło. Za młodzi byli na to.

Bandera podniósł ociężałe powieki. Nie mógł zrozumieć nagłej zmiany w zachowaniu szeryfa. Przed kilkoma minutami był już prawie pewny, że jego sprawa jest na dobrej drodze.

Czuł się jednak zbyt osłabiony, by móc wykrztusić choć słowo w swojej obronie.

Co za pech - pomyślał, przymykając powieki - powieszają mnie

zupełnie nie wiadomo za co.

## UCIECZKA

Minęło dziesięć dni od chwili aresztowania Jacka Bandery w Kanionie Słonej Rzeki. Szeryf Carsley pomimo swych wysiłków, by przyśpieszyć tok sprawy, nic nie mógł poradzić, Bandera bowiem przez przeszło tydzień błąkał się na pograniczu śmierci. To byłoby właściwie najlepsze rozwiązanie całej tej niespodzianki, ale na to nie godziło się prawo. W Neavill znajdowali się niestety jeszcze inni sędziy prawa poza szeryfem. Doktor Meadow też się poniekąd za takiego uważał. Zresztą nawet zupełnie słusznie. Piastował przecież godność sędziego pokoju. Poza tym był nieprzeciętnym chirurgiem. To wszystko sprawiło, że Bandera, pomimo szczerych życzeń szeryfa, nie przekroczył jeszcze Rubikonu. Po prostu wymknął się śmierci. Szeryf musiał znowu zmobilizować całą swoją przebiegłość, by więzień nie wymknął się z kolei spod stryczka. W tym wypadku stryczek miał dwa końce, gdyby się ześliznął z szyi Bandery, mógł łatwo spaść na kark szeryfa. Raczej na pewno by na niego spadł.

Chwila, w której Jacek Bandera objąłby dziedzictwo po swoim stryju, byłaby początkiem końca życia szeryfa. Bo przecież w tę ponurą noc John zdążył napisać list. Nie zdążył go już wysłać, ale zdążył napisać. Carsley, który wtedy nie był jeszcze szeryfem, choć był już... mordercą, znalazł niewyschnięty atrament na stalówce. Znalazł nawet bibułę z odcisniętymi kilkoma słowami... tylko listu dotychczas nie mógł znaleźć. Wiedział, że jest w tej samej skrytce, gdzie były też... tylko nie wiedział,

gdzie jest skrytka. Jacek Bandera na pewno wiedział o niej, po cóż by bowiem inaczej przedsięwziął tak długą i uciążliwą podróż? A ten list... O, szeryf dostawał po prostu gęsiej skórki, gdy myślał o jego treści. Nawet te kilka słów, jakie odbiło się na znalezionej bibule, wystarczyłoby w zupełności, by go zaprowadzić na szubienicę. A szeryf nie miał najmniejszej ochoty na stryczek. Natomiast z prawdziwą satysfakcją widziałby więźnia dyndającego na sznurze. To przecież był Bandera.

Sprawę należało kończyć jak najprędzej. Bandera w każdej chwili mógł się domyślić, co jest główną przyczyną takiego, a nie innego obrotu jego sprawy. A wtedy mogła nastąpić katastrofa. Doktor Meadow nie miał zbyt lotnego umysłu, za to jak się czegoś uczepił...

- Tak - huknął pięścią w stół szeryf, odpowiadając swoim myślom - trzeba już skończyć całą tę historię!

Przycisnął przycisk dzwonka.

- Sprowadzić Bandere! - rozkazał swemu pomocnikowi Larkinowi, gdy ten stanął w drzwiach. - Ja sam będę pisał protokół - dodał z naciskiem.

Dopóki Bandera żył, nie mógł zaniedbywać żadnej ostrożności. Miał wrażenie, jakby siedział na wulkanie, który może lada moment wybuchnąć.

Po upływie kilku minut w kancelarii zjawił się Bandera. Szedł już o własnych siłach. Doktor Meadow pokazał, co umie... jako lekarz, bo jego udział w sprawie Bandery jako sędziego pokoju ograniczył się tymczasem do podpisania nakazu aresztowania. Szeryf miał zresztą szczerzy zamiar przypilnować, aby i na przyszłość udział ten nie był większy. W ostateczności postanowił podburzyć zwolenników prawa Lyncha, gdyby

wszystkie inne sposoby zawiodły.

- Siadaj - wskazał więźniowi krzesło, stojące z drugiej strony biurka. Głos jego brzmiał urzędowym chłodem.

Bandera rozsiadł się wygodnie na krześle. Przez chwilę w kancelarii panowało milczenie. Obserwowali się badawczo.

Twarz Bandery tchnęła zupełnym spokojem. Jego ciemnoniebieskie oczy patrzyły ostro i niewzruszenie. Odczuwał wyraźną wrogość szeryfa, choć nie mógł sobie jeszcze wytłumaczyć przyczyny tej wrogości.

W oczach szeryfa błyskały przelotne ogniki niepokoju. A przecież to on był tym, który w swych rękach trzyma klucze od wrót śmierci i życia.

- Cóż - przerwał milczenie szeryf, maczając pióro w kałamarzu - zdecydowałeś się wreszcie? - Jego wzrok uciekł przed atakiem ciemnoniebieskich oczu.

- Tak - wycedził niedbale Bandera.

- O? - Szeryf spojrzał na niego, nie potrafiąc powstrzymać odruchu zdumienia.

- Zdecydowałem się - potwierdził Bandera - podtrzymać swoje poprzednie zeznania...

Napięcie nerwów szeryfa opadło. Przez krótki ułamek sekundy w sercu jego zrodziła się szalona nadzieja. Jakby to gładko poszło, gdyby Bandera zechciał się przyznać do tego... czego nie zrobił. Choć i tak ostatecznie nie było jeszcze najgorzej. Fakty umiejętnie zinterpretowane w początkowym śledztwie będą miały swą niezaprzeczoną logikę dla sądu przysięgłych.

- Przede wszystkim - ciągnął dalej Bandera - zdecydowałem się zażądać - to słowo podkreślił ruchem ręki - aby o moim aresztowaniu

zawiadomiono polskiego konsula...

Szeryf aż podskoczył na krześle, usłyszawszy to niespodziewane żądanie. To by, oczywiście, znowu skomplikowało sprawę. Skomplikowało i... uczyniło ją niebezpieczniejszą. Nie miał zamiaru dopuścić, by ktoś obcy mógł się porozumieć z Bandera. Z drugiej jednak strony żądanie było zgodne z przepisami prawa, a o tym doskonale wiedział. Przywołał na pomoc całą przytomność umysłu. Jak to dobrze - pomyślał, utkwivszy wzrok w obsadce - że nie ma tu Meadowa.

- Konsula? - powtórzył wolno - może jeszcze chcesz, abym zawiadomił o tym polskiego króla?

- Nie - zaprzeczył spokojnie Bandera - to byłoby zbędne, choćby dlatego, że Polska jest republiką. Ale chcę, byście zawiadomili konsula honorowego w San Antonio, jest nim James Geoffrey Wanderer, ulica Franklina sto dwa - wycedził z miążdżącą dokładnością. - To jest zgodne z moimi uprawnieniami jako aresztowanego, czyż nie? - spojrzał zimno na szeryfa.

Szeryf osłupiał. Więzień powołujący się na przepisy prawne? O czymś podobnym nikt w tych stronach nie słyszał.

- Czy... może jesteście przypadkiem prawnikiem? - zapytał zjadliwie.

- Tak - odpowiedział sucho Bandera - zgadliście. Jestem nim przypadkiem.

Szeryf spojrzał bezradnie w okno. Do tego wszystkiego jest jeszcze prawnikiem.

Dlaczego nie zdechł w szpitalu? - westchnął w duchu. Za wszelką cenę trzeba było sprawę jak najprędzej doprowadzić do końca. Od człowieka noszącego nazwisko Bandera mogła go spotkać niejedna

niespodzianka.

- Dobrze - burknął pod nosem - zawiadomię twojego konsula. - Ani przez jedną chwilę nie miał zamiaru dotrzymać swego przyrzeczenia, obawiał się jednak, by w razie odmowy więzień nie potrafił w jakiś sposób dotrzeć do doktora Meadowa.

- Więc podtrzymujesz w całości swoje poprzednie zeznania? - zapytał szeryf pisząc coś na rozłożonym przed sobą arkuszu papieru.

- Tak.

- No, trudno, w takim razie podpisz to. - Podsunął mu protokół, podając jednocześnie umaczone w atramencie pióro.

- Za pozwoleniem. - Bandera odłożył pióro, studiując w skupieniu kilka zdań, wypisanych niewyraźnym charakterem szeryfa.

- Nie - oświadczył po chwili, odsuwając protokół - ja tego nie podpiszę.

- Dlaczego? - udał zdumienie szeryf.

- Po prostu dlatego, że to, coście w nim napisali, nie jest zgodne z moim zeznaniem.

Głos Bandery miał zupełnie obojętne brzmienie. Jak gdyby rozmawiał z przyjacielem o pogodzie albo o czymś w tym rodzaju - skonstatował w duchu szeryf, biorąc do ręki protokół.

- Przecież napisałem dokładnie to, co mówiłeś, słuchaj. - Zaczął odczytywać: „Podtrzymuję w zupełności swoje poprzednie zeznania...” - czyż nie tak oświadczyłeś przed kilkoma minutami? - W głosie szeryfa brzmiał wyrzut.

- Tak - potwierdził lekkim skinieniem głowy Bandera - ale nie mówiłem tego, co jest dalej napisane, ot tu - wskazał palcem na

odpowiedni ustęp protokołu, odczytując go na głos: „dopóki o moim aresztowaniu nie będzie zawiadomiony konsul w San Antonio”.

- Wspominałeś o konsulu? - Na policzki szeryfa wypełził ciemny rumieniec.

- Et - strzepnął palcami Bandera - po co mamy strzepić języki. Rozumiecie chyba tak samo dobrze jak ja sens tego, co napisaliście. Protokół mówi wyraźnie: „nie przyznaję się, dopóki i tak dalej”, a ja znowu powiedziałem niemniej wyraźnie, że nie przyznaję się dlatego, ponieważ po prostu nie mam nic do powiedzenia poza tym, co już zeznałem. Jasne?

Dla szeryfa było to zupełnie jasne już od początku, zanim jeszcze napisał pierwsze słowo. Zapomniał o kwalifikacjach prawniczych swego więźnia. To było zupełnie niepotrzebne posunięcie. Mogło wzbudzić podejrzenia w umyśle Bandery, a przecież i tak potrafi zaprowadzić sąd przysięgłych, dokąd będzie chciał. Znał dostatecznie dobrze sąd w Neavill.

Mruczając coś niewyraźnie pod nosem, zabrał się do pisania nowego protokołu. Poprzedni wrzucił niezwłocznie do kosza, podarłszy go uprzednio starannie na drobne strzępy. Nowo napisanemu protokołowi Bandera nie miał już nic do zarzucenia. Podpisał go po dokładnym przestudiowaniu. Zaczął się już co nieco orientować w linii wytycznej, powziętej przez szeryfa w jego sprawie.

- No, więc - szeryf przyłożył suszkę do podpisu Bandery - teraz nie wrócisz już do szpitala. Zostaniesz umieszczony w więzieniu.

Wpatrywał się w twarz więźnia, badając wywołane wrażenie. Doznał pod tym względem rozczarowania. Rysy Bandery nie wyrażały żadnego uczucia.



- Cóż - Bandera wzruszył ramionami - spodziewałem się tego. Szeryf nacisnął dzwonek.

- Odprowadzić więźnia! - rozkazał swemu pomocnikowi. Bandera podniósł się z krzesła opanowanym, spokojnym ruchem i poszedł za Larkinem.

- Pamiętajcie - odwrócił się, stojąc w drzwiach - o konsulu! Szeryf przez dłuższą chwilę gapił się tępo w drzwi, które zamknęły się za więźniem.

- Kat ci wystarczy zamiast konsula - burknął wreszcie. Na szyi jednak odczuwał nieprzyjemne swędzenie. Coś jakby nowy sznur konopny dotknął swym splotem jego skóry.

Bandera, konwojowany przez Larkina, przeszedł do więzienia. Niedaleko, niemal naprzeciwko kancelarii szeryfa stał nowy murowany budynek. To było więzienie, chluba Neavill. Nic zresztą dziwnego. Węzienie prezentowało się bodaj najokazalej spośród wszystkich budynków miasta. W tej chwili było wypełnione do ostatniej celi.

Larkin, pomimo wyraźnego w tym względzie rozkazu szeryfa, zmuszony był umieścić Bandere wspólnie z Harringtonem, niedawno ujętym groźnym opryszkiem, też oczekującym zakończenia swej kariery na szubienicy.

Po zamknięciu solidnych stalowych drzwi celi dwaj nowi towarzysze więzienni obserwowali się przez chwilę w milczeniu.

Harrington coś sobie medytował.

- Jestem Harrington - przedstawił się wreszcie.

- Bandera - odpowiedział krótko.

- O - zdziwił się opryszek usłyszawszy obce brzmienie nazwiska

współlokatora celi - nie Amerykanin?

- Nie - przeciął lakonicznie indagacje Bandera. Nie miał zamiaru w więziennej celi przyznawać się do swej narodowości. To nie przyniosłoby zbytniego zaszczytu dalekiej ojczyźnie.

- Tttak. - Harrington poskrobał się w zamyśleniu w czoło. Widać było po nim, że coś jeszcze chce powiedzieć, ale się waha.

Bandera nie zachęcał go do dalszej rozmowy. Opadł ciężko na stołek i wyjąwszy papierosa zaciągnął się głębokim haustem dymu.

Harrington, nie zrażony lakoniczną odpowiedzią, nie przestawał mu się badawczo przyglądać.

- Co ci grozi? - zapytał po chwili.

Bandera wpatrzył się z uwagą w układające się w powietrzu kółka dymu. - Nic wielkiego... stryczek.

- O - ucieszył się nie wiadomo dlaczego bandyta - stryczek. A czy jesteś winien? - zapytał obcesowo.

Bandera spojrzał mu prosto w oczy. Nie - zdecydował po chwili w duchu - na prowokatora nie wygląda w żadnym razie.

- Niestety - wzruszył ramionami - nie mam nawet tej satysfakcji.

- Hm - poruszył się niespokojnie Harrington - masz jakieś szanse, że wyjdiesz?

Banderę bawiły te dopytywania, jak mu się wydawało pochodzące z prostej ciekawości.

- O ile mi się zdaje - wyjaśnił uprzejmie - nie mam żadnych. Szeryf uparł się, by za wszelką cenę zaprowadzić mnie na szubienicę...

Harrington zerwał się niespodziewanie ze stołka i podszedł do Bandery.

- To się świetnie składa - szepnął tajemniczo, nachylając się tuż nad nim.

- Świetnie? - Bandera spojrzał zdumiony na towarzysza celi. - No, ja bym tego nie powiedział.

- Ależ tak. - Bandyta pochylił się jeszcze niżej nad jego uchem. - Sam pomyśl: tobie grozi szubienica i mnie to samo... ty nie masz szans, ja też ich od początku nie miałem... - Urwał.

- Myślę - uśmiechnął się Bandera, kładąc dziwaczność zachowania się bandyty na karb długiego przebywania w samotnym zamknięciu - ale jednak mimo to nie mogę dostrzec w naszej sytuacji nic świetnego.

Harrington spojrzał mu prosto w oczy. Widocznie ich wyraz uspokoił go zupełnie, ciągnął bowiem dalej:

- Tak... aleja przygotowuję... wycieczkę...

Obejrzał się szybko na okratowane okienko, widniejące pośrodku stalowych drzwi celi. - Rozumiesz... wycieczkę... na wolność - powiedział z naciskiem.

Bandera rozwarł szeroko oczy ze zdumienia.

- Jak to - wyszeptał - z tej fortecy? - Powiódł ręką wzdłuż grubych murów celi.

- Tak - potwierdził Harrington zerkając wciąż nieufnie na okienko - to zresztą nie jest taka forteca, jakby się zdawało. Cement rozłazi się pod paznokciami. Tandeta. Ktoś musiał grubo zarobić na budowie. A ja to wypatrzyłem. - W szepcie zabrzmiały triumfujące nuty. - Jeszcze kilka godzin... i droga na wolność stanie otworem. Pracuję dwa tygodnie... dotychczas tylko po nocach... teraz będę mógł również i w dzień... będziemy pracować na zmianę... Jeden wyskrobuje cement, a drugi

wygląda przez okienko, aby wartownik nie mógł zajrzeć do wnętrza... zanim otworzy drzwi, zawsze zdążymy sprzątnąć ślady... pod pryczę... chcesz?

Bandera rozmyślał z napięciem. Ucieczka? Tak jakby był winien? To wszystko spadło na niego zbyt niespodziewanie.

Harrington z niepokojem oczekiwał na odpowiedź. Bez współpracy nowego współlokatora robota mogła się przeciągnąć zbyt długo. Nie wiedział, kiedy odbędzie się jego sprawa. A gdyby tamten chciał mu przeszkodzić? O, wtedy byłby zdolny zadusić go bez najmniejszego wahania. I tak nic gorszego od szubienicy nie mogło go oczekiwać.

- W porządku - oświadczył wreszcie Bandera. - Zdaje mi się, że mimo wszystko nie mam innego wyjścia.

Bandyta zdusił jego rękę w mocnym uścisku.

- Oho - wskazał na sprzączki przy spodniach Bandery - ty masz jeszcze do tego narzędzia, moje się już zupełnie stępiły.

- Co? - Bandera pomimo całego tragizmu sytuacji nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Mam rozwalać gmach sprzączkami?

W tej chwili tuż za drzwiami zabrzmiały kroki. Harrington pociągnął Bandere za rękaw bluzy, zmuszając go do zajęcia miejsca na pryczy.

- Nie martw się - położył mu rękę na ramieniu - jeszcze wszystko będzie dobrze.

Bandera spojrzał na niego, zdumiony tą niespodziewaną zmianą w zachowaniu.

- Co... - Umilkł, dojrawszy znaczące zmrużenie oka.

W okienku we drzwiach ukazała się twarz wartownika. Harrington podbiegł do drzwi.

- Rozpacza - oświadczył, wzruszając ramionami - nic mu nie mogę wyperswadować.

Twarz dozorca wykrzywił ironiczny uśmiech.

- No, mam wrażenie, że nie pozostawię mu zbyt wiele czasu na rozpacz - powiedział szorstko. - Nowy konopny sznur, kawałek mydła, aby się lepiej zacisnęła pętla, i będzie po krzyku.

Bandera na dźwięk tych słów poczuł skurcz gardła. To nie była śmierć, jakiej by pragnął na zakończenie swej ziemskiej wędrówki. Wszystko, byleby tylko nie szubienica.

Bandyta zasłaniał sobą okienko. Nie odwracając głowy dał znak przegiętą za plecami ręką, wskazując na pryczę.

Bandera nie wahał się dłużej. Widocznie Harrington chciał, by już rozpoczął pracę nad korytarzem.

Wpełznął pod pryczę. Pod stalowymi prętami podtrzymującymi materac panowała taka ciasnota, że z trudem mógł się jako tako poruszać. Ze wszystkich stron leżały poukładane stosy odłamków cegieł, a nawet całe cegły. Służba więzienna musiała być wyjątkowo niedbała; widocznie przez cały czas pobytu Harringtona w celi nie sprzątnięto tu ani razu, a już na pewno nikt nie zajrzał pod pryczę.

W załomie ścian tuż nad betonową podłogą czerniał otwór o średnicy kilkudziesięciu centymetrów. Z trudem wcisnął w wąski korytarz swe barczyste ciało. Otwór sięgał około dwóch metrów w głąb. Podetrze w tunelu było przesycone zapachem wilgotnego cementu.

Pod wyciągniętymi palcami poczuł chropowatą warstwę cegieł. Wsunął pomiędzy nie słabe ostrze sprzączki. Weszło z łatwością. Cement kruszył się jak glina. Harrington miał zupełną rację. Budowa była

nieprawdopodobnie tandetna. Już po kilku minutach wydłubał cement otaczający jedną cegłę. Wyjęcie jej nie przedstawiało żadnej trudności, gorzej natomiast przedstawiała się sprawa z usuwaniem gruzu. Musiał wypełznąć z otworu, wynosząc cegłę i okruchy cementu. Gdy znalazł się znów na betonowej podłodze, wyjrzał ostrożnie spod pryczy, chcąc zobaczyć, co robi jego towarzysz. Harrington wciąż jeszcze stał przy drzwiach, zasłaniając głową otwór okienka. Wcisnął się więc z powrotem do tunelu. Tak trwało około godziny, zdążył przez ten czas usunąć jedną warstwę cegieł, układając je starannie pod pryczą. Tunel pogłębił się o kilkanaście centymetrów. Tak szybki rezultat nappełnił go otuchą. W tym tempie rzeczywiście za kilka, a najdalej kilkanaście godzin mogli dotrzeć do ziemi, wówczas zaś robota zacznie się na pewno posuwać jeszcze prędzej.

Najgorzej wyglądała sytuacja, jeżeli chodziło o oddychanie w wąskim tunelu. Po kilku minutach powietrze stawało się nie do wytrzymania duszne. Cała jego bielizna przesiąkła lepkiem potem. Nie przestawał jednak ani na chwilę pracować. Przecież każda wyjęta cegła zbliżała go do wolności.

Po upływie około dwóch godzin Harrington zapukał cicho w krawędź pryczy. Słyszając ten dźwięk, odetchnął z ulgą. Czuł się już do ostateczności zmęczony. Każdy ruch kosztował go nieprawdopodobnie dużo wysiłku.

Wypełził skwapliwie spod pryczy. Gdy się podnosił z podłogi, zachwiał się i o mały włos nie runął całym ciężarem na twardy beton. Wszystkie mięśnie jego ciała zupełnie odrętwiały.

Przymrużył oczy oślepienie światłem dnia, zalegającym celę. Płuca z

rozkoszą wciągnęły haust względnie świeżego powietrza. Ciężko opadł na pryczę.

- O - spojrzał na niego Harrington - trzeba było mi wcześniej powiedzieć, że jesteś zmęczony, byłbym cię zastąpił. A mnie znów - zaśmiał się cokolwiek ochryple - nogi zwiotczały od odgrywania roli parawanu. Teraz na ciebie kolej stójki przy drzwiach.

- Nie - jęknął Bandera. - Ja wiem, jak ci się śpieszy z robotą. Mnie przecież też nie mniej pilno na wolność, ale daj mi kilka minut odsapnąć. Nie da rady, muszę wypalić jednego papierosa. - Sięgnął drżącą ze zmęczenia ręką do skórzanej papierošnicy.

- Dobra - kiwnął głową Harrington - i tak trzeba cię jako tako otrzepać. Gdybyś pokazał się Dentowi z taką masą gruzu we włosach, od razu by wywachał, co się święci.

Zabrał się skwapliwie do czyszczenia Bandery.

- Jak tam idzie robota? - zapytał szeptem.

- Świetnie - uśmiechnął się pomimo zmęczenia Bandera - wydaje mi się, że gdyby nas trzymano tu jeszcze kilka tygodni, rozebralibyśmy cegła po cegle cały gmach więzienia. Dziwi mnie tylko, dlaczego dotychczas nikt przed tobą nie wpadł na myśl podkopu...

- Phy - wydał wargi Harrington - na ludziach robi wrażenie grubość murów, to i nawet nie pomyślą, aby taka historia była możliwa. Ja też bym nie pomyślał, ale z nudów zacząłem skrobać paznokciem po ścianie, a jak zobaczyłem, że cement rozpada się pod najlżejszym niemal dotknięciem... nie trudno zgadnąć...

Przez kilka minut w celi panowało milczenie. Bandera rozkoszował się chwilą odpoczynku. Harrington zaś, widząc jego wyczerpanie, nie

naglił, by brać się do roboty. Wreszcie Bandera odrzucił zdecydowanym ruchem niedopałek papierosa na podłogę.

- Trudno - wstał przeciągając potężnie całe ciało, aż zachrzęściły kości - teraz idę na stójkę.

Przytknął twarz do krat okienka wychodzącego na korytarz. Przez kraty widział tylko niewielki odcinek ściany i framugę drzwi przeciwległej celi, same jednak drzwi były niewidoczne. Opanowała go beznadziejna nuda.

To już nawet chyba gorsze od pracy w korytarzu - pomyślał, ziewając szeroko.

Nie mógł jednak ani na chwilę odsunąć twarzy od krat, stanowił przecież parawan umożliwiający Harringtonowi przebywanie pod pryczą, a dozorca mógł nadejść w każdej chwili.

Rzeczywiście po kilkunastu minutach nadszedł, idąc wolnymi, człapiącymi krokami zza załomu ściany.

- O - zatrzymał się przed drzwiami na widok Bandery. - Jak widzę, już się uspokoiłeś?

- Cóż mam robić? - odpowiedział, trzymając się narzuconej przez Harringtona roli. - Rozpaczanie nic nie pomoże.

- Masz rację. - Dozorca oparł ramię o framugę drzwi, szykując się widocznie na dłuższą pogawędkę. - Ostatecznie nie czeka cię nic strasznego. Prędzej czy później wszyscy tam pójdziemy - zrobił ręką znaczący ruch.

Bandera uśmiechnął się blado. Dozorca w żadnym wypadku nie należał do przyjemnych rozmówców.

- Tacy jesteście pewni - zapytał po chwili, przewyciężając wstręt do



tej makabrycznej rozmowy - że mnie szubienica mnie nie minie?

Dozorca aż drgnął ze zdumienia, obrzucając ciekawym spojrzeniem jego twarz.

- Jak to - wyjąkał - to ty masz jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości w tym względzie?

- Hm - chrząknął Bandera, przełykając napływającą do gardła ślinę - nie mam wrażenia, by za zabójstwo w obronie własnej stryczek stanowił zupełnie odpowiednią karę...

Dozorca strzepnął palcami.

- Ba - zaśmiał się - za zabójstwo w obronie własnej, a nawet za coś, co ma choćby takie pozory, nasze sądy puszczają wolno.

- No widzicie...

- Nic nie widzę - obruszył się - mówiłem o obronie, a twoja sprawa wygląda zupełnie inaczej. Zamordowanie dwóch ludzi, choćby byli sami najgorszymi bandytami, w celu zrabowania worka ze złotym piaskiem to jest coś, co nie ma nic wspólnego z obroną... chyba jasne?

- Pewno... że jasne - zgodził się Bandera - tylko... ja nie zabiłem dwóch ludzi ani nie miałem zamiaru rabować...

We wzroku dozorczy dojrzał politowanie pomieszane z niechęcią.

- Wiesz co? - podrapał się w zamyśleniu w rozwichrzone włosy. - Mógłbyś przecież wymyślić jakąś inną obronę. W to nikt nie uwierzy. Ja tam wcale nie życzę ci śmierci. Co innego Harrington, ten całkowicie zasłużył na szubienicę, ale ty... Pierwszy raz... może mógłbyś się poprawić... a u nas są potrzebni twardzi ludzie, umiejący pociągnąć za cyngiel...

- Myślicie... nikt nie uwierzy?

- Co tam myślę - zachnął się - jestem tego pewien. Gada się przecież z tym i owym. Wszyscy mają o twojej sprawie tylko jedno zdanie. Mord rabunkowy i tyle. Przecież z tych ludzi będzie się składał sąd... A ty ciągle swoje... U nas nie lubią łgarzy. Morderca może się jeszcze poprawić - łgarz nigdy!

Bandera westchnął w duchu. Teraz już miał pewność, że w wypadku gdyby stanął przed sądem, zostanie skazany. Może mógłby się jeszcze wymigać długoletnim więzieniem, gdyby się przyznał ze skruchą do morderstwa rabunkowego, jeżeli zaś będzie mówił prawdę, zawisnie niechybnie. Nie pozostawało zatem nic innego poza próbą ucieczki. Nie miał ochoty ani na szubienicę, ani na rolę mordercy.

- Tak - ciągnął dozorca - radzę ci dobrze: przyznaj się. Tylko w takim wypadku możesz ocalić szyję. Już ja dobrze znam swych sąsiadów. Nie lubią łgarzy, zapamiętaj to sobie - dodał z naciskiem, znikając w głębi korytarza.

Bandera rzucił okiem na zegarek. Minęło dwie godziny od czasu, gdy Harrington zaczął pracę w korytarzu, czas było go zwolnić. Zastukał w pryczę.

Po chwili spod krawędzi wynurzył się bandyta obsypany okruchami cegły i cementu.

- Masz ochotę włązić do dziury? - zapytał, gramoląc się ociężale na pryczę.

- Nie - przyznał szczerze Bandera - wcale nie mam na to ochoty. Niestety jednak w inny sposób, jak widzę, nie wykręcę się od stryczka.

- Najgorzej to być niewinnym - zawyrokował sentencjonalnie Harrington, otrzepując ubranie z pyłu.

Bandera wsunął się w milczeniu pod pryczę. Zaczęła się znowu monotonna praca. Wydłubywał cegły z rozpaczliwą zapamiętałością. Po upływie godziny paznokcie miał już zdrapane do żywego mięsa, nie ustawał jednak w zagłębianiu się pod ścianę. To była przecież droga prowadząca na wolność. Jeżeli korytarz zawiedzie, czekała go inna droga... wiodąca do stóp szubienicy.

Wydzierał z przeszkody cegłę po cegle, ułamek po ułamku, starannie upychając pod pryczą wynoszony gruz. Układane stosy sięgały niemal pod sprężyny materaca.

Trzeba będzie wynaleźć jakieś inne miejsce na gruz - pomyślał, prześlizgując się ostrożnie pomiędzy zwałami odłamków, spiętrzonych ze wszystkich stron. Zresztą to nie miało większego znaczenia. Jeszcze tej nocy powinni przekopać wyjście na zewnątrz. W tym wypadku można było zarzucić całą celę gruzem.

Robota posuwała się rażno naprzód. Korytarz wydłużał się coraz bardziej. Coraz dłuższą drogę musiał odbywać, wynosząc z otworu nagromadzone okruchy cegły.

Kończyła się druga godzina pobytu w tunelu. Za chwilę miał go zmienić Harrington. Nie myślał jednak o tym, mimo że całe ciało zeszywniało mu od niewygodnej pozycji, w jakiej musiał pracować w tunelu. Za kilka godzin wszak będzie mógł je rozprostować... na wolności.

Kruszył jakoś słabo wycierającą się cegłę. Rozpadała się pod atakiem ostrza sprzączki. Wygarnął gruz, sięgając dalej. W piersiach brakło już oddechu, wielkie krople potu obficie staczały się z czoła na cegły.

Jeszcze jedna cegła rozpadła się w kawałki... nagle ostrze sprzączki

zazgrzytało przenikliwie.

Czyżby jakaś mocniej wypalona cegła? - pomyślał z niepokojem, po omacku badając poranionymi palcami niespodziewaną przeszkodę.

Poczuł na końcach palców wsuniętych w wyłom chłodny dotyk metalu. Usunął cegłę z prawej strony wyłomu - to samo, rozkruszył z lewej - również stalowa zaporą. Korytarz natrafił na stalową belkę szkieletu budowy, zamykającą całą jego szerokość. Słabe ostrze sprzączki złamało się przy nieostrożnym ruchu. Zresztą nie było już potrzebne. Na stalową zaporę trzeba by co najmniej dynamitu. Wypełził zrozpaczony z korytarza.

Cała dotychczasowa praca nad wykopem poszła na marne. Tej przeszkody nie można było ani ominąć, ani sforsować. Trzeba byłoby przebić nowy tunel w innym kierunku, ale na to nie wystarczyłoby pewnie czasu ani sił. Zresztą nie można było przecież przewidzieć, czy nowy tunel nie natrafiłby znowu na belkę.

Nadzieja wydostania się na wolność ustąpiła w sercu Bandery rezygnacji.

Wygramolił się spod pryczy i opadł ciężko na stołek. Harrington spojrzał na niego zaniepokojony. Wyraz twarzy Bandery i beznadziejnie opuszczone ramiona miały swą jaskrawą wymowę.

- Co... co się stało? - zapytał podchodząc do niego.

- Wszystko... na nic - szepnął bezbarwnym tonem Bandera, machnąwszy ręką - tunel natrafił na stalowy szkielet gmachu...

Harrington patrzył na niego szeroko rozwartymi oczyma. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

- Jak to?... - wyjąkał - byliśmy tak blisko końca...

- Nie wiem - wzruszył ramionami Bandera - może i blisko... - Wlepił bezmyślnie spojrzenie w zakurzone szyby wysoko umieszczonego okratowanego okienka. Wydawało mu się ono jakąś potworną szachownicą, na której wrogie siły rozgrywają partię o jego głowę.

- Teraz - dodał - jesteśmy znacznie bliżej szubienicy. Harrington jednym ruchem rzucił się na podłogę, znikając pod pryczą.

Po kilku minutach wynurzył się z powrotem. Jego powleczonej siłą bladą twarz świadczyła, że przekonał się o rozpaczliwej prawdzie.

W celi zapanowało ponure milczenie. Harrington krążył od ściany do ściany jak dziki zwierzę zamknięty w klatce, Bandera zaś siedział nieruchomo na stołku, nie zmieniając pozycji, w której zastygł od chwili wyjścia z tunelu. Nagłość przejścia od nadziei do rozpaczliwej rzeczywistości zabiła w nim wszelką energię.

- No - stanął przed Bandera, przerwawszy swą bezcelową wędrówkę Harrington - co z nami będzie?

Bandera nie podniósł ukrytej w rękach twarzy.

- Czyja wiem - mruknął - pewno nas powieszają.

- Nie - bandyta tupnął nogą w beton podłogi - mnie nie mogą powiesić...

- E tam - sarknął Bandera - to tylko tobie tak się wydaje. Oni - wskazał lekkim ruchem głowy w kierunku drzwi - są na pewno innego zdania...

- Pomyśl - głos Harringtona przepojony był taką żarliwością, jakby od przekonania Bandery zależał jego dalszy los - tyle razy już byłem o włos od szubienicy i zawsze się jakoś udawało wywinąć. Zawsze - powtórzył zapamiętale - a teraz...

- A teraz - odpowiedział obojętnie Bandera - włos się urwał i zawiśniesz na szubienicy...

Harrington wzdrygnął się, jakby czując już zaciskającą się na szyi pętlę. Ruszył znowu w wędrówkę po celi.

- Nie będę wisiał - powtarzał przez zaciśnięte zęby - nie będę. Wszystko, byle nie stryczek.

W umęczonym mózgu Bandery zawirowały stłoczone bezładnie myśli. Maleńkie, schludne mieszkanie na Starym Mieście, gdzie spędził tyle lat życia... spracowane ręce ojca umęczonego źle płatną pracą, dobywającego resztek sił, by wy kierować jedynaka „na ludzi”... uniwersytet... koledzy... formacja kawaleryjska, w której odbywał swą służbę wojskową... i wreszcie ta uroczysta chwila, gdy ojciec wydobył z inkrustowanej srebrem szkatułki poźółkły papier, z trudem odczytując wyblakłe litery pisanego przed wieloma latami listu. Tego listu, który wyrwał go z dotychczasowego otoczenia, przerzucając niby potężnym podmuchem wiatru przez ocean. Pamięta jak dziś nieco drżący głos ojca: „Ja już byłem za stary... tyś wtedy był jeszcze dzieckiem... czekałem, aż dorośniesz, aż spełnisz obowiązek wobec kraju... a teraz jeżeli chcesz...” - Chciał. I oto jest w tym zagubionym wśród gór miasteczku. Przybył spełnić ostatnią wolę stryja... pomścić, o ile to możliwe, jego śmierć i zabrać spadek zapisany mu jako jedynemu krewniakowi... Bo jego stryjeczny brat, dla którego stryj to wszystko gromadził, w momencie gdy list był pisany... już nie żył. Został zamordowany przed godziną, jak pisał stryj.”A za kilkanaście minut i mnie już nie będzie” - głosiło następne zdanie listu... Ojciec nie wiedział, w jaki sposób zginął Jan Bandera. Nie wiedział, kto wysłał list. Nie wiedział nic. Jako jedyne objaśnienie było w

liście imię starego peona Matteo. Czy on jeszcze żyje? Kilkanaście lat to szmat czasu, zwłaszcza w tym pierwotnym kraju, gdzie śmierć krąży szybciej aniżeli gdzie indziej. Jechał, by spełnić obowiązek i zdobyć za to nagrodę. Pamięta te tęczowe chwile nadziei... spadek po stryju mógł wreszcie wyzwolić ojca z trybów pracy ponad jego siły. W jakiż inny sposób mógł mu się wywdzięczyć za lata znoju, poświęcone jedynakowi? Szukał przecież pracy przez długie lata, o, jakżeż były długie... Kryzys. To była jedyna odpowiedź, jaką otrzymywał na swoje oferty. Listu stryja uczepił się jak wybawienia z posępnej beznadziejności. Stryj nic nie żądał, co by się sprzeciwiało nakazom sumienia. Zemstę miało według jego woli wziąć w swoje ręce prawo, Jacek zaś winien był tylko wprawić w ruch karzące ramię sprawiedliwości. Cóż mogło być słusniejszego? Teraz prawo sięgnęło drapieżnymi szponami po Jacka Banderę. Miał zginać na szubienicy? A staruszek ojciec będzie zapracowywać się do śmierci, wyczekując bezskutecznie na powrót jedynaka, który wyruszył za morza po złote runo? Chłuba wydziału prawnego, oficer rezerwy polskiej kawalerii ma skończyć na stryczku jak pierwszy lepszy opryszek?

- Nie - zawołał, zrywając się ze stołka gwałtownym ruchem - masz rację, Harrington!

Bandyta podszedł do niego.

- W czym mam rację? - spytał chropowatym głosem. Na jego twarzy widniała gęsta sieć nowych zmarszczek. Wyglądał na zupełnie innego człowieka aniżeli ten, który powitał Banderę jako współtowarzysza celi. Przez te kilka minut postarzał się o całe lata.

- Nie możemy dać się powiesić - oświadczył Bandera z mocą - raczej roztrzaskamy głowy o ściany...

W oczach Harringtona zapłonął ogień. Opuszczone kącki ust podniosły się do góry. Rysy twarzy zastygły w wyrazie zaciętego oporu.

- Tak - warknął, chwytając oburącz dłoń Bandery - nie damy się!

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, jakby chcąc odgadnąć swe najtajniejsze myśli. - Wymyśliłeś coś? - zapytał wreszcie Harrington.

- Jeszcze nie - Bandera sięgnął opanowanym ruchem po papierosa - ale poczekaj trochę. Niech każdy z nas ułoży projekt, a później pogadamy.

Pogрузił się w zadumie, wchłaniając w płuca dym papierosa.

Harrington podrapał się z zakłopotaniem w czoło. Widocznie jakoś nic nie przychodziło mu do głowy, tak bardzo dotychczas pełnej pomysłów. Rozczarowanie z tunelem załamało go psychicznie. Dwa tygodnie ciężkiej, krwawej pracy... dwa tygodnie nadziei... rosnącej niemal z każdą wyjętą cegłą i w rezultacie ta przeklęta stalowa belka!

Bandera obwiódł baczny wzrokiem wszystkie kąty celi, jakby szukając sposobu ucieczki. O nowym podkopie nie myślał nawet przez ułamek sekundy... Trzeba było wymyślić coś innego... coś dającego szansę natychmiastowej realizacji. Nie mieli już czasu na prowadzenie jakichś prac przeciągających się tygodniami. Każdy dzień spędzony w tej celi mógł być przecież ostatnim dniem życia, a zdawał sobie doskonale sprawę, że jeszcze jedno rozczarowanie zniechęciłoby ich obydwóch ostatecznie. Musiał wymyślić plan dający jedynie dwa rozwiązania: wolność albo... śmierć. Ostatecznie nie mieli i tak nic do stracenia poza życiem, które i tak wisiało na włosku.

Każda śmierć była lepsza od szubienicy. Stawkę stanowiła wolność. Atutami były dwa silne muskularne ciała... dwa serca nie cofające się przed niczym, by wygrać partię.



- O! - wykrzyknął wreszcie, rzucając na podłogę do połowy wypalonego papierosa - zdaje mi się... znalazłem!

Harrington jednym susem podbiegł do niego. W oczach błyszczały mu gorączkowe płomienie.

- Co? - skoncentrował wzrok na ustach Bandery.

- Posłuchaj - zaczął powoli - nie mamy przecież nic do stracenia...

- Nie - mruknął bandyta - nic!

- No więc - ciągnął Bandera - mój plan daje wprawdzie bardzo nikłą szansę powodzenia, ale zawsze jednak ją daje. Nie możemy robić drugiego podkopu, bo na to, o ile by nawet wystarczyło nam sił, mogłoby nie starczyć czasu. Poza tym zawsze musimy się liczyć z tym, że znowu natrafimy na jakąś przeszkodę. Belka, do której dotarliśmy, nie była na pewno osamotniona...

- Nie mów mi o tym, czego nie możemy zrobić - przerwał mu niecierpliwie Harrington - lecz o tym, co możemy...

- Tak - zgodził się Bandera - zaraz do tego dojdę. Otóż teraz mamy noc, do świtu - spojrzal na zegarek - pozostaje nam trzy godziny. Dlaczego nie spróbować natychmiast...

- Natychmiast? - Harrington sprężył się jak do skoku.

- Dlaczegożby nie? - powtórzył Bandera. - Jest nas dwóch. Jesteśmy silni, rana już mi nie dokucza, tobie w ogóle nic nie brakuje, a do tego nie mamy nic do stracenia, tymczasem na korytarzu siedzi tylko jeden wartownik. Jest senny, rozleniwiony i... ma wszystko do stracenia... Zestaw te dwie siły...

- Ha - westchnął Harrington - gdyby nie te drzwi - wskazał na stalową płytę zamykającą celę - ich przecież nie sforsujemy?

- Pewno, że nie - przytaknął Bandera. - Nie mamy zresztą potrzeby. Drzwi powinien nam otworzyć sam wartownik.

- Dobrowolnie? - głos Harringtona przepojony był powątpiewaniem.

- Oczywiście. W pewnych wypadkach musi przecież wejść do celi, to jest jego obowiązkiem. Na przykład... gdyby któryś z nas nagle umarł...

W półmroku panującym w celi oczy bandyty zabłyśły jak u wilka. Zaczynał rozumieć plan Bandery.

- O - szepnął cicho, jakby w obawie, by jego głos nie spłoszył rodzącej się w głębi serca nadziei. - Wspaniale. Jeden z nas umrze.

Dozorca musi wejść, by zobaczyć, co się stało... a potem - palce jego zakrzywiły się niby krogulcze szpony - jedno ciche westchnienie... ostatnie w życiu...

- Nie - zaproponował stanowczo Bandera. - Nie ma mowy o trupach. Dość mam już morderstw na swej drodze w tym kraju. Wystarczy go ogłuszyć i zakneblować. Tylko pod tym warunkiem - podkreślił energicznie - będziemy współpracować!

Harrington wzruszył ramionami, nie mogąc zrozumieć dziwacznych subtelności swego towarzysza. Musiał mu jednak ustąpić. Bez współpracy Bandery przeprowadzenie planu było w ogóle nie do pomyślenia.

- Niech i tak będzie - burknął niechętnie - skoro tak się upierasz, zachowaj swe cenne życie.

- Wierzę ci - zajrzał mu głęboko w oczy Bandera. - Zresztą co tam strata tych kilku minut. Pomyśl, potem będziemy już na wolności...

- Na wolności - powtórzył rozmarzonym tonem bandyta. Krwiożercze rysy jego twarzy rozjaśnił radosny uśmiech. - Na wolności - westchnął żarliwie, jakby wznosząc modły do swego opiekuńczego

bóstwa.

- Słuchaj dalej - wyjaśniał Bandera - musimy omówić każdy najdrobniejszy szczegół naszego planu. Małe niedociągnięcie i kłapa. Ja będę udawał nieboszczyka. Wołaj wartownika ostrożnie, nie podnosząc zbytecznego alarmu. Na hałas mogłaby się ich zlecieć cała chmara. Udawaj bardzo przerażonego, by mu nie wpadło do głowy zawołać z dołu kogoś, kto razem z nim wszedłby do naszej celi. Gdy już będzie w środku i nachyli się nade mną, pchnij go mocno na mnie. Ja sobie z nim poradzę, gdyby zaś okazał więcej przytomności umysłu, aniżeli myślę, pomożesz mi. Sam zresztą będziesz widział, co i jak. We dwóch w każdym razie nie będzie to dla nas zbyt trudne, ale mam nadzieję, że wystarczy, jak mi pomożesz go związać już po wszystkim.

- No - rozciągnął się na prycy, przymykając oczy - zaczynamy. Harrington podszedł skradającymi krokami do drzwi, pukając lekko w stalową płytę.

Czekali chwilę wlokącą się ze śmiertelną powolnością.

Pukanie nie wywołało na korytarzu żadnego oddźwięku.

Bandyta zapukał mocniej. Nic.

Uderzał teraz w stal zaciśniętymi pięściami.

Bandera zdrewniał. Wydawało mu się, jak gdyby hałas uderzeń dźwięczał z siłą alarmowego dzwonu.

Rozbudzi całe więzienie - pomyślał z niepokojem.

Gmach jednak wciąż milczał pogrążony w sennej ciszy.

Dopiero po kilku minutach łomotania na korytarzu rozległy się człapiące kroki. Harrington przywarł twarzą do okratowanego okienka. Bandera zaś sprężył wszystkie mięśnie.

Nadciągała decydująca chwila. Teraz wszystko zależało od stopnia przytomności wartownika. Jeżeli nie jest dostatecznie rozespany, zawoła na pewno któregoś ze swych towarzyszy. Nie było przecież rzeczą zbyt rozsądną wchodzić wśród nocy do celi zamieszkałej przez dwóch więźniów, mających w perspektywie stryczek.

Wartownik jednak był rozespany, jak świadczył o tym jego głos.

- Co... - usłyszał Bandera dobiegający poprzez okienko ochryply ze snu głos - powściekaliście się?... robić po nocy takie hałasy?

- Ten nowy - zawołał Harrington - ten Bandera... czy jak mu tam... - Dźwięk głosu bandyty wypadł zupełnie naturalnie. Harrington był naprawdę zdenerwowany.

Twarz jego przy tych słowach musiała mieć widocznie również odpowiednio przerażony wyraz, następne bowiem słowa wartownika dźwięczały już czysto, pozbawione zupełnie nalotu senności.

- Co z tym Bandera? - zapytał przysuwając głowę do okienka.

- Zdaje się... kipnął - oznajmił Harrington. - Zresztą nie wiem. Przed godziną zaczął ni stąd, ni zowąd rzezić... dostał jakichś drgawek... teraz ucichł... o ile zdołałem ustalić, jego serce nie bije... Pewno się otruł... coś tam wkładał do ust... wydłubał jakąś pigułkę z papierosa...

- O! - krzyknął wartownik - nie mogłeś mnie wcześniej zawołać? - Teraz w jego głosie brzmiał wyraźny strach. Odczuwał go zresztą naprawdę. Za ucieczkę więźnia niemal spod samej szubienicy groziła surowa odpowiedzialność niezależnie od tego, w jakiej drodze się ta ucieczka odbyła. W najlepszym razie mógł stracić wygodną posadę.

Bandera nie mylił się w swych rozważaniach. Wartownik miał wszystko do stracenia. Nie pomyślał ani przez chwilę o zawołaniu

któregoś z kolegów. Może jeszcze zdołam wyratować tego chłystka - rozmyślał gorączkowo, szurając w pośpiechu kluczem po stalowej płycie. Minęło dobre kilkadziesiąt sekund, zanim zdołał wreszcie trafić do zamka.

Wbiegł gwałtownie do wnętrza, zapominając nawet zamknąć za sobą drzwi, choć Harrington stał tuż koło nich. Ostatecznie nie było to takie konieczne. Na dole w wartowni siedziało jeszcze dwóch jego kolegów, przed wejściem stał uzbrojony wartownik. Wydostać się na zewnątrz? Nie, pomimo otwartych drzwi celi było to absolutnie niemożliwe.

Na widok postaci sztywno wyciągniętej na pryczy dozorca drgnął niespokojnie. Ciało Bandery wyglądało całkiem na zwłoki.

Szybkimi krokami podszedł do leżącego. Zapomniał o otwartych drzwiach, zapomniał o stojącym tuż za sobą Harringtonie. Myślał tylko o jednym: oto więzień, polecony ze szczególnym naciskiem przez szeryfa jego pieczy, zdołał umknąć spod szubienicy, a on dowiedział się o tym już... po wszystkim...

Na pewno mnie wyleją - rozmyślał z rozpaczą, pochylając głowę nad nieruchomym ciałem.

W tej samej niemal chwili, gdy wyciągał rękę, by dotknąć twarzy rzekomego nieboszczyka, Harrington silnym pchnięciem rzucił go na tapczan.

Silne ręce Bandery zacisnęły się na gardle wartownika.

Nie zdołał wydać ani jednego dźwięku. Otworzył szeroko usta, by złapać powietrze do zduszonej krtani.

Bandera zręcznym ruchem wtłoczył mu do gardła zwiniętą w kłębek chustkę.

Trwało to wszystko razem najwyżej kilka sekund. Zaskoczony

niespodziewanym napadem, wartownik nie zdążył się zdobyć na najslabszą choćby obronę. Zanim się zorientował w sytuacji, leżał już na pryczy dokładnie związany pociętymi w pasy prześcieradłami. Tkwiący w ustach knebel uniemożliwiał mu wydobyć głosu.

Patrzył szeroko rozwartymi ze zdumienia oczyma, jak człowiek, którego przed chwilą uważał za nieboszczyka, uwijał się teraz z przerażającą żywotnością.

W tej chwili wołałby stokrotnie, by okazał się on naprawdę trupem. To, co się stało, było o wiele gorsze aniżeli niedopatrzenie samobójstwa. Podeszli go w haniebny sposób. Jak pierwszego lepszego nieopierzonego złodzieja. To już groziło znacznie poważniejszymi konsekwencjami aniżeli utrata posady. Kto wie, czy nie posądzą go o zмовę? Trudno przecież uwierzyć, by stary wyjadacz dał się nabrać na tak pospolity kawał... Nic jednak nie mógł poradzić. Leżał tak dokładnie obandażowany płóciennymi więzami, że nie było mowy o wykonaniu najmniejszego poruszenia.

- Gotowe - oświadczył Bandera, zawiązując ostatni węzeł - widzisz, obeszło się bez morderstwa.

- Racja - mruknął Harrington - któż jednak mógł przewidzieć, że to bydlę okaże się aż tak głupie? - i przykrył wartownika kocem, naciągając mu go pod brodę.

W oczach wartownika na te słowa zamigotała wściekłość. Gdyby nie był tak mocno związany, Harrington pożałowałby, że się w ogóle urodził.

Harrington wyciągnął z pochwy dziesięciopistoletowego colta.

Obejrzał broń z lubością, po czym wsadził ją za pas, zerknąwszy niepewnie na Bandere.

Ostatecznie zdawał sobie sprawę, że obydwaj mieli takie samo prawo do zdobytej broni. Bandyta miał delikatne poczucie sprawiedliwości... w stosunku do swych towarzyszy.

- Dobrze - zgodził się Bandera - możesz to zabrać. Ja nie chcę używać broni. Ale musisz mi obiecać...

- Wiem, wiem - przerwał mu zniecierpliwiony Harrington - żadnych trupów... chyba że w ostateczności - dodał po chwili, ładując do kieszeni wyjęte z kabury zapasowe magazynki.

Bandera nie odpowiedział. W tych warunkach nie mógł wymagać od niego niczego więcej.

- Idziemy. - Harrington skierował się w stronę otwartych drzwi.

- Wolnego - powstrzymał go Bandera - jak sobie to wyobrażasz?

Bandyta spojrzał na Jacka ze zdziwieniem. Dla niego sprawa przedstawiała się zupełnie prosto. Drzwi od celi stały otworem, miał w ręku broń, jakież mógł być więc powód do zwłoki?

- Zwyczajnie - odpowiedział powoli - zejdziemy na dół, a potem dokąd oczy poniosą...

- W ten sposób niedaleko byśmy zaszli - uśmiechnął się Bandera na takie uproszczenie sprawy. - Na dole na pewno siedzą wartownicy. Na nasz widok wszczęliby alarm, zleciałoby się całe miasto a wówczas nawet colt by nam nie pomógł. Trzeba wymyślić coś innego...

- No? - bandyta nie spuszczał roziskrzonych oczu z jasnego prostokąta drzwi. Zdawało mu się, że upragniona wolność oczekuje tuż poza nimi.

Bandera namyślał się przez chwilę.

- A gdybyś tak spróbował udawać wartownika? Macie całkiem

podobne sylwetki, w półmroku może by jakoś uszło...

- Rozbierać go? - Harrington wskazał ręką na dozorcę obandażowanego niby mumia egipska.

- To byłoby najpewniejsze, ale zajęłoby nam zbyt wiele cennego czasu, natomiast wieczorem, gdy przechodził koło okienka, widziałem, że miał na sobie płaszcz. Jeżeli go nie odniósł do domu, znajduje się na pewno gdzieś na korytarzu. Wystarczyłby ci od biedy. Nie będą się chyba zbyt dokładnie przyglądać.

Harrington pokiwał z powątpiewaniem głową. Pomysł Bandery nie przypadł mu zbyt do przekonania.

- A... ty? - spytał po chwili - też będziesz udawać wartownika?

- Nie, ja będę więźniem, którego prowadzisz na przesłuchanie...

- Teraz, po nocy?

- A cóż w tym dziwnego - nie ustępował - nie zapominaj, że jestem pod specjalną „opieką” Carsleya. Może mieć swoje, sobie tylko wiadome powody, by chcieć mnie przesłuchać właśnie w nocy. Zresztą nie potrzebujesz wdawać się w zbyt szczegółowe objaśnienia. „Szeryf kazał”, i to wszystko. Powinno im wystarczyć.

- Spróbujemy - wzruszył ramionami Harrington - jeżeli płaszcz się znajdzie... Opuścili celę, zamknawszy za sobą stalowe drzwi jednym z kluczy, których cały pęk znaleźli przy wartowniku. Jednego wroga w każdym razie unieszkodliwili na czas dłuższy. Sforsowanie siłą stalowych drzwi nie było możliwe bez użycia dynamitu.

Harrington wyteżał wzrok, badając korytarz pogrążony w pół-światle rozsiewanym przez słabą żarówkę, zawieszoną w okratowanym kloszu przy samym suficie. Palce jego zdecydowanym chwytem objęły głównię



pistoletu. Nie dałby się tym razem ująć żywcem. To pewne.

Korytarz jednak był pusty. Za zamkniętymi na głucho stalowymi płytami drzwi cel, obok których przechodzili, panowała martwa cisza. Więzienie spało.

O kilka kroków, w głębi korytarza, niemal tuż za załomem ściany, stał drewniany fotel z prymitywnie skonstruowanymi poręczami. Na jego oparciu zwisał zmiętoszony szary płaszcz.

- Ot - wskazał Bandera - twój mundur!

Harrington narzucił na siebie grube okrycie. Leżało świetnie, jakby specjalnie na niego uszyte.

- Wartownik jak się patrzy - obrzucił go krytycznym spojrzeniem Bandera - mam wrażenie, że nawet jego rodzona matka wzięłaby was za swego syna w tym świetle.

Bandyta otulił się szczelnie płaszczem.

- Ma przynajmniej jedną zaletę - mruknął bez większego przekonania - można pod nim trzymać rewolwer w garści. Ale co zrobić z głową? Czapki jakoś nigdzie nie widać?

- Po co ci czapka? Masz kapiszon. Schowasz się pod nim lepiej aniżeli pod jakąkolwiek czapką...

Nasunął Harringtonowi na głowę brunatny kaptur, zwisający spod kołnierza płaszcza. Twarz bandyty zginęła zupełnie w obramowaniu włochatego materiału. Teraz naprawdę można było wziąć go nawet z bliska za wartownika.

- Idziemy - Bandera zdecydowanym krokiem ruszył w głąb korytarza - i pamiętaj: nie wdawaj się w żadne wyjaśnienia, bo wtedy murowana kłapa.

Z trudem opanowywał drżenie mięśni, usiłując stawiać pewne kroki. Zbliżał się decydujący moment. Wszystko teraz zależało od przytomności umysłu Harringtona. Jeżeli nie potrafi odegrać wystarczająco dobrze swej roli, wyprawa skończy się tuż przy drzwiach prowadzących na wolność.

Nie śpiesząc się i nie ścisząc kroków, zeszli na dół po stromych żelaznych schodach.

Banderze wydawało się, jak gdyby każdy krok po metalowych stopniach dźwięczał z donośnością grzmotu, wstrząsając murami więzienia, ale w tej chwili nie to było najważniejsze.

Wreszcie dotarli na dolny podest. W przodzie czerniały potężne drzwi, za nimi otwierała się już wolność...

Na dźwięk kroków uchyliły się oszklone drzwi i w półmroku zamajaczyły jakieś niewyraźne postacie.

Stanęli. Harrington zachowywał się nadszpiewanie spokojnie. Bandera zerknął na niego ukradkiem. Trzymał się zupełnie dobrze.

- Dokąd prowadzisz więźnia? - zabrzmiał czyjś ochrypnięty głos.

- Cóż - burknął niewyraźnie Harrington. - Wiadomo. Carsley kazał.

- Teraz? - zapytał z wyraźnym zdumieniem w głosie drugi z wartowników.

- Ażeby to... - spod kapiszona wypłynęło jakieś niewyraźne przekleństwo. - Kazał, to muszę. Czy dla takiego jest noc?

- Ano - ciężko podszedł ku nim jakiś olbrzym w skórzanym ubraniu.

- To chyba ja was zastąpię, Denty? Prawdę mówiąc, wcale mi się to nie uśmiecha.

Harrington zdrętwiał, a palce jego poczęły powoli wyciągać

rewolwer. Nie mógł przecież rozmawiać z tym drabem, o którym nic nie wiedział.

Uwadze Bandery nie uszło zaaferowanie towarzysza. Mogło być źle. Zdołał już na tyle dobrze poznać charakter bandyty, by się zorientować, że planuje on jakiś desperacki czyn. W tych warunkach pokuszenie się na jakąkolwiek przemoc należało z góry uznać za skazane na zupełne fiasko. O wyłamaniu potężnych drzwi wejściowych nie można było nawet marzyć.

Trącił go niepostrzeżenie łokciem.

- Jak długo - zapytał w przestrzeń opryskliwym głosem - będziecie mnie jeszcze trzymać przed schodami? Jeżeli mamy iść, to chodźmy, jeżeli nie, to wracam do celi...

Odwrócił się na pięcie, zaczynając demonstracyjnie wstępować na schody.

Harrington brutalnym szarpnięciem za rękaw ściągnął go z powrotem na dół.

- Tylko bez hysterii - burknął gniewnie.

- No! - warknął ostrzegawczo Bandera - łapy przy sobie! Dywersja się udała. Ogólna uwaga skupiła się na scysji.

- Ty! - wrzasnął olbrzym, zaciskając wielką pięść - nie stawiaj się, boja ci...

- Czy aby dasz sobie z nim radę po drodze? - zapytał niski, pękaty człowieczek bez kurtki.

Harrington ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Hm - chrząknął znacząco - mam specjalne instrukcje...

- Świetnie - ucieszył się nie wiadomo dlaczego olbrzym - tylko ja

bym radził - dodał po chwili - rewolwer w garści...

- Trzymam - oświadczył, zresztą zupełnie zgodnie z prawdą, Harrington.

Wreszcie ciężkie podwoje otworzyły się przed nimi, odsłaniając płat gwiazdzistego nieba. W zaduch, panujący w budynku, wionęło świeże, nocne powietrze. Bandera wciągnął je z ulgą w płuca. Czuł, jak na jego czole perlą się obficie krople potu. Te kilka minut spędzonych na rozmowie ze strażnikami nie należało do najprzyjemniejszych przeżyć. Teraz najgorsze pozostało już poza nimi. Drzwi na wolność stały otworem.

Powoli, bez pośpiechu wyszli na zewnątrz. Pod nogami zachrzącał żwir. Byli już na dworze.

Za nimi z żalnym zgrzytem zamykały się ciężkie odrzwia, odcinając padający na ziemię ze środka prostokąt mdłego światła.

- Nareszcie - szepnął Bandera, odetchnąwszy pełną piersią. Niespodziewanie jakiś cień pojawił się wprost przed nimi w ciemności.

- Kto? - zapytał z lekka ochrypły głos.

- Denty - odpowiedział Harrington, cedząc przez zaciśnięte zęby.

- O - zawołał cień, pochylając się ku niemu - to się świetnie składa...

- Spieszę się do szeryfa - burknął bandyta, pomny na przestrożę Bandery.

Cień był jednak nieustraszony.

- Byłeś u George'a? - zapytał.

- Spieszę się - powtórzył Harrington.

Cień pochylił się jeszcze niżej, w ciemnościach zabłysły jego oczy.

Bandera zdrętwiał, zaciskając pięści. Nie dadzą się przecież zatrzymać, teraz, gdy już zdołali przebrnąć najgorsze, jakiemuś gadule.

- Pogadamy później - mruknął chropowato Harrington, odsuwając się od cienia.

- Później? Nie, bratku. Teraz! - w głosie nieznajomego zabrzmiały jakieś alarmujące nuty.

Nagle ostry, jaskrawy promień przeciął mrok. Bandera sprężył ciało do skoku, rzucając się na nieznajomego. W ciemnościach, zakotłowało się.

- Uwaga! Ratunku! - wrzasnął wielkim głosem napadnięty.

Buchnął strzał, przetaczając się głuchym echem wzdłuż murów. Bandera wymierzał ciosy w wijące się ciało. Tamten nie pozostał dłużny. Od jego uderzenia, które trafiło w podbródek, Banderę zamroczyło na chwilę.

- Biegiem! - zakomenderował Bandera, rzucając się w jakąś ginącą w ciemnościach uliczkę.

Biegli szybko. Drewniany chodnik dudnił przeciągle pod uderzeniami ich podeszew. Otaczający ich ze wszystkich stron nieprzenikniony mrok zaczął ożywać. Coś się poruszało za nimi. Rozległy się czyjeś głosy. Nasilały się z każdą chwilą.

Bandera miał wrażenie, jakby prześladowcy otaczali ich już ze wszystkich stron. W piersiach brakło tchu. Czerwone pląty zaczęły migać przed oczyma. Musiał na chwilę zwolnić biegu. Słyszał zresztą obok siebie ciężki, urywany oddech Harringtona.

- Po coś strzelał? - odezwał się z wyrzutem - rozpętałeś piekło.

- To nie ja - głos bandyty dźwięczał dziwnie słabo - po drugim strzale dzieliłem go tylko głownią.

Uliczka, którą biegli, wydłużała się w nieskończoność. Nie wiedzieli, co było przed nimi.

Wiedzieli za to dobrze, co było za nimi. Coraz liczniejsze kroki biegnących dźwięczały po chodniku. Musieli uciekać przed siebie. Za nimi była śmierć, przed nimi niewiadome.

Rozbłysły nagle ogniki strzałów. Nie przejęli się jednak zbyt nimi. Ścigający strzelali na oślep, zresztą śmierć od kuli nie była najgorszym wyjściem z tej sytuacji.

Harrington zaczął wyraźnie odstawać. Bandera zwolnił kroku, nie chcąc zostawiać towarzysza ucieczki.

- Uciekaj... sam - odezwał się zduszonym głosem bandyty.

- Nie - oświadczył twardo Bandera - razem wyszliśmy, razem pójdziemy dalej. Postaraj się zdobyć na maksimum wysiłku. Może za chwilę zgubimy ich w ciemnościach...

- Ja... - dalsze słowa utonęły w świszczącym oddechu, dobywającym się z piersi bandyty.

W ciemnych bryłach domów, wzdłuż których biegli, zaczęły rozbłyskać światełka. Ulica budziła się. Gwar poza nimi narastał z każdą chwilą. Pędzili przed siebie, dobywając resztek sił.

Ulica skręcała pod kątem prostym w lewo.

Tuż za zakrętem budynek wysunięty daleko w przód zamykał niemal całą połowę szerokości chodnika.

Okna tego budynku świeciły żółtawym światłem. To już nie były poszczególne, rzadko rozsiane światełka, jak w innych domach. Cała ściana tworzyła jasną plamę na de ciemności.

Na ganku, przecinającym chodnik, szybko poruszały się jakieś postacie.

Jezdnia zapchana była końmi przywiązanymi do słupów,

podtrzymujących dach rozpościerający się nad gankiem.

- Konie! - krzyknął Bandera. - Trzymaj się. Aby tylko dopaść koni, będziemy ocaleni.

Jeszcze kilka kroków. Na jezdnię wybiegli wrzeszczący ludzie.

Barczysty mężczyzna z gołą głową zastąpił Banderze drogę. W jego ręku błyszczał, w świetle padającym z okien, jakiś metalowy przedmiot. Trudno było się zorientować w tej niepewnej migocącej jasności, co to takiego było. W każdym razie rewolwer albo nóż, na pewno nic innego.

Bandera rąbnął na odlew zaciśniętą pięścią, wkładając w ten cios rozpaczliwy wysięk. Od uderzenia w coś twardego zapiekł go boleśnie kciuk, ale człowiek zastępujący mu drogę osunął się bez dźwięku niemal pod kopyta zdenerwowanych zgiełkiem koni. Znowu ktoś rzucił się na Banderę. Usunął się błyskawicznym skokiem w bok. Chwila... i siedział na siodle jakiegoś konia, wałącego nerwowo kopytami.

Jednym szarpnięciem zerwał przywiązane do belki cugle.

Obejrzał się w tył. Harrington, opędzając się napastnikom, gramolił się również na siodło. Nie było na co dłużej czekać.

Wparł obcasy w brzuch zwierzęcia.

Niemal oszalałe z trwogi, rzuciło się gwałtownie przed siebie.

Popędzał ustawicznie konia, nie dając mu czasu na opamiętanie. Gdyby mustang ochłonął z przerażenia, niewątpliwie zapragnąłby zrzucić z siodła obcego jeźdźca, a do tego nie wolno było dopuścić za żadną cenę.

Tuż obok siebie słyszał tętent kopyt.

To pędził Harrington.

Konie z każdą chwilą nabierały coraz większej szybkości.

Zgiełk za ich plecami cichł z każdym uderzeniem kopyt o miękką

ziemię ulicy. Bandera poprawił się wygodnie na siodle.

- Dobra nasza! - zawołał do milczącego towarzysza, odetchnąwszy wreszcie pełną piersią.

## ŚMIERC HARRINGTONA

- Nie jestem tego zupełnie pewny - odpowiedział bandyta. Głos jego brzmiał tak słabo, że Bandera obrzucił badawczym wzrokiem postać swego towarzysza.

Bandyta siedział skulony na siodle, chwiejąc się bezwładnie za każdym krokiem konia.

- O! - zawołał Bandera - jesteś ranny?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział niedbale tamten - ale to nic wielkiego. Jeden ze strzałów wartownika przed więzieniem przecież mnie dosięgnął. Zwykle draśnięcie.

Bandera nie dał się zwieść. Głos i wygląd Harringtona wiele mówiły o jego stanie.

- Czy aby - zapytał z niepokojem - wytrzymasz tempo naszej jazdy?

- Ja? - zaśmiał się chrapliwie Harrington. - Polazłbym na czworakach do piekła... albo jeszcze dalej, byleby tylko... uciec od szubienicy...

Przez chwilę panowało milczenie. Bandera, obserwując spod oka niepewne ruchy bandyty, obawiał się, by ten nie runął lada chwila na ziemię

- Wytrzymam - odezwał się znowu Harrington - ale czy mimo to nas nie dogonią... tego nie wiem...

- Jak to - drgnął niespokojnie Bandera - przecież mamy konie?



- Oni... też mają... o, posłuchaj! - podniósł znacząco rękę. Bandera wsłuchał się w ciszę nocną. Z oddali dochodził przytłumiony, niewyraźny, jakby przelewający się gwar.

- To? - wskazał poza siebie kiwnięciem głowy.

- Tak - potwierdził bandyta. - Już zdążyli zorganizować pościg. Popędzili konie. Ginące w mroku nocy domy uciekały w tył z coraz większą szybkością. Ta dzielnica miasta, przez którą teraz przejeżdżali, jeszcze spała.

Ulica była zupełnie pusta. W żadnym oknie nie błyszczało najmniejsze choćby światełko.

Bandera od czasu do czasu odwracał się w siodle, usiłując przebić wzrokiem rozpościerające się za nimi morze mroku. Nic jednak jeszcze nie mógł dojrzeć.

Słabe odgłosy nie przybierały na sile. Pogoń wciąż jeszcze pozostawała daleko w tyle.

Pędzili, nie zwalniając tempa, kilkaset jardów w zupełnym milczeniu.

Domy, stojące po obu stronach drogi, stawały się coraz rzadsze, wreszcie szeroka, pozbawiona zabudowań przestrzeń rozlała się przed nimi jaśniejszą plamą.

W nozdrza uderzył świeży powiew ostrego wiatru. Wjechali na szeroką, brukowaną kamieniami drogę. Bandera ściągnął cugle.

- Dokąd teraz? - zapytał, nasłuchując z napięciem. Panowała zupełna cisza. Odgłosy pogoni wsiąkły w mrok.

- Przed siebie, dokąd oczy poniosą - mruknął Harrington.

- Nie - zaproponował Bandera - przed siebie w żadnym razie. Na

pewno będą nas gonić po tej właśnie drodze. Musimy pojechać w takim kierunku, w jakim nie przyjdzie im do głowy nas szukać. Jak myślisz, jaka strona świata najlepiej się do tego nadaje?

Harrington rozmyślał przez chwilę.

- Jeżeli ci chodzi o najtrudniejszą drogę - odezwał się wreszcie - najlepiej w kierunku północnym. Tam rozciąga się prawdziwe bezdroże, na którym można skrócić kark w dzień, a cóż dopiero w tych ciemnościach. Nikomu na pewno nie przyjdzie na myśl, by tam za nami gonić.

- A my przejdziemy?

- Ba - wzruszył ramionami Harrington. - Jeździłem tamtędy setki razy. Przeważnie po nocy. Przejechałbym nawet z zawiązanymi oczyma, ale niewielu jest takich, którzy by potrafili tego dokonać.

-Więc jedziemy. - Bandera zdecydowanym ruchem skrzył konia ku północy.

Harrington powstrzymał go gestem ręki.

- To nie jest takie proste - zaczął pełnym wahania głosem. Bandera obrzucił zdumionym wzrokiem rysującą się niewyraźnie w mroku sylwetkę towarzysza.

- Dlaczego?

- Bo... widzisz, droga jest naprawdę trudna... - urwał niezdecydowanie.

Bandera zniecierpliwiał się. Tracą cenne minuty na rozmówki, podczas gdy pogoń na pewno pędzi za nimi co tchu w końskich piersiach.

- Cóż z tego, że trudna? - zapytał, a w głosie jego dźwięczały nuty rozdrażnienia. - Skoro jedziemy razem?

- Tak, dopóki jedziemy razem - odpowiedział Harrington z jakimś szczególnym brzmieniem.

Bandera zrozumiał, co tamten miał na myśli. Czyżby było z nim aż do tego stopnia źle? Nie uważał bandyty za zdolnego do roztkliwiania się nad sobą.

- Kiepsko się czujesz? - podjechał nieco ku skulonej na siodle postaci.

Harrington nie odpowiedział. Bandera bezskutecznie usiłował dojrzeć w mroku wyraz jego twarzy.

- Jedziemy - zdecydował wreszcie bandyta, nie odpowiadając na pytanie. Wysunął się trochę naprzód.

- Trzymaj się za mną - rozkazał nieco okrzepłym głosem. - Jeżeli się zgubisz, skrećisz sobie i koniowi kark na amen.

Ostrożnie przejechali dość głęboki rów, biegnący wzdłuż drogi, po czym przez kilkanaście minut musieli się przedzierać przez gęsto rosnące krzaki.

Gdy wreszcie je zdołali sforsować, wyjechali na kamienistą płaszczyznę, zasypaną odłamkami skał. Konie potykały się teraz niemal na każdym kroku.

Bandera wyteżał wzrok, trzymając się tuż za koniem swego przewodnika. Było tak ciemno, że nie mógł dojrzeć sylwetki siedzącego na koniu jeźdźca.

W mroku czerniały jakieś wiszące ze wszystkich stron bloki. Miejscami droga biegła pomiędzy sterczącymi krawędziami poszarpanych skał. W pewnym momencie, w czasie przeciskania się przez wąski przesmyk, Bandera otarł się całym ciałem o ostry kamień, który rozdarł na

nim ubranie, boleśnie kalecząc ciało.

- Do... licha! - zaklął półgłosem przez zaciśnięte zęby. Czuł, jak ze zranionej nogi wąskimi strumykami spływa krew.

- No - rozległ się głos niewidocznego w ciemnościach Harringtona - jak ci się podoba ta droga?

- Bardzo - odpowiedział Bandera, siląc się na wesołość - ma przynajmniej tę zaletę, że na pewno nikomu o zdrowych zmysłach nie przyjdzie do głowy, by nas na niej ścigać.

Sięgnął do kieszeni, wydobywając zmiętoszonego papierosa. Pomimo piekielnego zmęczenia i boleśnie zranionej nogi nie czuł się najgorzej. Był na wolności, i to było najważniejsze, poza tym zaś pogoń niewątpliwie zgubiła ich ślady. Nie można było żądać od losu zbyt wiele na raz. W każdym razie sytuacja stała się o całe niebo lepsza od tej, w jakiej się znajdował będąc zamknięty w celi, z której jedyne wyjście prowadziło na szubienicę.

Zaciągnął się z lubością dymem.

- Chcesz papierosa? - rzucił w ciemność pytanie.

- Papierosa? - powtórzył przeciągle Harrington. - Nie, jeszcze nie teraz.

Bandera wsłuchiwał się z niepokojem w dźwięk jego głosu. Był przekonany, że Harrington jest poważnie ranny. Cóż mógł na to poradzić? Labirynt powikłanych ścieżek górskich, jaki obecnie przebywali, nie dawał możliwości rozłożenia obozu.

Odczuwał wyrzuty sumienia. Powinien był opatrzyć swego towarzysza przedtem, dopóki jeszcze przebywali na szerokiej drodze.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Dobrze... dobrze - mruknął cicho Harrington, nie zwalniając ani na chwilę tempa mozolnej wędrówki.

Głos jego drżał, jakby się miał urwać w połowie słowa.

Bandera postanowił opatrzyć go w chwili, gdy tylko zdoła do niego podejść. Tymczasem było to nie do pomyślenia. Wydłużony w nieskończenie długi korytarz przesmyk, przez który się przedzierał, miał szerokość kilkudziesięciu centymetrów najwyżej...

Pomimo przyciskania z całym wysiłkiem nóg do końskich boków czuł co chwila chropowate muśnięcia skał, ocierających się o jego ubranie.

Ścieżka zaczęła się pięć coraz bardziej stromo w górę, zmuszając ich do posuwania się niemal krok za krokiem.

Wąwóz wypełniał gęsty mrok. Bandera nie mógł dojrzeć nawet zarysu jadącego przed nim Harringtona ani jego konia, choć dzieliła ich odległość nie większa aniżeli jakieś ćwierć metra.

Wokół panowała absolutna cisza.

Ukołysany monotonną, powolną jazdą, Bandera zaczął drzemać, chybotając się w siodle w takt kroków konia.

Mijały pełzające minuty, odmierzane głuchym stukotem kopyt o kamienie.

Ocknął się wreszcie, poczuwszy uderzający wprost w twarz świeży powiew zimnego wiatru.

Przed nimi różowiła się delikatna poświata wstającego świtu. Zbliżali się do wylotu wąwozu.

W blednym mroku ujrzał sylwetkę swego towarzysza. Harrington zwisał bezwładnie w siodle.

- Jak tam z tobą? - zapytał.

Harrington milczał.

- Halo! - krzyknął głośniejszym głosem - jak się czujesz?

- O - bandyta poruszył się jakoś niemrawo w siodle - wkrótce...  
wyjeżdżamy...

Dalsze pytania stały się zbędne. To było widoczne. Harrington gonił resztkami sił.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i ściany wąwozu urwały się nagle, jakby ucięte ostrym nożem, ustępując miejsca szerokiej skalnej płaszczyźnie.

Bandera szarpnął cuglami, podjeżdżając do towarzysza.

- Psiakrew! - zaklął, spojrzawszy mu w twarz. - Co ty wyprawiasz? -  
Przysunął się tuż do niego.

- Nnnic... - westchnął bandyta - jedziemy dalej... Bandera schwycił cugle jego konia, zatrzymując go w miejscu.

- Żadne „jedziemy” - burknął, zeskakując na ziemię - pokaż no tę ranę!

Objął wpół bezwładne ciało, ściągając je z siodła. Harrington nie zdobył się na żaden opór. Zaciążył martwym bezruchem, przelewając się w rękach. Bandera położył go ostrożnie na kamieniach.

- Gdzie cię trafił? - zapytał, klękając przy nim. Harrington uśmiechnął się bladymi wargami. - To... nie takie... ważne...

- Ważne czy nieważne - udawał gniew Bandera, czując bolesny skurcz w sercu - masz pokazać i już!

- Ario... skoro chcesz... - Harrington podniósł lewą rękę przyciśniętą dotychczas do boku.

Całą powierzchnię bluzy od ramienia do pasa pokrywały plamy

zakrzepniętej krwi.

Bandera, ostrożnie rozpiąwszy bluzę na piersiach bandyty, próbował znaleźć ranę. Nie mógł jednak do niej dotrzeć. Materiał ściśle przylegał do ciała, przylepiony skrzepami.

Harrington poruszył się niespokojnie w chwili, gdy Bandera delikatnie usiłował oderwać koszulę od rany.

- To... niepotrzebne... - głos jego wypływał z piersi niemal jękiem. - Znam to, byłem już ranny... Tym razem... ostatni... Kula ugrzęzła gdzieś tuż pod sercem. Nie da rady.

Bandera opuścił bezradnie ręce. Spodziewał się tego od momentu, w którym ujrzał krwawe plamy na wysokości serca. Na to nie było ratunku. Może Harringtona zdołałby jeszcze uratować nóż zręcznego chirurga, ale w tych warunkach sytuacja przedstawiała się zupełnie beznadziejnie.

- Gdybym cię opatrzył od razu na drodze... - zaczął.

- Pewnie - bandyta przymknął powieki. - Gdybyśmy zatrzymali się dłużej na drodze, może by mnie uratował doktor Meadow dla... szubienicy... a tak... wymknąłem się przecież... spod samego stryczka... uciekłem im na dobre... Już mnie nigdy nie powieszają...

Urwał wyczerpany. Pierś jego podnosiła się konwulsyjnie. Z ust wydobywał się świszczący oddech.

Bandera wpatrywał się z rozpaczą w siniejącą twarz bandyty. Znali się zaledwie kilkanaście godzin, ale wspólne przejścia uczyniły mu Harringtona drogim jak brat. Zdawał sobie doskonale sprawę, że gdyby nie Harrington, nigdy by nie zdołał uciec z więzienia.

Harrington otworzył powieki. Jego gorączkowo błyszczące oczy utkwily w źrenicach pochylonego nad nim Bandery.

- Nie... dziw się... chciałem cię o coś zapytać...

- Tak? - Bandera pochylił się nad nim jeszcze niżej.

- Powiedz mi... jak myślisz... czy jest... Bóg? - rysy jego twarzy wyrażały najwyższe napięcie.

Bandera położył rękę na jego zwisającej sztywno dłoni.

- Jest - powiedział z mocą - na pewno jest! - Bandyta zamknął oczy.

Wyraz napięcia ustąpił z jego twarzy.

- I... ja tak... myślałem - powiedział z wysiłkiem - nie zawsze... czasami... teraz też... dobrze, że i... ty wierzysz... będzie mi lżej... odejść... może i dla mnie... pomyśl... takie życie... od początku... jak szczute zwierzę... mnie się nigdy nic nie udawało... inni mieli choć dzieciństwo. Ja nie... ojciec... szuler umarł w więzieniu... miałem wtedy parę lat... zawsze napiętnowany... krzywdzili mnie wszyscy... potem... ja zacząłem... krzywdzić... całe życie jedna koszmar... noc... ani jednego promienia... ale jeżeli jest Bóg... to może tam...

Unióśł głowę. Wzrok jego utkwiał w purpurze zawieszanej nad nimi płachty nieba.

- Boże! - krzyknął głośno. - Boże... ja... - dalsze słowa utonęły w rżeniu dobywającym się z piersi.

Głowa opadła ciężko na kamienie.

Oczy zaszyły martwością. Na blade wargi wystąpiła pomieszana z krwią piana. Znieruchomiał.

Bandera zdjął kapelusz z głowy.

Przyklękawszy przy zwłokach, modlił się przez dłuższą chwilę żarliwie, by dla tej biednej duszy po tamtej stronie zabłysnął wreszcie promień szczęścia, którego nie zaznał za życia.



## SAMOTNA WĘDRÓWKA

Tak - pomyślał Bandera, patrząc na rozciągniętą na kamieniach sztywną postać - on już ma spokój.

Rozejrzał się bezradnie wokoło. Kamienista płaszczyzna wykluczała możliwość wykopania jakiegokolwiek grobu. Nie mógł jednak zostawić tak Harringtona.

Wreszcie pod jedną z niebotycznych skał ujrzał ciemną kresę wąskiej szczeliny, otwierającej się tuż nad ziemią.

Dźwignął ciężkie ciało i przeniósł je ku skale.

Szczelina okazała się na szczęście dostatecznie głęboka, by pomieścić zwłoki. Trzeba było jednak zasłonić ten wykuty przez naturę grób od strony płaszczyzny.

Zaczął więc zbierać odłamki skalne budując z nich ścianę zamykającą otwór szczeliny. Nie należało to do łatwych zadań. Małe kamienie nie nadawały się do układania, rozsypując się przy mocniejszym pchnięciu. Był pewien, że pierwszy poryw wiatru mógłby zburzyć całą budowę, odsłaniając ciało.

Szukał więc większych odłamków, znosząc je z trudem ku szczelinie. Nie ważyły zbyt wiele, jednak przejścia ostatniej doby osłabiły mocno jego organizm, niezupełnie jeszcze okrzepty po odniesionej niedawno ranie.

Gdy skończył wreszcie pracę, całe jego ciało pokrywał wilgotny pot, czuł się wyczerpany do ostateczności.

Słońce stało już wysoko nad wierzchołkami skał, zalewając

płaszczyznę palącymi promieniami.

Usiadł na kamieniu, chcąc trochę odpocząć. Męczyły go głód i pragnienie. Od kilkunastu godzin nie miał nic w ustach.

Co dalej? - pomyślał, wpatrując się tępo w góry otaczające go ze wszystkich stron.

Płaszczyzna ciągnęła się na przestrzeni kilkunastu kilometrów kwadratowych, zamknięta szczelnie blokami skalnymi, pociętymi nieskończoną ilością wąwozów.

Który z tych wąwozów prowadził do celu i jaki w ogóle miał być cel jego wędrówki? Dokąd miał się udać?

Harrington wiedział, ale zamilkł na wieki. Miał rację, wahając się ze zboczeniem na północ. Przewidział swą śmierć podczas tej wędrówki.

Westchnął, wstając ciężko z kamienia. Nie było sensu siedzieć tu dłużej.

Konie też goniły resztkami sił. Nie były już w stanie wytrzymać długo bez pożywienia i wody - to się rzucało w oczy. Rosły mustang, na którym przyjechał, stał nieruchomo, patrząc osowiałym wzrokiem przed siebie.

Nie zdobył się na najłżejszy odruch protestu, gdy Bandera wsiadał na siodło.

Ujął cugle drugiego konia i powoli wyruszył w kierunku skał szarzejących na przeciwległym końcu płaszczyzny.

Nie kierował końmi, zdając się całkowicie na ich instynkt.

Każdy z wąwozów mógł prowadzić do życia, w każdym też mogli znaleźć śmierć z pragnienia i głodu.

Wszystkie wyglądały jednakowo pustynnie. W żadnym ani śladu

choćby najmniejszego źdźbła zieleni. Cóż więc miał wybierać?

Zagłębił się wreszcie w biegnący bardziej prostą od innych linią przesmyk. Tu przynajmniej promienie słoneczne nie docierały tak bezpośrednio jak na płaszczyźnie, za to zalegające wąską rozpadlinę powietrze wydawało się zupełnie pozbawione tlenu. Buchał żar niby z jakiegoś piekielnego pieca. Płuca daremnie usiłowały wyłowić jakieś świeższe tchnienie.

Posuwali się powoli naprzód. Konie stawiały niepewnie kroki chwiejnymi nogami, jakby każdy z tych kroków miał już być ostatni.

Bandera niemal położył się na końskim karku. Nie był już zdolny do myślenia.

Gardło piekło boleśnie. Ślina od dawna wyschła w ustach. Oddałby życie za kilka kropel wody. Rozejrzał się tęsknie po wąwozie.

Po obu stronach ciągnęły się popękane ściany bloków skalnych. Kamienie, wszędzie kamienie... nic poza nimi i ostrym kamienistym pyłem wciskającym się w nozdrza i gardło przy każdym oddechu.

Przymknął obolałe powieki. Przed oczyma powstawały obrazy szemrzącej przezroczystej wody... strumyki... rzeki... fontanny rozsiewające wokół siebie miliony chłodnych bryzgów.

Może choć deszcz?

Otworzył oczy, z wysiłkiem podnosząc głowę. Miał wrażenie, jak gdyby ważyła tysiące ton.

Nad wierzchołkami skał rozpościerało się jasnoblękitne niebo, przepojone żarem słonecznym. Nigdzie ani śladu najmniejszego choćby obłoczka.

Znowu przysłonił powiekami oślepienie oczy. Zaczynał tracić

świadomość. Wydawało mu się, że siedzi w małej łódce kołysanej łagodnymi falami jeziora. Wszędzie woda... całe masy wody. Wychylił się poza burtę, sięgając dłonią w przezroczystą toń... fale uciekały od jego ręki... Nie, to nie woda... to przecież lód... zimny, skrzący miliardami brylantowych błysków, twardy lód... Wystarczy przyłożyć rozpalone czoło... jeszcze trochę... co to? Lód parzy... nie, to rozpalone piaski pustyni... skąd pustynia?...

Obrazy zaczęły się kłębić w jakąś niesamowitą, pozbawioną sensu wizję... Pod czaszkę wdzierał się żar płomienia.

Zapał w bezdenną przepaść niebytu... Ciemność... Czerwona ciemność, czy to miało jakikolwiek sens?

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwał w tym stanie gorączkowej półświadomości. Wydawało mu się, że minęły całe wieki.

Jakby poprzez gęstą mgłę, spowijającą go całego, usłyszał jakieś obce głosy ludzkie...

Nie rozumiał, co się wokół niego dzieje - nawet nie starał się zrozumieć. Było mu już wszystko jedno.

Czyjeś ręce zdjęły go z siodła... coś twardego wcisnęło się pomiędzy zaciśnięte kurczowo zęby i wreszcie... tak, to była niewątpliwie woda... płyn, zwilżający gardło... Podniósł z trudem powieki. Tuż nad sobą ujrzał czyjeś obce, rozpływające się twarze.

- No - odezwał się zarośnięty mężczyzna, trzymający przy jego ustach manierkę - nie jest jeszcze tak źle, jak w pierwszej chwili myślałem.

Bandera z natężeniem wpatrywał się w otaczających go ludzi, zbierając rozpierzchające myśli.

Czyżby to była pogoń z Neavill - zaniepokoił się, wodząc oczyma po uzbrojonych postaciach.

Chyba jednak nie - zdecydował po chwili. W twarzach otaczających go mężczyzn nie dojrzał wyrazu wrogości. Klęczący tuż przy nim brodacz uśmiechnął się dobrodusznie, odejmując mu od ust manierkę.

- Nie - powiedział, odsuwając delikatnie ręce Bandery, wyciągające się po butelkę - musisz trochę poczekać. Zbyt duża porcja na raz mogłaby cię przetransportować na tamten świat.

Bandera usiadł, podnosząc się z wysiłkiem z kamieni, na których leżał.

- Gdzie jestem? - zapytał słabym głosem.

Brodacz mężczyzną powolnym ruchem sięgnął po papierosa.

- Chcecie? - podał mu na dłoni wymiętoszonego goldflacka. Przyjął z wdzięcznością. Ostatniego wypalił chyba przed całymi wiekami.

Przy pierwszym zaciągnięciu zakrztusił się gwałtownie. Krtań wciąż piekła jakby poparzona.

- Jeszcze wody... - poprosił. Czuł nieznośne uczucie mdłości. Brodacz podsunął mu manierkę.

- Tylko nie za wiele - ostrzegał.

Nie był w stanie posłuchać ostrzeżenia. To przerastało siły jego woli. Odjął metalową szyjkę butelki od ust dopiero wtedy, gdy opróżnił manierkę do ostatniej kropli.

Z każdą wlewaną do gardła kroplą czuł, jak mu powracają siły. Ostrzeżenie brodacza okazało się zupełnie zbędne. Wypita woda nie zaszkodziła mu w najmniejszym nawet stopniu.

Teraz z prawdziwą rozkoszą zaciągnął się dymem.

Rozejrzał się ciekawie. Znajdował się na niewielkiej skalnej platformie zamkniętej ze wszystkich stron prostopadłymi zboczami. Oprócz brodacza, który usiadł teraz obok niego, na platformie stało wokół ośmiu mężczyzn, uzbrojonych po zęby. Przyglądali mu się ciekawie bez żadnej ceremonii.

- Gdzie jestem? - ponowił pytanie.

Brodacz spojrzał mu prosto w twarz. Badawcze spojrzenie przeniknęło Bandere aż do głębi, wytrzymał jednak ten wzrok, nie spuszczać oczu.

Zapanowało trwające dłuższą chwilę milczenie. Bandera zorientował się, że odpowiedź na jego pytanie należała do spraw wymagających namysłu.

- Ba - odpowiedział wreszcie brodacz, otaczając się nieprzeniknionymi kłębamii dymu - trafiłeś w dosyć dziwne miejsce. Dla niektórych nie byłoby tu zupełnie zdrowo... Jednak zabłąkanemu podróżnemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Zabłądziłeś przecież? - zapytał z naciskiem.

- Tak - powiedział Bandera, patrząc w twarz brodacza - zabłądziłem...

- Otóż to - wetknął rozczapierzone palce w gęstą brodę - wszyscy byliśmy tego pewni, inaczej byłoby mało prawdopodobne, byś się w ogóle obudził z omdlenia... byłeś bardzo bliski śmierci...

- Wiem - skinął głową Bandera - kilkadziesiąt godzin bez kropli wody w ustach...

Brodacz machnął znacząco ręką.

- Nie tylko to - zaciągnął się znowu dymem, wpatrując się z uwagą w

jego sine kłęby - wierz mi, nie tylko to sprawiło, żeś przeszedł o krok od śmierci...

Zamyślił się, milknąc znowu.

- Skąd przybywasz? - zapytał po chwili.

Bandera zawahał się. Wciąż, mimo wysiłków nie mógł wykombinować, kim byli ci ludzie.

- A więc? - zapytał brodacz powtórnie. W głosie dźwięczały rozkazujące nuty.

Bandera instynktownie wyczuł, że jeszcze nie wyszedł poza zasięg niebezpieczeństwa.

- Widzicie - mruknął niepewnie - to nie jest takie proste... Brodacz obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Cóż - wzruszył ramionami - sam rozumiem. Powód skłaniający kogoś do wdzierania się na oślep w te strony nie może być prosty, ale mimo to muszę wiedzieć.

- A jeżeli nie powiem?

W oczach brodacza zaślniły zielonkawe ogniki, usta zaś ściągnęły się w wąską kreskę. Twarz przybrała wyraz nadający mu podobieństwo do górskiego sępa. Wyglądał teraz na zupełnie innego człowieka aniżeli ten, który przed chwilą uśmiechał się dobrodusznie.

- Jeżeli nie powiesz - wycedził przez zęby - to twoja rzecz. Tylko że wówczas przestaniesz być dla nas zabłąkanym podróżnym. A z innymi... - przerwał, strzepnąwszy palcami. Ten ruch był pełen wymowy. Bandera nie miał najmniejszej wątpliwości, co miał wyrażać.

- Jeżeli będę milczał... śmierć? - zapytał spokojnie.

- Śmierć - potwierdził lakonicznie brodacz, strzepując grudkę

popiołu spadła na jego skórzane spodnie.

Bandera oparł wygodnie plecy o skałę, przy której siedział.

- Trudno - powiedział beznamiętnie - widocznie tak być musi...

- Nie chcesz powiedzieć, skąd przybywasz?

- Nie mogę.

- Dlaczego? - brodacz był wyraźnie zdumiony uporem Bandery.

- Bo mi wszystko jedno - oświadczył niewzruszenie Bandera. - Nie powiem, czeka mnie śmierć, powiem... tak samo. Po cóż więc mam się trudzić?

- O - poruszył się niespokojnie brodacz - jeżeli powiesz, czeka cię śmierć?

- Coś w tym rodzaju. - Bandera poszperał po kieszeniach, wydobywając w końcu kawałek papierosa. Doszedł do stanu absolutnej obojętności. Cóż mógł zresztą poradzić, skoro los się na niego zawziął? Nie wiedział, jakiego rodzaju śmierć oczekiwała go z rąk tych ludzi, wiedział tylko jedno: zginie jako bezimienny wędrowiec. Nieskalane dotychczas nazwisko Banderów nie zostanie zhańbione piętnem szubienicy.

Brodacz coś sobie medytował, w końcu podniósł się na nogi, stanął nad Bandera.

- Kim jesteś? - zadał pytanie ostrym, dźwięczącym groźbą głosem.

Bandera zwilżył śliną brzeg papierosa. Poprzerywany w kilku miejscach nie chciał ciągnąć. To w tej chwili interesowało go najbardziej. Może to już miał być ostatni papieros w życiu?

- Niestety - wzruszył obojętnie ramionami - i na to pytanie nie mogę udzielić odpowiedzi.



- Papierów żadnych przy sobie nie miałeś...

- Nie miałem - zgodził się, przylepiając ułamek papierosa do warg.

- Po coś do nas przybył? - palce brodacza opadły na wystającą z otwartej pochwy głównię pistoletu.

Bandera milczał, uważając całą tę gadaninę za zbędną. Chcą go zabić, to niech zabijają, na to wszak nic nie może poradzić, ale po co miał sobie psuć ostatnie chwile odpowiadaniem na nieprzyjemne pytania?

Bez zmrużenia powiek patrzył, jak palce brodacza coraz bardziej zdecydowanym, chwytem obejmują rękojeść pistoletu.

Cóż - pomyślał filozoficznie - przecież któraś z chwil życia musi być ostatnia.

Wreszcie zdołał jakoś zapalić pokierszowanego papierosa. Zaciągnął się głęboko dymem.

Brodacz wyciągnął powolnym ruchem pistolet.

Bandera nie odwrócił wzroku w obawie, by nie uważali go za tchórza, nie potrafiącego umrzeć jak prawdziwy mężczyzna.

W chwili gdy stalowy bębenek wielkiego colta ukazał się ponad otworem pochwy, do brodacza podszedł jeden z siedzących opodal mężczyzn, coś mu szepcząc na ucho.

- Co? - brodacz odwrócił się raptownie ku niemu.

- Ależ tak - potwierdził tamten, wzruszając ramionami - sam oglądałem, a przecież czytać chyba umiem.

Brodacz zdecydowanym ruchem wtłoczył pistolet z powrotem do pochwy, odchodząc na bok z przybyszem.

Bandery nie interesowała bynajmniej przyczyna tej zwłoki w wykonaniu egzekucji. Odczuwał jednak zadowolenie: przynajmniej zdąży

wypalić papierosa do ostatka, a miał go jeszcze prawie ćwierć.

Wpatrywał się w niebo, zaróżowione promieniami zachodzącego słońca, którego niewielki skrawek widniał ponad poszarpanymi graniami. Przed oczyma stanęła mu pomarszczona twarz ojca staruszka, oczekującego z utęsknieniem na syna jedynaka. Nie doczeka się biedak nigdy - pomyślał, a serce jego ścisnął bolesny skurcz.

Otrząsnął się całym wysiłkiem woli z tych myśli. Wspomnienie ojca mogło go roztkliwić i osłabić hart ducha, nie chciał zaś okazać tym ludziom jakiegokolwiek wzruszenia z powodu oczekującej go śmierci. Mogliby łatwo przyjąć wzruszenie za strach.

Narada brodacza z towarzyszami przedłużała się w nieskończoność. Przyklepiony do warg Bandery skrawek papierosa dopalał się prawie w chwili, gdy brodacz stanął znów przed nim.

Bandera spojrzał mu w twarz. O dziwo - wyraz oczu brodacza zmienił się zupełnie. Wydawało się po prostu, jakby jego wzrok odtajał. Zgasły w nim groźne płomienie wieszczące śmierć.

Zajrzawszy głębiej w stalowe źrenice, Bandera oniemiał ze zdumienia, dostrzegłszy kryjący się w nich... śmiech.

Pochwa z niefarbowanej skóry na prawym biodrze brodacza była zamknięta na głucho, wystawał z niej jedynie koniec rękojeści pistoletu.

Nie mógł zrozumieć przyczyny tej nagłej metamorfozy człowieka szykującego się przed kilku minutami do odegrania roli kata.

Brodacz powiewał triumfalnie trzymanym w ręku brudnym skrawkiem jakiegoś białego materiału.

Bandera wyteżał wzrok, ale nie mógł dojrzeć, co by to mogło być takiego.

- Tak - zaczął brodacz po chwili milczenia, przyjrząwszy się bacznie Banderze - więc twierdzisz, że gdybyś powiedział, kim jesteś i skąd przybywasz, groziłaby ci śmierć?

Bandera potaknął kiwnięciem głowy. Był zbyt zmęczony, by mu się chciało mówić.

- A jakiego rodzaju śmierć by cię w tym wypadku czekała? - zapytał z uśmiechem brodacz.

Bandera wypluł na kamienie okurek papierosa parzący mu wargi.

- Cóż was to obchodzi? - mruknął obojętnie.

- Właśnie obchodzi - zaśmiał się na całe gardło - zresztą wcale nie potrzebujemy się o to dopytywać. Miałeś jednak dokument, który nam o tym powiedział.

Bandera otworzył oczy ze zdumienia.

- Dokument? - powtórzył przeciągle. - Ja miałem dokument oznajmiający o tym, skąd przybywam?

- Pewnie - brodacz podetknął mu tuż pod nos łachman trzymany w ręku. - Poznajesz, co to jest? - wygładził wymiętoszony materiał w palcach.

Bandera poznał wreszcie bandaż ze swej rany. Wciąż jeszcze jednak nie mógł zrozumieć, jakie to mogło mieć znaczenie.

- Cóż z tego? - zapytał. - W jaki sposób moja rana może świadczyć o tym, skąd przychodzę?

Brodacza bawiło wyraźne zdumienie jeńca. Śmiał się tak gwałtownie, aż jego śniada twarz przybrała odcień purpury.

- Nie - zdołał wreszcie wykrztusić głosem przerywanym śmiechem - twoja rana nic mi nie mówi. Ale patrz tu! - ujął w palce koniec bandaża,

rozprostowując go na dłoni - jak ci się to podoba?

Na cienkim, niemal przezroczystym materiale widniały jakieś zamazane litery odcisnięte czerwonym tuszem.

- Posłuchaj no, co mówi twój dokument - ciągnął dalej, przybliżając sobie do oczu stempel odbity na bandażu i odczytując wyraźnie literę po literze - ot: „Więzenie karno-śledcze w Neavill”, to chyba wyraźne, co?

Bandera milczał. Więc i w tym wypadku pech go prześladowe, nie pozwalając uniknąć hańbiącej śmierci! Wypieranie się nie miało żadnego sensu. Wyciągnięcie wniosków z treści pieczętka nasuwało się nieodparcie.

- Cóż robić - powiedział sucho - skoro odnaleźliście tę pieczętkę... Wasze szczęście. Więzenie w Neavill wypłaci wam coś niecoś za dostarczenie zbiegłego więźnia, a szeryf Carsley dołoży może jeszcze jakąś małą sumkę ze swej prywatnej szkatuły...

Na to oświadczenie gruchnął chóralny śmiech wszystkich zgromadzonych na platformie.

Bandera obrzucił zdumionym spojrzeniem trzęsące się wprost ze śmiechu postacie. Nie widział nic śmiesznego w całej tej sytuacji.

Brodacz wydawał z siebie odgłosy podobne do rozpaczliwego gdakania, trzymając się rękoma pod boki.

- Nie - wołał, starając się powściągnąć atak śmiechu - ten typ jest pyszny... chce, byśmy go odprowadzili do więzienia w Neavill...

Bandere zaczęło już to wszystko złościć. Nie lubił być pośmiewiskiem.

- Czego się śmiejecie, jakby nie wiadomo co? - zawołał, zwracając się w stronę ogniska. - Macie mnie zaprowadzić do więzienia, to prowadźcie, chcecie zastrzelić na miejscu, proszę bardzo, ale zamknijcie

się wreszcie. Mam was dosyć!

Wbrew jego oczekiwaniu okrzyk ten nie wywołał żadnej reakcji. Śmiali się w dalszym ciągu.

Pierwszy zdołał się wreszcie opanować brodac.

- Masz wygórowane nieco wymagania, mister nieznajomy - powiedział lekko - żądając, byśmy udawali się do Neavill po nagrodę za twoją głowę. Gdybyśmy to zrobili, zebrałaby się całkiem ładna sumka nagród, nie wiem bowiem, jaka cena jest wyznaczona za ciebie, ale za to wiem co do centa, na ile zostały ocenione nasze głowy...

Bandera poruszył się niespokojnie po raz pierwszy od chwili, gdy przylgnął plecami do skały. To, co mówił brodac, zwiastowało życie.

- Czyżby... - zaczął niepewnie.

- Ależ tak - potwierdził żywo brodac - wpadłeś właśnie do kryjówki bandy, i to bandy jak się patrzy. Mnie na przykład nazywają Wesołym Joem, ale to przezwisko nie dla wszystkich jest takie wesołe, jakby się wydawało.

Bandera odetchnął w duchu z ulgą. Bandyci byli ludźmi, których w obecnych warunkach najmniej potrzebował się obawiać.

Brodacz rozsiadł się wygodnie pod skałą obok Bandery. Pobyt w więzieniu stanowił dla nich najlepszą legitymację.

- A więc uciekłeś z więzienia? - zapytał, podsuwając Banderze papierosa.

- Uciekłem - przyznał otwarcie. Teraz już nie było żadnego powodu, by to ukrywać.

- I groziła ci szubienica - dopowiedział brodac. - O to zresztą nie potrzebuję pytać, gdyby było inaczej, nie wdzieriałbyś się w labirynt

Diabelskiej Drogi. O co cię oskarżyli? Możesz oczywiście nie odpowiadać, o ile ci to nie na rękę - zastrzegł się natychmiast.

- Oskarżono mnie o morderstwo rabunkowe... dwóch ludzi...

- Fiuuu! - gwizdnął przeciągle brodac, kiwając z uznaniem głową. - Całkiem nieźle. I kogoś to, jeśli można zapytać, załatwił?

- Oskarżenie było niesłuszne - zaproponował energicznie Bandera. - Zastrzeliłem tylko jednego, i to w obronie własnego życia. Nazywał się Caudreau...

- O - podrapał się w brodę - Caudreau? To z ciebie gracz nie lada. Słyszałem co nieco o tym jegomościu. Zawiasy w rękach miał porządnie naoliwione...

- Byłem świadkiem, jak zastrzelił swego towarzysza. Chciałem go zaprowadzić do szeryfa, ale był szybszy. Strzeliłem w chwili, gdy już trafiony jego kulą spadałem z siodła. Jedna z moich kul trafiła go przypadkowo, zabijając na miejscu.

- I drapnąłeś?

- To nie moja zasługa. Pomógł mi w tym niejaki Harrington... Brodac na dźwięk tego nazwiska zerwał się gwałtownie na nogi.

- Jak? Coś ty powiedział? - zapytał, patrząc z napięciem w twarz Bandery.

- Harrington - powtórzył Bandera. - To on powziął plan ucieczki...

- Gdzie jest Harrington? - brodac był widocznie poruszony.

- Niestety - westchnął Bandera. - Niedaleko stąd, ale... nie żyje. Postrzelono go w czasie ucieczki.

Brodacz powolnym, pełnym powagi ruchem zdjął kapelusz z głowy. Pozostali bandyci podnieśli się z ziemi. Na platformie zapanowała cisza.

- Dobry był z niego towarzysz - powiedział po chwili brodac, wkładając z powrotem kapelusz i siadając na kamieniu - ano, cóż na to poradzić. Taki już nasz los. Skoro byłeś towarzyszem Harringtona, jesteś też i naszym - oświadczył, wyciągając ku Banderze rękę. Bandera uściskał ją bez wahania.

Jeden z bandytów podszedł ku nim, podając Banderze kociołek pełny jakiejś parującej stawy, rozsiewającej wokół apetyczny aromat.

Zabrał się do jedzenia z niepowstrzymaną żarłocznością. Odczuwał wilczy głód, nic zresztą dziwnego - przeszło trzydzieści godzin pozostawał bez pożywienia.

Brodacz przyglądał się badawczo pochłaniającemu jedzenie Banderze. Coś sobie kombinował, taksując jego muskularną postać.

- Co masz zamiar dalej robić? - zapytał z zainteresowaniem.

- Ano - mruknął Bandera z ustami pełnymi jedzenia - żebym to ja wiedział...

- A może byś tak do nas przyszedł, na miejsce Harringtona? Bandera zawahał się. Właściwie w tych warunkach byłoby to najlepszym wyjściem z sytuacji, w jaką zapędził go wrogi upór Carsleya. Cóż miał właściwie począć osamotniony, odcięty od swego środowiska, bez grosza przy duszy, bez żadnych dokumentów, umożliwiających zwrócić się o pomoc do władz konsularnych? Zresztą żywił niezbite przekonanie, że szeryf rozesłał za nim wszędzie listy gończe. Zbyt dobrze zdołał w czasie prowadzonego przeciwko sobie śledztwa poznać charakter Carsleya, by mieć nadzieję, że tak łatwo zrezygnuje ze zdobyczy, która umknęła mu z rąk.

I znów stanął mu przed oczyma ojciec. Przygarbiony pracą,

dobrywający z siebie resztki sił, by wyprowadzić syna na „ludzi”. Taki miałby być rezultat jego wysiłków? Po to poświęcił życie, by doczekać się jedynaka bandyty, rozbijającego się po kresowych gościńcach dalekiej Ameryki?

Nie, niech się dzieje co chce, nie zostanę bandytą - postanowił sobie w duchu.

- Wybaczcie - zwrócił się do brodacza czekającego na odpowiedź - ale...

- Aha, rozumiem - w głosie bandyty dźwięczały ukryte nutki goryczy - jesteś uczciwym człowiekiem i nie chcesz takiej jak nasza kompanii...

- Nie - spojrzał mu prosto w oczy Bandera - to nie o waszą kompanię chodzi... widzicie, przyjechałem tu w pewnym określonym celu... a ponieważ tak się złożyło... że nie mogę go osiągnąć, chciałbym wrócić do kraju...

- Nie jesteś Amerykaninem?

- Nie - odpowiedział lakonicznie. - Może jakoś uda mi się powrócić do ojczyzny...

- Potrzebujesz pieniędzy?

Bandera zaczerwienił się, utkwivszy wzrok w dnie trzymanego w rękę kociołka. Przyjęcie pieniędzy zrabowanych przez kogo innego byłoby przecież jeszcze gorsze od rabowania ich samemu.

Milczał, nie wiedząc, w jaki sposób odpowiedzieć na tę propozycję. Nie obawiał się śmierci, jednak za żadną cenę nie chciałby obrażać ludzi, którzy go ocalili od śmierci.

Brodacz zrozumiał jego milczenie.

- Tak - powiedział cicho wpatrując się z uwagą w jakiś wierzchołek -



masz rację. Jeżeli ma się takie czy inne przekonania, trzeba konsekwentnie się ich trzymać, jak drogo by to miało kosztować. Żywność w każdym razie możesz chyba od nas przyjąć?

Bandera podniósł się i podchodząc do brodacza, wyciągnął rękę.

- Wybacz mi, nie chciałem cię obrazić.

Ręka jego utonęła w mocnym uścisku twardej dłoni bandyty.

## **FARMA DEANA**

Nadciągał wieczór, przynosząc z sobą ożywcze tchnienie chłodu. Bandera odetchnął pełną piersią, zdejmując kapelusz i podstawiając rozpalone czoło pod świeży powiew wiatru, nadciągającego od północy.

Minęło już przeszło dziesięć godzin od chwili, gdy opuścił obóz Wesołego Joego, a wciąż jeszcze nie mógł znaleźć zapowiedzianej przez bandytę farmy, aczkolwiek powinien był według jego zapewnień, dotrzeć do niej najdalej po sześciu, siedmiu godzinach średniego tempa jazdy.

Przed nim ciągnęła się ciemną linią falująca bariera gęstego lasu. Nic nie zapowiadało bliskości jakiegokolwiek ludzkiej siedziby. Nie bardzo się zresztą tym przejmował. Zawieszony przez bandytę u siodła Wojtka, jak ochrzcił uprowadzonego z Neavill konia, sakwy podróżne pęczniały zapasami, mogącymi śmiało wystarczyć na jeszcze kilka dni wędrówki.

Wjechał pomiędzy drzewa, z rozkoszą wciągając w płuca aromatyczny zapach sosen. Las był zupełnie dziki. Poplątane konary, gęste krzaki, piętrzące miejscami przeszkody nie do przebycia, wszystko wskazywało na to, że nie dotarła tu jeszcze gospodarka człowieka.

Przedzierał się z trudem poprzez gąszcz.

Chyba musiałem zablądzić - pomyślał, rozglądając się wokoło.

Ostatecznie nie robiło mu to wielkiej różnicy. Im dalej od Carsleya, tym lepiej. Wprawdzie oddzielała go w tej chwili od szeryfa trudna do przebycia przeszkoda gór, ale w dzisiejszych czasach nie miało to większego znaczenia. Telefony, telegraf i co najważniejsze - radio na pewno już rozniosły po całych Stanach list gończy z jego dokładnym rysopisem. Odbiornik radiowy mógł się znaleźć w każdej, nawet najbardziej zagubionej wśród pustkowia chatce, dokąd nie docierały w inny sposób wieści ze świata.

Ściemniło się tymczasem zupełnie.

Nagle drgnął, ściągając gwałtownym ruchem cugle.

Tuż za zasłoną krzewów buchnął strzał, potem drugi.

- Na pomoc! Ratunku! - zabrzmiał pełen najwyższego przerażenia głos.

Wspiął konia, przesadzając jednym susem liściastą przeszkodę. Nie było czasu na namysły. Gdzieś tuż przed nim znajdował się człowiek w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Wyjechał na obszerną, porośniętą wysoką trawą polanę. Pod przeciwległą ścianą lasu ujrzał w półmroku jakieś szamocące się postacie. Jedna z nich wydała mu się olbrzymiego, nadnaturalnego wzrostu. Wyteżył wzrok. Tak, teraz nie miał już najmniejszych wątpliwości - to był wielki czarny niedźwiedź, atakujący człowieka.

Koń parsknął trwożliwie, stając dęba. Pomimo szarpania cugłami nie chciał posunąć się ani kroku w kierunku niedźwiedzia.

- Ratunku! - głos człowieka duszonego potężnymi łapami zwierzęcia brzmiał coraz ciszej.

Bandera zeskoczył z konia i ruszył co sił przez polanę. W odległości kilku metrów od niedźwiedzia wyszarpnął z pochwy rewolwer, odciągając bezpiecznik. Nie mógł jednak jeszcze strzelać. Walczące postacie zwały się zbyt ciasno, by można było zaryzykować strzał.

Jeszcze kilka kroków i znalazł się w bezpośredniej bliskości olbrzymiego kosmatego cielska. Na tle ogromu zwierzęcia postać człowieka wydawała się dziwnie małeńka.

Niedźwiedź zobaczył nowego wroga. Wypuścił ofiarę, która upadła bezwładnie na trawę, i odwrócił się, sapiąc groźnie, ku napastnikowi. Bandera tylko błyskawicznemu uskokowi zawdzięczał uniknięcie rozmiżdżenia czaszki potężnym ciosem łapy, opatrzonej ostrymi pazurami. Nie oczekiwał takiej zwinności po tej niezgrabnej górze mięsa.

Pociągnął bez wahania kilkakrotnie za cyngiel, kierując wylot lufy w pierś zwierzęcia.

Pociski z głuchym łoskotem uderzyły w ciało niedźwiedzia, ten jednak parł naprzód, nie zważając na rany.

Bandera cofnął się o kilka kroków, podnosząc lufę rewolweru wyżej. Następna kula uderzyła w głowę niedźwiedzia, który zaryczał z wściekłością. Nie upadł jednak, wciąż szarżując wymierzanymi na oślep ciosami olbrzymich łap. Każdy z tych ciosów byłby niewątpliwie zdolny zmiążyć czaszkę najtęższego wołu. Bandera cofnął się znowu.

W bębunku colta miał jeszcze tylko dwie kule. Nie chciał myśleć o tym, co się z nim stanie, jeżeli i te ostatnie pociski nie potrafią powalić zwierzęcia.

O ponownym naładowaniu rewolweru nie mogło być mowy.

W tej chwili uderzył plecami o jakieś poplątane pnie. Odwrót miał

zamknięty. Niedźwiedź wciąż się zbliżał. Jeszcze tylko kilka metrów. Czuł już cuchnący oddech dobywający się z jego pyska.

Tuż nad swoją głową ujrzał pazury. Przekrwione małe oczka zwierzęcia błyszczały nad samą twarzą Bandery. Podniósł rewolwer i pociągnął za spust, przytykając lufę do kosmatej piersi.

Niedźwiedź cofnął się o pół kroku. Podniesiona do ciosu łapa ze złowieszczym świstem przecięła powietrze, zahaczając o lewe ramię Bandery.

Czuł, jak ostre pazury rozrywają materiał jego bluzy, zdzierając skórę z ramienia. Był już zupełnie bezbronny. Trzymany w ręku rewolwer nie miał większej wartości od kawałka stali, z jakiego go zrobiono.

Niedźwiedź stał nieruchomo, wpatrując się złośliwie w przypartego do drzewa człowieka.

Siedem kul wielkiego kalibru nie zdołało go powalić.

Bandera nieruchomo oczekiwał na śmiertelny cios. Walka gołymi pięściami z tym rozwścieczonym olbrzymem nie dawała żadnych szans.

Boże - pomyślał tęsknie - gdyby choć kawałek noża.

Nagle przez ogromne cielsko przebiegło gwałtowne drżenie. Z piersi wydarł się żaloszny, pełen dzikiej rozpaczry ryk. Malutkie oczka zaczęły zachodzić bielmem. Niedźwiedź zachwiał się na krótkich nogach i runął ciężko na ziemię, która zadrżała pod uderzeniem ciężaru.

Kilka konwulsyjnych drgawek i czarne cielsko znieruchomiło, rozciągnięte pod nogami Bandery.

Nie wierzył własnym oczom.

Minęło parę sekund, zanim odważył się podejść do kosmatej bryły. Niedźwiedź był martwy. Wielkie plamy ciemnej krwi rozlewały się w

kilku miejscach na gęstym, czarnym futrze. Spomiędzy żółtych zębów wypłynął na trawę wielki, żółty ozór, pokryty krwawą pianą.

Pobiegł szybko ku szczupłej postaci widniejącej na trawie w odległości kilku metrów.

Czy jeszcze żyje? - pomyślał z niepokojem, nachylając się nad nieruchomym ciałem. Przez długą chwilę nie mógł dostrzec żadnego śladu życia. Przyłożył ucho do piersi leżącego.

Odetchnął z ulgą dosłyszawszy bicie serca. Biło słabo, ale równo. Nieruchomość pochodziła widocznie tylko z głębokiego omdlenia.

Kurtka na jego piersiach nosiła w kilku miejscach ślady poszarpania pazurami zwierzęcia, odchylił ją więc w poszukiwaniu rany. - O, do licha - nie potrafił powstrzymać przekleństwa, cofając się w najwyższym zakłopotaniu.

To była kobieta. Spod podartej koszuli wyłaniała się, jaśniejac w mroku, jedwabista skóra młodej dziewczyny.

Przez ten krótki moment, w którym rozchylił koszulę, zdołał skonstatować, że nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń. Kilka szerokich zadrapań, pokrytych już zresztą strupami stężącej krwi, to było wszystko.

Masz babo placek - pomyślał zmieszany, wpatrując się w leżącą - i co ja teraz mam począć z tym fantem?

Nie miał zbytniego doświadczenia, jak należy postępować z zemdlonymi młodymi dziewczynami, prawdę mówiąc znalazł się po raz pierwszy w życiu w takiej sytuacji. Gdyby to był mężczyzna, wiedziałby dobrze, co ma począć, ale tak?

Podrapał się zamyślony w głowę, rozglądając się wokół bezradnie.

Tonące w mroku konary drzew nie obiecywały mu żadnej pomocy. Ano - zdecydował wreszcie, odpinając od pasa manierkę - porządny łyk whisky to chyba i panience nie zaszkodzi.

Nie miał jednak co do tego zupełnej pewności, toteż przykładając manierkę do ust zemdłonej, czuł w sercu poważny niepokój, czy jest to właściwy środek leczniczy dla kobiet.

Ostrożnie przechylał naczynie, wlewając wolniutkim strumieniem alkohol w jej gardło.

- Krzzzz - zakrztusiła się nagle. Gwałtownym ruchem cofnął rękę.

Boże - pomyślał wpatrując się w przerażeniu w poczerwieniałą nagle twarz dziewczyny - jeszcze jej to zaszkodzi?

Leżąca poruszyła się niespokojnie, otwierając po chwili oczy.

W jej oczach zamigotał lekki przestach, gdy dostrzegła pochyloną nad sobą twarz Bandery.

Zrozumiał w jednej chwili przyczynę tego przestachu. Jego nie golona od kilkunastu dni twarz wyglądała zapewne okropnie.

To go jeszcze bardziej zmieszało.

- Gdzie jestem? - zapytała słabym głosem.

- Niech się pani uspokoi - odpowiedział, siląc się na lekki ton - niedźwiedz już upolowany.

- Co? - zapytała patrząc na niego ze zdumieniem - nic nie rozumiem.

Teraz dopiero zorientował się, że przemawiał do niej po... polsku.

Poczuł gorący rumieniec zalewający twarz. Do licha z babami - zaklął w duchu, wywołując na wargi jednocześnie coś w rodzaju uśmiechu.

- Niedźwiedz już zabity - powtórzył tym razem już po angielsku.

- O - przypomniała sobie przebyte przed kilkunastoma minutami przejścia - pan mnie ocalił od śmierci.

- Et - machnął lekceważąco ręką - sama dałaby pani z nim radę. Nie był znów taki straszny, jakby się mogło wydawać.

Poruszyła się, usiłując powstać. W tej chwili dostrzegła poszarpaną na piersi bluzę. Twarz jej spurpurowiała.

- Niech się pan odwróci - rozkazała, spuszczać oczy i zbierając palcami strzępki materiału.

Odwrócił się posłusznie, bez słowa. Nie bardzo wiedział, jak się ma dalej zachować. Nie było przecież jego winą, że nie zorientował się od razu w jej płci, a teraz ona może mieć do niego pretensję za oglądanie jej w takim, niezupełnie kompletnym, stroju.

- To może - odezwał się po chwili niepewnie - pójdę tymczasem poszukać koni?

- Tak - usłyszał poza sobą cichy głos, w którym wbrew swym obawom nie dosłyszał wcale gniewu - tylko nie wiem, czy panu uda się je znaleźć.

Nie oglądając się, ruszył przed siebie, przy czym załadował rewolwer. Nie można było wszak przewidzieć, jakie niespodzianki czekały w pograżonym w ciemnościach lesie.

Jeżeli bydlę uciekło - rozmyślał o swym mustangu, zagłębiając się w listowie krzaków - nigdy już go nie znajdzie.

Posuwał się zupełnie po omacku. W zasłoniętym od góry gęstymi konarami lesie panowały o wiele większe ciemności aniżeli na polanie.

Nie uszedł jeszcze kilkunastu kroków, gdy usłyszał pomiędzy drzewami poruszenie jakiejś żywej istoty.

Na wszelki wypadek odsunął bezpiecznik rewolweru, gwizdząc jednocześnie przeciągle.

W odpowiedzi na jego gwizd rozległo się ciche parskanie. Nie wahał się już dłużej, to był na pewno Wojtek. Zresztą po chwili z ciemności wychynał mustang i podbiegł do niego.

Wskoczył pośpiesznie na siodło, rozglądając się w poszukiwaniu konia dziewczyny. Gwizdnął raz, drugi - nic. Może wołała swego wierzchowca w jakiś inny sposób? Gdyby chociaż wiedział, w jakim kierunku uciekł, bez tego nadzieja na odnalezienie konia w ciemnościach stawała się zupełnie znikoma.

Trudno - zdecydował wreszcie, kierując Wojtka w ciemną gęstwinę - będę szukał na chybił trafił.

W tej samej chwili z polany dobiegł głos dziewczyny.

- Halo! Gdzie pan jest?

- Jestem! - zawołał podnosząc się na strzemionach - co się stało? Czyżby nowy niedźwiedź? - pomyślał zaniepokojony.

- Znalazłam mojego konia - odpowiedziała. W jednej chwili zawrócił Wojtka na polanę. Dziewczyna siedziała na niewielkim koniku. Gdy podjechał ku niej bliżej, zauważył w przemyślny sposób pospinaną agrafkami bluzę na piersiach.

- Jeszcze panu nie podziękowałam - odezwała się, przysłaniając oczy długimi rzęsami.

- Ależ - zaproponował - naprawdę nie ma za co...

- Niech pan tak nie mówi - wstrząsnęła buńczucznie głową, przy czym rozsypały się jej na ramiona fale niesfornych włosów - czyż mam to rozumieć w ten sposób, że uważa pan moje życie, które ocalił, za rzecz



bezwartościową?

- Ja... - wyjąkał niepewnie. Nie umiał zupełnie rozmawiać z kobietami. Tak mało miał dotychczas z nimi do czynienia w swym życiu.

- Dziękuję panu serdecznie - wyciągnęła ku niemu wąską dłoń. Ujął ją niezdecydowanie, nie wiedząc, jak się ma zachować.

W Polsce przyzwyczajony był do całowania kobiet w rękę, ale w Ameryce? Wreszcie uściskał delikatnie tę kruchą, ciepłą, pulsującą życiem rzecz.

Zapanowało milczenie. Bandera z zainteresowaniem oglądał, niewidoczny zresztą niemal w ciemnościach, łęk swego siodła, dziewczyna zaś rzucała w kierunku swego tajemniczego wybawcy ukradkowe spojrzenia spod długich rzęs.

- Oglądałam pańskiego niedźwiedzia - odezwała się po chwili - prawdziwy olbrzym.

- Naszego niedźwiedzia - poprawił ją z uśmiechem. - Oboje go upolowaliśmy. Tylko pani zaczęła, a ja skończyłem...

- Niech i tak będzie - zgodziła się wesoło - podzielimy się jego skórą uczciwie.

- Nie - zaproponował żywo - ja się zrzekam swego udziału na pani rzecz. I tak nie miałbym go dokąd zabrać.

- Jak pan chce! - klasnęła w dłonie - ofiara przyjęta. Niech pan pomyśli, jak bardzo mnie pan przez czas tak krótkiej znajomości zdołał obdarować. Takie wspaniałe trofeum myśliwskie i moje życie w dodatku, to chyba dosyć?

Spojrzał nieśmiało na bielejącą w ciemnościach twarz. Nie wiedział dlaczego, ale jej słowa sprawiały mu wielką przyjemność.

Zupełnie inną, aniżeli mogły spowodować podziękowania mężczyzny.

- Odprowadzi mnie pan do domu? - zapytała po chwili, zawieszając u swego siodła krótki sztucer.

- Oczywiście! Dokąd tylko pani każe - zawołał gorąco, o wiele goręcej, aniżeli zamierzał to uczynić.

- A może zajmuję panu zbyt wiele czasu swą osobą?

- Skądże znowu - zaprotestował gorąco - czas mój jest do pani dyspozycji. Mam go więcej, niż mi potrzeba - dodał po chwili z lekkim odcieniem goryczy w głosie.

- Więc jedziemy - oświadczyła krótko, ujmując lejce. Znowu wjechali w mroczny las, udając się w przeciwnym kierunku niż ten, skąd przybył Bandera.

Podróż trwała nadspodziewanie krótko. Nie upłynęło nawet pół godziny, gdy wjechali na obszerną, pozbawioną zadrzewienia płaszczyznę, na której czerniały zarysy jakichś obszernych zabudowań. Oświetlone żółtawym światłem prostokąty okien wskazywały, że mieszkańcy jeszcze czuwają.

- Tak - odezwał się Bandera, wskazując widniejące przed nimi budynki - teraz pani pozwoli się pożegnać.

- Dlaczego? - spojrzała na niego zdumiona. - Nie wstąpi pan do nas choć na chwilę?

- Widzi pani - oświadczył niekonsekwentnie, nie pamiętając już, co mówił na polanie - chciałbym jak najprędzej dotrzeć do celu mej podróży...

- A dokąd pan zdąży, jeżeli można wiedzieć? - w głosie jej wyczuł

nutki gniewu.

- Do... - zawahał się przez chwilę. Nie wiedział, czy będzie zbyt roztropnie z jego strony pozostawiać za sobą wyraźne ślady kierunku swej wędrówki. - Na farmę Deana - zakończył wreszcie. Nie mógł jakoś jej kłamać. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciała mi pani wskazać kierunek... o ile to jest możliwe...

- Na farmę Deana? - powtórzyła, wybuchając niespodziewanie śmiechem - tak, to jest zupełnie możliwe. To - wskazała na budynki - jest farma Deana.

Spojrzał na nią niedowierzająco. Czyżby żartowała?

- Pani mieszka na farmie Deana?

- Ależ tak, jestem przecież jego córką - potwierdziła, kiwnąwszy energicznie głową.

Oniemiał. To przecież mocno komplikowało sytuację. Według wskazówek Wesołego Joego farma Deana była najbliższą na szlaku osadą, w której mógł znaleźć pracę. Jednak zjawiać się w charakterze wybawcy córki właściciela?

Nie - postanowił sobie w duchu - to wyglądałoby zupełnie, jakbym się upominał o zapłatę za ratunek.

- W takim razie... - zaczął niepewnie.

- Co? - spojrzała na niego roziskrzonymi oczyma. - Już się pan rozmyślił? Nie chce pan nawet wstąpić pod dach tego domu tylko dlatego, że ja w nim zamieszkuję?

Takie postawienie przez nią sprawy uniemożliwiało dalsze wymówki. Spojrzawszy na nią ukradkiem, spostrzegł drżące wargi. Pomimo energicznego tonu niewiele jej brakowało do wybuchnięcia

płaczem. To było widoczne nawet dla takiego laika w sprawach kobiecych jak Bandera.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział pokornie - wcale nie to miałem na myśli...

Przejechali w zupełnym milczeniu kilkanaście metrów, dzielących ich od otwartych wrót wysokiego ogrodzenia otaczającego zabudowania.

Obszerne, wybrukowane kamieniami podwórze oświetlała dość silna lampa naftowa, zawieszona na wysokiej stojącej pośrodku żerdzi.

Na dźwięk kopyt uderzających o kamienie z zabudowań wyroła się na dwór cała masa ludzi. Otoczyli nadjeżdżających ze wszystkich stron, gestykulując w podnieceniu.

Widocznie oczekiwano z niepokojem na powrót dziewczyny.

Drzwi piętrowego budynku otworzyły się z trzaskiem i wybiegł z nich starszy, barczysty mężczyzna.

- Ann! - krzyknął porywczo, przy czym w jego głosie przebijał wyraźny niepokój - jak mogłaś?

Dziewczyna zeskoczyła zręcznie z konia, obejmując smukłymi ramionami muskularną szyję mężczyzny.

- Tatku, nie gniewaj się... to nie moja wina... napadł na mnie czarny grizzli... i gdyby nie mister... - wskazała na siedzącego nieruchomo w siodle Bandere.

- Nazywam się Clement - wymienił po krótkiej chwili wahania nazwisko - ale pani przecenia mój udział w całej tej historii. W rzeczywistości był zupełnie znikomy.

- Nie słuchaj, tatku, mister Clementa - zawołała - gdyby nie on,

niedźwiedź rozszarpałby mnie na strzępy. Mister Clement rzucił się na niego, mając tylko rewolwer w ręku.

Mężczyzna, nazywany przez dziewczynę tatkiem, podszedł szybko ku Banderze, obrzucił go przenikliwym wzrokiem. Nie uszedł jego uwagi moment wahania przed wymienieniem przez gościa nazwiska.

- Dziękuję panu, mister Clement - wyciągnął ku niemu twardą dłoń - jestem pewny, że Ann nie przesadziła, mówiąc o pańskiej roli w jej ocaleniu. Będzie pan miłym gościem. Moje nazwisko brzmi Adrew Dean - uścisnął mocno rękę Bandery.

Wskazał uprzejmym gestem na otwarte drzwi budynku. Bandera chcąc nie chcąc musiał skorzystać z zaproszenia. Wszedł za Deanem i dziewczyną do wnętrza.

Ładna kabała - rozmyślał, przechodząc przez obszerny hol zawieszony bronią i trofeami myśliwskimi - będę musiał znowu wlec się nie wiadomo dokąd w poszukiwaniu pracy.

Proszenie o zarobek w domu, do którego przybywał jako zbawca, nie wydawało mu się możliwe.

W milczeniu wszedł do sporych rozmiarów bawialni, zajmując krzesło przy nakrytym stole.

Dziewczyna przyglądała mu się z ukosa. W świetle lampy twarz gościa nie wydawała się jej, mimo gęstej szczeciny zarostu, tak straszna, jak w mroku panującym na polanie, przeciwnie, ostro wyrzeźbione, energiczne, męskie rysy czyniły na niej raczej sympatyczne wrażenie.

Bandera wciąż milczał, wpatrzony w stojący przed sobą ozdobiony ornamentami, fajansowy kubek. Niezwykłość sytuacji wprowadzała go w stan najwyższego zdenerwowania. Pierwszy przerwał milczenie Dean.

- Szczęśliwie się złożyło - zaczął, napychając tytoniem potężną fajkę z wiśniowego drzewa o bogato rzeźbionej główce - że pan znalazł się w naszych odludnych stronach...

- Tatku, wiesz - przerwała mu dziewczyna - mister Clement jechał na naszą farmę, ale jak się dowiedział ode mnie, że ja tu mieszkam, zmienił zamiary.

- Ja... - bąknął, czerwieniąc się, Bandera.

- Nie wierz mu, tatku - przerwała - mister Clement coś kręci. Na pewno miał do ciebie jakiś interes i teraz, gdy ocalił mi życie, nie chce o nim mówić w obawie, by go nie posądzono o niedelikatność...

- Pani się myli - zaproponował słabo.

- Nie, wcale się nie mylę - w oczach jej pojawiły się iskierki przekory. - Zaczynam już żałować, że pan Clement mnie ocalił. Na pewno ten fakt pokrzyżował mu plany, z którymi przyjechał w okolice New Point.

Bandera chciał zaprotestować, jednak spotkawszy się z poważnym wzrokiem Deana, spuścił oczy, nie wymówiwszy ani słowa. Pomimo dość urozmaiconego życia nie potrafił jakoś dotąd wyrobić w sobie zdolności do łatwego kłamstwa.

- Ach, więc to tak - powiedział powoli Dean, obserwując bacznie Bandere. - Pan miał do mnie jakiś interes i rozmyślił się dopiero wtedy, gdy uratował moją córkę z niedźwiedzich łap?

Przesunął wzrokiem po zniszczonej odzieży i wynędzniałej twarzy Bandery.

- A może - zapytał po chwili - przybył pan na farmę w poszukiwaniu pracy?

Bandera zdobył się jedynie na przeczący gest głową.

- Tak - mruknał Dean, wypuszczając z fajki gęste kłęby dymu; zaczynał coś niecoś rozumieć. - Nie chce pan prosić mnie o pracę dlatego, aby to nie wyglądało na żądanie zapłaty za ocalenie mej córki?

- Nie tylko... - wyjąkał zmieszany do ostateczności Bandera.

- Mam jednak sposób by pana przekonać, że ja rzeczywiście potrzebuję rąk do pracy na farmie. Jeżeli może mi pan poświęcić kilka minut, a nie jest zbyt zmęczony, pokażę panu coś, co go na pewno zainteresuje...

- Z największą chęcią - zerwał się raptownie z krzesła Bandera, odstawiając opróżnioną do dna filiżankę - jestem gotów.

- Więc idziemy.

Powstał wolnym, nieco ociężałym ruchem, kierując się ku wyjściu. Ann pozostała przy stole, jednak jej roześmiane oczy świadczyły, że wie, o co ojcu chodzi. Udali się przez pograżony w mroku hol na ganek. Dean po drodze zdjął odrutowaną latarnię Davy'ego, która wisiała na belce podtrzymującej daszek ganku.

Bandera szedł za nim w milczeniu, pograżony w niezbyt wesołych rozmyślaniach. Nie bardzo uśmiechała mu się dalsza włość, której kresu nie mógł przewidzieć, z drugiej jednak strony rozumiał całą niewłaściwość rodzącej się w sercu chęci pozostania na farmie.

Przeszli przez wybrukowane podwórze, wychodząc na rozległą, ginącą w mroku płaszczyznę. Tuż za bramą ogrodzenia zaczynało się coś w rodzaju polnej drogi.

- Proszę - rzekł Dean, podnosząc w górę latarnię i oświetlając jakąś tablicę, zawieszoną na wysokim, tonącym w ciemnościach słupie. - Niech pan przeczyta ogłoszenie.

Bandera podniósł głowę z wysiłkiem odcyfrowując niewyraźne litery wymalowane na żółtym tle nieheblowanej deski.

„Poszukuje się ludzi do pracy. Płaca od 2 do 3,50 dolarów dziennie, zależnie od umiejętności, oraz całkowite utrzymanie. Zgłaszać się na farmie”.

Treść ogłoszenia brzmiała zupełnie niedwuznacznie.

- No - zwrócił się Dean do Bandery, przy czym w ciemności błysnęły jego białe zęby - czy i to pana nie przekonuje? Ja naprawdę potrzebuję pracowników. Nie przypuszcza pan chyba, bym powiesił to ogłoszenie specjalnie w jego intencji?

- Nie - przyznał szczerze Bandera, czując wielką ulgę - to byłoby niemożliwe. Obawiam się jedynie, by moje umiejętności nie okazały się zbyt znikome...

- Ba - wzruszył ramionami Dean. - Mając farmę na odludziu, nie możemy od nikogo wymagać zbyt wielkich kwalifikacji. Każdą parę rąk do pracy przyjmujemy z radością. A nie jest o te ręce zbyt łatwo, niech mi pan wierzy. Takie same ogłoszenia jak to, które pan przed chwilą widział, umieściłem w promieniu wielu mil wokół farmy. Niestety, nie przyniosły oczekiwanego skutku. Pomimo wyższej, aniżeli to się na ogół praktykuje, płacy, zgłosiło się na farmę zaledwie dwóch ludzi. I do tego jakich ludzi. Najgorsi włóczędzy, jakich kiedykolwiek w życiu oglądałem, a widziałem przecież niejedno...

Bandera spuścił ponuro głowę na piersi.

- Ja też jestem... włóczęgą - powiedział cicho, nie patrząc na Deana.

Dean spojrział na niego z ukosa.

- Wszyscy jesteśmy włóczęgami... na drodze naszego życia - rzucił



filozoficzną uwagę. - Ale są włóczędzy i włóczędzy. Pan należy do innego rodzaju aniżeli ci, którzy dotychczas zgłosili się do pracy...

- Pan przecież nic o mnie nie wie - Bandera nie podniósł opuszczonego wzroku.

Dean zaśmiał się niemal bezdźwięcznie. Nie wiadomo dlaczego uśmiech ten podziałał na Bandereę jak ożywcza kąpiel. Napięte do ostateczności nerwy rozluźniły się. Spojrzał ukradkiem w twarz Deana. Rysy tego ostatniego wyrażały naprawdę wesołość. Był mu wdzięczny za to zachowanie świadczące o pewnej wierze w nieznanego przybysza.

- Niech mi pan pozwoli - powiedział poważnie Dean - oceniać ludzi według moich własnych spostrzeżeń. Kimkolwiek by pan był, ma pan uczciwe oczy, a to mi wystarcza. Jest to dla mnie o wiele lepszą rekomendacją aniżeli cały plik pisemnych poręczeń...

- Dziękuję panu... - Bandera nieśmiało, niezdecydowanym ruchem wyciągnął do niego rękę.

Dean bez wahania mocno uściskał wyciągniętą dłoń. Nie pytał o powód tego gestu. Nie był nim bynajmniej zdziwiony. Rozumiał dobrze.

- Więc załatwione - oświadczył wesoło - jest pan przyjęty do pracy na farmie Deana. Teraz pomówimy o pańskich kwalifikacjach i zależnie od nich ustalimy wynagrodzenie. Nie chciałbym, by pan uważał swą płacę jako wynagrodzenie za okazaną Ann przysługę. Ta przysługa nie da się wynagrodzić... dobrami materialnymi - podkreślił poważnie - a więc: jest pan silny?

- Czyja wiem - odpowiedział skromnie - mówią, że jako tako.

- Tak - uśmiechnął się Dean, obrzuciwszy pełnym uznania spojrzeniem muskularną postać Bandery - i ja jestem, tego samego zdania.

Konno pan umie jeździć?

- Tak - odpowiedział zupełnie pewnym głosem. To, co się w tych stronach nazywało umiejętnością konnej jazdy, było niczym w porównaniu z wyczynami, jakich musiał dokonywać w Wyższej Szkole Jazdy w Grudziądzu, a przecież skończył ją z najwyższym odznaczeniem.

- Lasso i w ogóle umiejętność obchodzenia się z bydłem?

- Niestety - oświadczył szczerze - z tym nigdy nie miałem do czynienia.

- Nie szkodzi - zawołał pośpiesznie Dean, wyczuwszy w jego głosie zaniepokojenie. - Nauczy się pan. Nie jest to takie trudne, jakby wyglądało. A więc, opierając się na pańskich kwalifikacjach, proponuję panu trzy dolary dziennej płacy, zgoda?

- Przyjmuję z wdzięcznością. Tylko... jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym, by pan wiedział przed przyjęciem mnie do pracy...

- No? - ton Deana był pełen zachęty.

- Otóż... - wyjąkał niepewnie - nazwisko, które podałem...

- Nie jest prawdziwe - zakończył z uśmiechem Dean. - O tym wiedziałem od pierwszej chwili. Ale nic mnie nie obchodzi, jakie pan ma powody do ukrywania swego prawdziwego nazwiska. Będzie pan dla mnie Clementem, dopóki z tych czy innych względów będzie pan to uważał za stosowne.

Wchodzili na wybrukowane podwórze.

- Byłbym panu wdzięczny, gdyby mi pan zechciał wskazać pomieszczenie przeznaczone dla robotników. - Bandera zatrzymał się na progu ganku.

Dean uśmiechnął się w duchu. Chłopak podobał mu się coraz

bardziej. Sam w tych warunkach nie zachowałby się inaczej aniżeli ten obszarpaniec, przybyły nie wiadomo skąd. Podanie przez przybysza fałszywego nazwiska nie miało właściwie żadnego znaczenia. W tych stronach wiele ludzi wolało występować pod przybranym nazwiskiem.

- Od jutra, jeśli pan pozwoli - zaproponował uprzejmie - przyjmę pana do pracy, dopiero od jutrzejszego ranka, a dziś jest pan naszym najmiłszym gościem - wskazał gestem drzwi prowadzące do holu.

W mdłych promieniach lampy, zawieszanej wysoko u sufitu bawialni, płowe włosy siedzącej przy stole dziewczyny lśniły srebrzystą, delikatną poświatą. Spojrzała nieco zaniepokojona na wchodzących.

Pogodne rysy twarzy ojca objaśniły jej, że rozmowa zakończyła się po jej myśli.

- Cieszę się, mister Clement - wyciągnęła wąską, delikatną dłoń - że pan pozostaje na farmie.

## **ANN DECYDUJE**

Sssss - giętkie łąso przecięło ze świstem powietrze, spadając na kark szalejącego buhaja.

Bandera szarpnął cugłami i po chwili buhaj leżał na ziemi. Jego przekrwione oczy zaczęły zachodzić mgłą, zwolnił więc nieco uścisk łąsa.

- Świetnie, Clement! - zawołał stary Selters, nadzorca kowbojów, podjeżdżając ku Banderze z uśmiechem uznania na wargach. - Nie spodziewałem się, byś w ciągu dwóch miesięcy potrafił dojść do takiej doskonałości w sztuce rzucania łąsem.

- Cóż dziwnego - wzruszył ramionami Bandera - pod pana kierownictwem? Powiedział to zupełnie szczerze. Nigdy w życiu nie odczuwał najmniejszej zdolności do przyochlebiania komukolwiek. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że wszystko, co umiał dziś jako kowboj, zawdzięczał jedynie staremu Seltersowi, który nie szczędził wysiłków, by wykształcić nowo przyjętego pracownika na pierwszorzędnego zaganiacza.

Staremu przypadł wyraźnie do gustu ten pojętny chłopak, chwytający w lot wszystkie wskazówki. Pewien wpływ na jego uczucia wywarła niewątpliwie również i rozmowa, jaką przeprowadził z nim Dean jednego z pierwszych dni pracy nowego kowboja na farmie. Ale niezależnie od tego naprawdę polubił Bandereę.

Ten zaś nie szczędził wysiłków, by okazać się pożytecznym. Wciąż jeszcze nie mógł się pozbyć wrażenia, że przyjęcie do pracy zawdzięczał ocaleniu Ann.

Gdy przed dwoma dniami Dean, obserwujący z zaciekawieniem postępy Bandery w roli kowboja, zaproponował mu podwyższenie płacy do trzech i pół dolara, to jest do najwyższej stawki, Bandera zaproponował stanowczo. Nie pomogło groźne marszczenie brwi ani gniewne mruczenie. Bandera trwał w swym uporze niewzruszony jak skała. Zagroził nawet porzuceniem pracy na farmie, gdyby Dean nie chciał ustąpić. A przecież to byłoby już najwyższym poświęceniem z jego strony. Nie widzieć słodkiej twarzyczki Ann, nie móc się wpatrywać ukradkiem, w chwilach gdy przypuszczał, że ona tego nie widzi, w jej szare oczy? Tak, to byłoby niewątpliwie najgorsze, co by mu się mogło w życiu przydarzyć.

Ann spotykał niemal ustawicznie na swej drodze. Był zupełnie

przekonany co do przypadkowości tych spotkań, za które błogosławił niebios - stary Dean miał jednak co do tego całkiem inne zdanie.

Nie uszedł jego bacznyom oczom ani jeden gest jedynaczki w stosunku do przybysza. Zdawał sobie doskonale sprawę, co to wszystko oznacza. Ukryty w swej zacisznej pracowni całymi godzinami rozmyślał nad zaistniałą sytuacją, mrużąc coś pod nosem. Jednak milczał. Nie uczynił na ten temat najmniejszej uwagi ani w rozmowie z córką ani z Banderą.

Postanowił pozostawić sprawy ich naturalnemu biegowi. Zbyt dobrze znał córkę, by przypuszczać, że jego interwencja mogłaby wpłynąć na skierowanie sprawy na inne tory. Raczej przeciwnie. Obawiał się, by to, co dotychczas tliło się pod powierzchnią, nie wybuchło gwałtownym płomieniem w razie jakichś przeszkód. Usunięcie przybysza z farmy także by nic nie pomogło. Nie chciałby się narażać na utratę jedynaczki. A miała przecież w żyłach jego krew. Na pewno by się nie zawahała przed pójściem drogą wskazaną przez uczucie, tak jak i on nie zawahałby się przed tym ani przez chwilę... gdyby był młody. A może jeszcze nawet i teraz. Krew w żyłach Deana wciąż płynęła wartkim nurtem.

Milczał więc, zaciskając zęby i udając, że nic nie spostrzega. I tak nic na to nie mógł poradzić.

Obserwował tylko ustawicznie Banderę, szukając w nim słabych stron, które by mogły posłużyć za ewentualny argument. Ale nic nie mógł znaleźć. Kimkolwiek był ten nieznajomy przedtem, w czasie pobytu na farmie zachowywał się bez zarzutu. W stosunku do swej pracy i w stosunku do... Ann.

Błyszczące oczy Bandery wołały niedwuznacznie o uczuciu

rozpierającym jego serce. Ale błyszczały jedynie w chwilach, gdy był pewny, że nikt na niego nie patrzy. Nie narzucał się też swoim towarzystwem. Raczej przeciwnie. Starał się zawsze, o ile to było możliwe, schodzić jej z drogi. Czegóż więcej mogło wymagać choćby najbardziej krytyczne ojcowskie oko?

Przez dwa miesiące swego pobytu na farmie Bandera wysunął się na pierwsze miejsce wśród pracowników. Był jednym z najlepszych kowbojów. Takim widział go stary Selters, takim też musiał go widzieć w głębi duszy i sam Dean.

A jak widziała go Ann?

W tej właśnie chwili przejeżdżała na swej karej Betsy, niby przypadkiem, wzdłuż brzegu lasu, przyglądając się roziskrzonymi oczyma harcom Bandery, uwijającego się zręcznie wokoło zapędzanego do corralów bydła.

Bandera rzeczywiście wspaniale prezentował się w siodle. W czasie jazdy trzymał się z jakąś niezwykłą jak na tutejsze stosunki dystynkcją. Daleko było do niego najlepszym jeźdźcom, jakich dotychczas oglądała, a przecież byli naprawdę pierwszorzędni.

Ale jak oni się trzymali w siodle? Dopiero porównując z nimi Bandere, dostrzegała ich przygarbione plecy i opuszczone ramiona. Tak, to nie było to samo.

Bandera dawno już dostrzegł smukłą sylwetkę dziewczyny, rysującą się na zielonym tle lasu, ale udawał, że jej nie widzi. Nie chciał się narzucać swym towarzystwem. Rzucał jedynie od czasu do czasu w jej kierunku ukradkowe i jak miał wrażenie, niewidoczne spojrzenia, ogarniając wiotką postać dziewczyny rozkochanymi oczyma.

Ann widziała jednak dobrze to spojrzenie. Nie uszedł jej uwagi najmniejszy ruch jeźdźca. Przecież tylko dla niego wałęsała się bezcelowo pod lasem, udając mocno zaaferowaną jakimiś tylko sobie wiadomymi sprawami.

Człowiek, który ją owej pamiętnej nocy ocalił z łap niedźwiedzia, w chwili gdy już była pewna swej śmierci, zapadł jej głęboko w serce. Tłumaczyła sobie niejednokrotnie, że to nie ma najmniejszego sensu. Nie wiedziała, kim był i skąd przychodzi. Nie wiedziała nawet, czy jest wolny. Nie potrafiła go sobie jednak wyperswadować. Rozum mówił swoje, serce zaś dopominało się wielkim głosem o swe prawa. Nie wiedziała, kim jest, ale wiedziała już, że go kocha - to wszystko.

Słońce powoli opadało poza falującą linię lasu, zalewając konary drzew krwawą purpurą ostatnich promieni, Kowbojom udało się wreszcie wepchnąć niesforne stado do zagród. Dzień pracy, rozpoczynający się z pierwszymi promieniami słońca, dobiegał końca.

Bandera podjechał ku barakom przeznaczonym dla kowbojów, zeskakując z siodła po kilkunastu godzinach trwania w nim niemal bez przerwy.

Przeciągnął się, rozprostowując zeszywniałe mięśnie, po czym usiadł ciężko na przyzbie i zapaliwszy papierosa, nasłuchiwał leniwie odgłosów nadchodzącej nocy.

Nagle drgnął, poczuwszy bezceremonialne uderzenie czyjejś ręki na ramieniu.

Odwrócił niechętnie głowę, niezadowolony, że przerwano mu rozmyślenia.

Tuż za nim pochylała się wykrzywiona poufałym uśmiechem twarz

Corcka. Nie znosił tego osobnika, jednego z dwóch włóczęgów przybyłych na farmę z ogłoszenia o poszukiwaniu pracowników. Jeżeli można było o jakiegokolwiek twarzy powiedzieć, że nosi na sobie piętno występku, to właśnie o twarzy Corcka. Malowały się na niej bowiem wszystkie niskie instynkty jej właściciela. Bandera otwarcie okazywał mu niechęć, usiłując trzymać go na dystans, ale Corck nie należał do typów, które by można powstrzymać od pchania się z natrętną natarczywością. Nie przejmował go zupełnie opryskliwy ton i odpychające zachowanie Bandery. Po prostu napraszał się ze swą przyjaźnią. Musiał widocznie mieć jakieś szczególne plany względem niego.

- Czego? - burknął Bandera, strącając energicznym ruchem rękę z ramienia.

Uśmiech Corcka stał się jeszcze szerszy. Patrząc na niego, można było odnieść wrażenie, że odpowiedź Bandery wypadła jak najuprzejmiej.

- Chciałem ci zaproponować... małą partyjkę pokera. - Corck zniżył głos niemal do poufałego szeptu.

- Nie będę grać w pokera - odpowiedział obojętnie Bandera.

- Dlaczego?

- Bo nie mam ochoty i już - ton głosu Bandery stawał się po prostu prowokujący. Nie mógł pokonać odrazy do tego osobnika.

Corck zarechotał oblesnie. - Wolimy marzyć o dziewczynce, co? - przymrużył znacząco oko.

Bandera zerwał się gwałtownie z ławki, stając przed nim. Na widok zielonych płomyków, lśniących w oczach Bandery, Corck cofnął się o krok, podnosząc instynktownym ruchem rękę w górę, jakby chciał się zasłonić przed mającym nań spaść za chwilę ciosem.



- Zabraniam ci - powiedział dobitnie Bandera, a w głosie jego zadźwięczała stal - rozmawiać ze mną albo z kimkolwiek na temat waszych idiotycznych domysłów. Jeśli się to jeszcze powtórzy choćby jeden raz... No... - zacisnął pięści.

Corck nie miał najmniejszych wątpliwości, jakiego rodzaju groźbę zawierało w sobie niedokończone zdanie.

Wargi jego ściągnęły się w wąską linię, a w oczach załśnił przelotny zresztą wyraz nienawiści. Corck umiał panować nad swymi uczuciami, a zbyt często miał możliwość obserwować siłę Bandery i celność jego strzału, by chciał zaryzykować otwartą zwadę.

Z wysiłkiem wywołał na wargi uśmiech, gasząc pośpiesznie błyskawice gniewu w oczach.

- Ależ czegoż się wściekasz? - zaczął nieomal słodkim tonem - nie miałem nic złego ma myśli...

- Pamiętaj... - odsapnął Bandera, siadając znowu na przyzbie. Nie czuł się zbyt zadowolony z zakończenia rozmowy. Jego napięte nerwy wymagały rozładowania. A jakież mogłoby być na świecie lepsze rozładowanie od zmasakrowania tej nienawistnej twarzy? Skoro jednak tamten się natychmiast wycofał, nie było powodu do awantury.

Corck stał przez chwilę, obserwując Bandere w milczeniu. Wreszcie, widząc, że ten nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, wykreślił się na pięcie i zniknął we wnętrzu baraku.

Bandera znów zapadł w rozmyślenia, jednak zajście z Corckiem skierowało je na inne tory.

Corck i jego towarzysz Murphy stanowili dla Bandery jedyne niebezpieczeństwo na farmie Deana. Ci dwaj osobnicy, napiętnowani

wprost występkiem, knuli coś podejrzanego, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, nie wiedział jednak, w jakim kierunku idą ich zamierzenia.

Starali się wkręcić w łaski wszystkich kowbojów, częstując ich nie wiadomo skąd zdobywaną whisky i wciągając w partyjki pokera, w których pozwalali im wygrywać drobne sumy.

Kibicując grze jednego z pierwszych wieczorów swego pobytu na farmie, Bandera zauważył bez trudu, że Corck i Murphy przegrywają umyślnie. Nie podzielił się z nikim swymi spostrzeżeniami, w obawie by go nie wyśmiano. Zresztą to było zupełnie bezcelowe. Kto by uwierzył w taki pozbawiony cienia prawdopodobieństwa nonsens, by kowboje umyślnie przegrywali swój ciężko zapracowany grosz? Bandera jednak zbyt dobrze sam grał w pokera, by nie się od razu nie połapać w ich podejrzanym manipulacjach. Nie byłoby ostatecznie nic dziwnego w tym, że oszukiwali - zdumiewające było oszustwo, którego celem była ich przegrana.

Od chwili tego niezrozumiałego spostrzeżenia obserwował ich z podejrzliwą uwagą. Nic jednak więcej nie mógł odkryć. Wydawać by się mogło, jakby uprawiali sztukę dla sztuki, ale w to nie wierzył nawet przez sekundę.

Tak - zdecydował wreszcie, przygniatając podeszwą buta niedopałek papierosa - coś w tym wszystkim tkwi, to jest pewne, ale co?

Tej nocy, kładąc się spać w ogólnej izbie, wsunął naładowany rewolwer pod sam brzeżek chudej poduszki, w ten sposób, aby go mieć pod ręką w razie potrzeby. Pomimo zmęczenia starał się spać jak najczujniej, by móc się zerwać w razie najlżejszego podejrzanego szelestu, wciąż bowiem miał w pamięci wyraz oczu Corcka. Noc jednak wbrew

przewidywaniom minęła zupełnie spokojnie.

Gdy wreszcie pierwsze promienie wschodzącego słońca przerwały ten męczący półsen, zerwał się szybko z posłania, rozglądając się po baraku w poszukiwaniu Corcka i Murphego.

Nigdzie jednak nie mógł zauważyć dobranej pary przyjaciół. Widocznie wstali jeszcze wcześniej i opuścili barak bądź też w ogóle spędzili noc poza nim.

Postanowił mieć ich jeszcze bardziej na oku. Instyktownie wyczuwał nadciąganie momentu decydującej rozgrywki.

Strumień lodowatej wody ze stojącej przed barakiem pompy spędził z jego ciała resztki zmęczenia i senności.

Zaczął się dzień wytężonej pracy.

Zanim jeszcze słońce wypłynęło ponad ciągnący się na wschodzie łańcuch potężnych gór, trzeba było wypędzić bydło na pastwisko.

Bandera, poza innymi umiejętnościami, przyswoił sobie spory zapas miejscowych przekleństw, którymi posługiwał się gęsto przy pracy. Naprawdę pomagały. Zdawało się, że bydłu jedynie przekleństwa przemawiały do przekonania.

Stłoczona, ruchliwa masa zwierząt wypływała powoli przez szerokie wrota corrali przy akompaniamencie głośnych pokrzykiwań poganiaczy. To stanowiło jeden z najtrudniejszych momentów dnia - drugim było spędzanie bydła z powrotem do zagród, ale wtedy bydłota, zmęczone całodziennym hasaniem po pastwisku, wykazywały przynajmniej nieco mniej aktywności. Rano zaś buhaje biesiły się przy lada okazji, usiłując uciec z gromady poprzez łańcuch kowbojów, przy czym pociągały za sobą zwarty tłum krów. Uspokajanie buhajów nie należało do zbyt łatwych

zadań. Te historie powtarzały się każdego dnia. Kowboje byliby wprost zdumieni, gdyby któregoś dnia wypędzanie bydła na pastwisko odbyło się bez tego rodzaju incydentów. Prawdopodobnie przypuszczaliby, że jakaś nieznana zaraza niechybnie zdziesiątkuje im stada. Wreszcie udało się zagonić bydło na pastwisko. Niespełna półtorakilometrowa przestrzeń, dzieląca pastwisko od farmy, zabrała im prawie dwie godziny. Teraz mieli trochę czasu. Pilnowanie bydła, któremu pozostawiano na rozległej polanie nieco więcej swobody, nie wymagało obecności wszystkich kowbojów. Bandera rozejrzył się wokoło: wszystko było w porządku, mógł więc poświęcić śmiało jakąś godzinkę na załatwienie własnych spraw.

Corck i Murphy zniknęli gdzieś z polany. To go zaniepokoiło. Zwykle dotąd trzymali się stada, usiłując nawiązać przyjacielskie stosunki z kowbojami pilnującymi pastwiska, którzy znudzeni bezczynnością, skłonniejsi byli do pogawędek.

Podjechał do Seltersa, kierującego się w stronę farmy.

- Nie widział pan przypadkiem, dokąd zwiali Corck i Murphy? - zapytał.

Selters spojrzał na niego przenikliwie, a w jego twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty. Widocznie przypuszczał, że Bandera ma do tych dwóch jakiś interes. Tego się po nim nie spodziewał, żeby miał coś wspólnego z tymi podejrzanymi typami.

No... no - pokiwał głową do swych myśli. - Tak - burknął wreszcie, wzruszając niechętnie ramionami - widziałem gagatków. Pojechali tam - kiwnął ręką w kierunku lasu - a mieli przy tym miny niczym ścigane zające... - Bandera zaniepokoił się. Do lasu? Przecież widział przed

kilkudziesięciu minutami, jak tam udawała się tam samotnie Ann. Na myśl o tym, że mogłaby w lesie napotkać tych nie cofających się, jak był tego pewien, przed niczym opryszków, serce ścisnęło mu się w piersi z przerażenia.

- Chcecie z nimi pogadać... tak? - zająrzył mu w oczy stary kowboj. Bandera nie odpowiedział, zawracając gwałtownym ruchem konia. Ruszył z kopyta w kierunku lasu. Nie było czasu do stracenia. Jego obawy mogły być wprawdzie bezpodstawne, ale mogło się zdarzyć także...

- O! - mruknął przez zaciśnięte zęby, uderzając Wojtka w boki ostrogami, by go pobudzić do szybszego biegu.

Selters patrzył zasepiony za jeźdźcem pędzącym w kierunku falującej linii drzew. Czyżby miał się omylić w ocenie swego pupila, za jakiego poniekąd uważał Bandere?

- Ba - splunął śliną brunatną od nikotyny - kto tam wie, co on sobie myśli? - naprawdę nie zawsze mógł zrozumieć zachowanie Bandery.

Bandera tymczasem wjechał między pierwsze drzewa. W lesie, osłoniętym od góry niemal nieprzeniknionym dachem gęstych, poplątanych gałęzi, panował półmrok - pomimo stojącego prostopadle nad górami słońca, rozsiewającego jaskrawe, oślepiające promienie południa. Uniósł się w strzemionach, próbując bezskutecznie przeniknąć wzrokiem otaczający go ze wszystkich stron gęszcz krzewów, zarastających zwartym murem przestrzeń pomiędzy pniami.

Jednocześnie wyteżył słuch, wsłuchując się w leśne odgłosy. Rozumiał dobrze, że w tych warunkach uszy mogą się okazać daleko bardziej pomocne od oczu.

Nic. Żadnej wskazówki co do kierunku, w jakim miała jechać.

Spomiędzy gałęzi drzew dochodziło ogłuszające świergotanie niezliczonej ilości ptactwa. Zupełnie jak gdyby w lesie nie było prócz niego żadnej ludzkiej istoty, a przecież w tym zielonym labiryncie znajdowała się Ann i znajdowali się też tamci dwaj.

Wreszcie ruszył wprost przed siebie, przedzierając się przez listowie. W każdym razie było to niewątpliwie lepsze aniżeli bezczynne sterczenie na skraju lasu. Gdyby znajdowała się gdzieś blisko, nie groziłoby jej najmniejsze niebezpieczeństwo, wystarczyłby bowiem jeden krzyk, aby przywołać na pomoc kowbojów pilnujących na polanie stada. Na to nie odważyliby się na pewno. Jeżeli groziła jej napaść ze strony Corcka i jego towarzysza, to tylko w głębi lasu. Nie wyglądali na ludzi zdolnych do zbytniego ryzyka. Zagłębiał się w las, chciwie nasłuchując podejrzanych dźwięków. Nie słyszał jednak jak dotąd nic, co by mogło wzbudzić jego czujność.

A może - rozmyślał z bolesnym zwątpieniem - Ann udała się w zupełnie innym kierunku i tamci podążyli w ślad za nią, by zaatakować ją w odległej gęstwinie? Wyobraźnia rysowała mu przed oczyma najokropniejsze obrazy. Ann i ci dwaj - w dzikim lesie z dala od możliwości ratunku!

Przedzierał się, nie zważając na kolczaste pędy dzikiej akacji, kaleczące boleśnie skórę rąk i twarzy.

Gdy przejeżdżał obok potężnego pnia jakiegoś drzewa, drgnął gwałtownie, a jego palce błyskawicznym ruchem objęły rękojeść pistoletu. Zza gęstej zasłony krzaków dochodziły wyraźne odgłosy szamotaniny.

Szarpnął gwałtownie cugle, zmuszając Wojtka do przesadzenia jednym susem kolczastej przegrody.

Wydłużony płowy kształt przewinał się na tle zielonej ściany, znikając za drzewami.

Wojtek poruszył niespokojnie uszami, prychając trwożliwie. Bandera jednak z ulgą opuścił rękę. To była wielka złocista puma, której przeszkodził w zdobyciu śniadania. Nic go nie obchodziła. Nie wybrał się przecież na polowanie.

Wędrował nieustępliwie dalej. Wciąż jeszcze odgłosy leśne nie dawały najmniejszej wskazówki, czy posuwa się we właściwym kierunku.

Z każdą chwilą opanowywał go coraz większy niepokój. Jeżeli Ann udała się w inną stronę, każdy krok oddalał go od niej, a jakąż mógł mieć szansę, że na tysiące możliwych dróg wybrał tę właściwą?

Pomiędzy drzewami zajaśniała wolniejsza przestrzeń. Jeszcze kilkanaście metrów i wyjechał na niewielką polanę. Na ułamek sekundy zmrużył oczy porażone jaskrawymi promieniami słońca, które zdawało się być zawieszony tuż nad ziemią. Gdy je otworzył, zdrętwiał z przerażenia, a jego ręka instynktownym ruchem wyrwała z pochwy rewolwer. Buchnęły dwa strzały, jeden po drugim, potem trzeci, ale tym razem już nie z jego broni.

Kula z rewolweru Corcka gwizdnęła tuż obok jego policzka, muskając skórę gorącym wiewem. Nie zwrócił na nią większej uwagi niż na przelatującą muchę. Minał zaledwie ułamek sekundy, gdy już znalazł się przy Corcku, rzucając się na niego.

Niewyraźnie dostrzegł, jak Murphy zwinął się na siodle i gruchnął na ziemię. Miał więc tylko jednego przeciwnika. Runął na niego z gołymi rękoma. Nie wiedział, kiedy machinalnym ruchem wsunął rewolwer do pochwy, nie pamiętał o nim. Czerwona mgła przesłoniła mu oczy. Walka

nie trwała długo. Corck zmiądzony po prostu potężnymi ciosami jego pięści osunął się na trawę. Bandera nie miał nawet czasu, by się dobrze zorientować, co się stało.

Gdyby się zastanowił choćby przez ułamek sekundy, na pewno nigdy nie zaryzykowałby tych strzałów. Znajdowali się przecież tak blisko Ann - kilka centymetrów odchylenia i wymierzona w napastników kula mogłaby jej dosięgnąć. Ale nie był zdolny do namysłu. Ta brudna, owłosiona ręka Murphyego na jej delikatnych ustach... I ten obleśny uśmiech na ohydnej gębie Corcka.

Ośmielił się ją znieważać uściskiem ramion?

Nawet nie spojrzął na dwie nieruchome postacie, leżące wśród wysokiej trawy. Nic go w tej chwili nie obchodziły.

Podbiegł, zeskakując z konia, do chwiejącej się bezwładnie w siodle postaci.

Boże - myślał, wpatrując się w jej trupioblada, jakby zastygła twarzyczkę - jeśli jej zrobili coś złego... Gotów był rozszarpać ich na strzępy. Ośmielili się sięgnąć świętokradczymi łapami po Ann.

Przechyliła się mocno i gdyby jej nie podtrzymał, zleciałaby z siodła. Oczy miała szczelnie zamknięte, pod oczyma czerniały wielkie, podłużne sińce. Chwycił ją w ramiona, układając ostrożnie na miękkim posłaniu trawy. Zdawało mu się, że ciało sztywnieje mu w rękach. Ukłękł przy niej, zupełnie bezradny. Zemdlona... czy...

Nie, tak potworna myśl nie mogłaby się pomieścić w głowie... W tym momencie Ann poruszyła się niespokojnie i otworzyła oczy. Cichy, ledwo dosłyszalny jęk wydarł się z warg pozbawionych krwi.

- Ann! - szepnął bezmyślnie - Ann... ja już jestem przy tobie...



wszystko będzie dobrze...

Nie słyszała go. Patrząc w jej zmętniałe oczy, poczuł potworny skurecz bólu, szarpiący serce. Znowu przymknęła oczy.

Nachylił się nad nią, wpatrzony w delikatne, niby płatki róż, powieki. Odniósł wrażenie, jakby zaczęły na nie wpełzać fioletowo-sine cienie.

- Ann - zaczął cicho - Ann! - zawołał głosem przepojonym rozpaczą.

Nie poruszyła się, trwając w martwym bezruchu.

Boże - błysnęła w jego mózgu przerażająca myśl. - A jeżeli ona...  
umarła?

Nie zdawał sobie już sprawy z tego, co robi.

Schwycił jej głowę w dłonie, obsypując całą twarz pocałunkami.

- Ann... odezwij się... żyjesz... nie mogłaś... odejść... Ann... Boże...  
zwróć jej życie... zabierz moje... umrę z rozkoszą... nawet na szubienicy...  
wszystko... byleby tylko ona... ona musi żyć... musi... - powtarzał z  
zapamiętałą żarliwością. Gdy jego usta natrafiły na jej wargi, wpijając się  
w nie z całą mocą rozpaczy, jakby chcąc tchnąć życie w to bezwładne  
ciało - poruszyła się słabo. Powieki uniosły się ociężale, odsłaniając  
błyszczące źrenice. Szare oczy patrzyły mu prosto w twarz. Straciły już  
swą poprzednią szklaną martwość. Patrzyły przytomnie.

W jednej chwili podniósł jej głowę, która opadła ciężko na trawę.

Na jego twarz wystąpił ciemny rumieniec wstydu.

Jakiż ja jestem podły - rozmyślał boleśnie, przytykając do jej ust  
manierkę - skorzystałem z jej omdlenia. Czy jestem lepszy od tych  
bandytów?

Minęło kilka sekund, zanim podniosła z wysiłkiem głowę.

Opuścił wzrok pod jej pytającym spojrzeniem. Czuł, że już nigdy nie zdobędzie się na spojrzenie w jej oczy po tym, co zrobił...

- Co... co się stało? - wyjąkała wreszcie słabo. Odwrócił głowę, udając wpatzonego w ciemniejącą linię lasu.

- To... - głos jego brzmiał całkiem niepewnie - ci... bandyci - machnął ręką w kierunku wciąż jeszcze nieruchomych ciał, tworzących ciemne plamy na jasnoszmaragdowym de trawy. - Murphy... i Corck... napadli na panią... więc ja... - utknął beznadziejnie.

Ann poruszyła się znowu słabo, po czym usiadła, opierając się plecami o pień drzewa, pod którym ją ułożył.

- Tak - zaczęła powoli, nieco już okrzepłym głosem. - Teraz sobie już przypominam... Nie żyją?

- Nie... - wzruszył ramionami - nic im się nie stało: kulka w ramieniu i porządny cios pięścią przez łeb to wszystko... tymczasem... - dodał, a w jego oczach zapłonęły groźne błyski, gdy sobie przypomniał obraz widziany w chwili wjazdu na polanę...

- Nie, panie Jacku - powiedziała poważnym głosem - to wszystko... na zawsze. Jestem szczęśliwa, że nie ma pan na sumieniu tych dwóch opryszków. Czy długo byłam zemdlona? - zmieniła nagle temat.

Gdyby się odwrócił, ujrzałby w jej źrenicach wesołe chochliki. Ale się nie odwrócił. Nie, nie odwróciłby się, słysząc to pytanie, za żadne skarby świata. Opuścił ponuro głowę na piersi. Jak długo była zemdlona? Przecież on właśnie wtedy...

Na jej usta wypłynął uśmiech pełen tkliwości, gdy oczy przesunęły się po linii opuszczonych beznadziejnie ramion.

- Dlaczego pan na mnie nie chce patrzeć? - zapytała z wyrzutem w

głosie.

Mechanicznym, niemal bezwolnym ruchem odwrócił wreszcie ku niej głowę.

- Ja... zaczął - właściwie... - jąkał nieśmiało. Nie, to co powinien wyznać, nie mogło mu przejść przez gardło.

Nie chciała go już dłużej męczyć. Zdawała sobie przecież doskonale sprawę z tego, co się dzieje w jego duszy.

- Przybył pan w samą porę - oświadczyła, posyłając mu promienne spojrzenie, którego nie dojrzał, miał bowiem wzrok utkwiony w zielonych źdźbłach trawy - jak zawsze zresztą - dodała ciepłym tonem. - Ratowanie mnie ze śmiertelnych niebezpieczeństw wchodzi już panu po prostu w krew.

Milczał uparcie. Wydawało mu się, że już nigdy nie będzie z nią mógł rozmawiać tak jak przedtem.

- Jedziemy - rzuciła, podnosząc się na nogi. Widziała, że nie potrafi z niego wydobyć ani jednego rozsądnego słowa.

- Czy pani czuje się dosyć silna? - zapytał troskliwie.

- O tak - zaśmiała się wesoło - my tu na kresach jesteśmy ulepieni z mocnej gliny. Nawet kobiety. Jeżeli nie giniemy od razu, wstajemy na nogi jak dziki kot.

Zupełnie pewnym ruchem wskoczyła na siodło. Prawie nie było już na niej znać ostatnich przeżyć.

Bandera załadował wciąż jeszcze nieprzytomnych bandytów na siodła ich koni, przywiązując bezwładne, przelewające się przez ręce ciała cienkim rzemieniem lassa.

W czasie wiązania Murphy, widocznie urażony w ranę niezbyt

delikatnymi ruchami Bandery, jęknął głucho, usiłując się poruszyć. Gdy poczuł krępujące go więzy, otworzył szeroko oczy i spojrzał na Bandereę spode łba.

Z jego oczu wycierał strach pomieszany z nienawiścią. Przypomniawsobie w tej chwili wszystko, co zaszło przed uderzeniem kuli, która zwała go na ziemię.

Nie odezwał się jednak ani słowem. Po co? Na to, co zrobił, nie ma żadnego wytłumaczenia. Nie oczekiwał też litości. Trudno, nie udało się. Jeżeli nie zdoła uciec, będzie musiał ponieść konsekwencje, o ucieczce zaś tymczasem nie było mowy.

Cały orszak przedzierał się w milczeniu poprzez gęstwinę w kierunku farmy.

Bandera jechał na przedzie, prowadząc konie obu więźniów za uzdy. Ann pozostawała nieco w tyle. Twarz jej wyrażała najwyższe skupienie. Rozmyślała nad czymś, widocznie bardzo poważnym, obrzucając od czasu do czasu ukradkowymi spojrzeniami barczystą postać Bandery.

Na widok osobliwej procesji, nadciągającej ku bramie, z zabudowań wysypali się gęsto kowboje. Otoczyli ich zewsząd ciasnym kołem.

Widok związanych podniecił ich ciekawość. Nic nie mogli z całej tej sceny zrozumieć.

- Jack, co się stało? Dlaczego ich wieziesz jak barany do rzeźni? - padały ze wszystkich stron zdumione okrzyki.

Jacek milczał. Chciał jak najprędzej odstawić więźniów staremu Deanowi i uciec od spojrzeń szarych oczu Ann.

Lamney, barczysty kowboj, pozostający z Bandereą w dość zażyłych stosunkach, wsunął mu dyskretną, niemniej przeto dotkliwą sójkę między

żebra, chcąc w ten sposób zwrócić na siebie jego uwagę.

- Czego udajesz ważniaka, draniu? - spytał dobrodusznym basem.

Ale Bandera nie udawał ważniaka. Bał się jedynie podnieść oczy, aby nie napotkać spojrzenia Ann. Był pewien, że wyczyta w nich wyraz wstrętu i oburzenia.

Jeżeli wtedy nie była nieprzytomna - rozmyślał, przypominając sobie każdy najdrobniejszy szczegół tego, co zaszło na polanie - znienawidziła mnie na pewno...

Na dźwięk kopyt, uderzających o bruk podwórza, na ganek wyszedł Dean, a wraz z nim kilku nieznajomych mężczyzn.

Obok Deana stał krępy człowiek w skórzanej bluzie.

Bandera przesunął po jego postaci obojętnym wzrokiem... i nagle zdrętwiał z przerażenia.

Na skórzanej bluzie, w odległości kilku cali ponad lewą górną kieszenią, błyszczał w promieniach wysoko stojącego na niebie słońca niewielki srebrny znaczek. Znaczek gwiazdy z wyrytą na nim podobizną orła o groźnie rozcapierzonych szponach.

Tak, nie mógł mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. To był szeryf. Szeryf, który przybył na farmę po niego.

Instynktownym ruchem ściągnął cugle. Uciekać za wszelką cenę! Przecież ta mała, misternie cyzelowana gwiazda... to szubienica.

Pragnienie to zgasło po chwili. Ucieczka nie była możliwa. Nie miał żadnych szans.

Zresztą miał wiać jak opryszek przed szeryfem, na oczach wszystkich... na oczach Ann?

Puścił wolno cugle, rysy zaś jego twarzy stężały w wyrazie

kamiennej powagi.

Widocznie Bóg przyjął moją ofiarę - pomyślał z rezygnacją. - Ann żyje, a mnie czeka szubienica.

Wzrok szeryfa utkwiał drapieźnie w postaci Bandery, gdy jednak spojrzął na przywiązane do koni postacie, w jego oczach zamigotało najwyższe zdziwienie.

Jednym susem przeskoczył całą szerokość ganku, podbiegając do koni. Pochylił się nisko nad twarzą Corcka, następnie zaś podszedł do Murphy'ego. Na Banderę zdawał się nie zwracać żadnej uwagi.

- O - zawołał wreszcie, nie odrywając wzroku od jeńców - oto połów co się zowie! - Wyrzucił ręce w górę, jakby wzywając niebiosa na świadka prawdziwości swych słów. - Lencky „Tygrys” - wskazał na Murphy'ego - i Jeffson „Złota Rączka” - poklepał po ramieniu Corcka. - To przecież coś niebywałego. - Wypuścił ze świstem powietrze z ust. - Najpiękniejszy dzień mojego życia. Miałem nadzieję, że może kiedyś złapię któregoś z nich, ale żeby tak od razu obu?

Obchodził powiązanych opryszków ze wszystkich stron, jakby nie mogąc się nacieszyć niespodziewanie znalezionym skarbem.

- Jeffson! - zawołał, tarmosząc bez żadnej ceremonii bezwładne ciało Corcka. - Nie udawaj, proszę, trupa! My się przecież znamy? Drugi raz nie uda ci się już nabrać mnie na nieboszczyka!

Corck otworzył oczy.

- Cóż - burknął niedbale - szeryf Winsney, jeśli się nie mylę?

- Nie, chłopysiu - zarechotał radośnie szeryf - wcale się nie mylisz. Tym razem uwierzę w twoją śmierć, dopiero jak sobie ze dwie godziny powiesz na szubienicy. Spotkaliśmy się przecież...

- Wielka mi rzecz - wzruszył ramionami Corck, przy czym gest ten wymagał nie byle jakiej zręczności z powodu więzów ciasno oplatających jego ciało - to wcale nie twoja zasługa...

- Nie moja? - szeryf stropił się na ułamek sekundy. - Ano, cóż robić, masz rację. Nie moja, niestety. No, ale za to kawaler - zwrócił się teraz do Bandery - spisał się chwacko. Jak najlepiej.

Podszedł tuż do niego, przyglądając mu się przez chwilę badawczo. Bandera miał wrażenie, jak gdyby przenikliwy wzrok szeryfa docierał do najtajniejszych zakątków jego duszy, wyciągając na zewnątrz wszystko to, co chciał zachować w tajemnicy.

- Nie... znamy się... chyba? - zapytał szeryf, przy czym na jego usta wypęłzył jakiś dziwny uśmiezek.

- Nazywam się Clement - burknął niepewnie Bandera. Nie miał najmniejszej nawet nadziei, by tamten mu uwierzył. Przecież przybył na farmę na pewno jedynie po niego.

- Clement? - powtórzył przeciągle szeryf. - Ano - przymrużył znacząco oko. - Może się i tak nazywacie. Nawet na pewno tak właśnie brzmi wasze nazwisko - podniósł nieco głos, by wszyscy obecni go usłyszeli. - Nie - rzucił pewnym głosem w stronę swych towarzyszy. - Mister Clement nie jest wcale tym, kogośmy poszukiwali. Nie ma nawet najmniejszego podobieństwa!

Tamci przyjęli słowa szeryfa z zupełną obojętnością. Przez długie lata swego urzędowania zdołał już ich przyzwyczaić do tego, że mylił się niezmiernie rzadko, a już jeśli chodzi o rozpoznawanie czyjejs tożsamości - nie mylił się nigdy.

- Zajmijcie się no tymi - rozkazał, wskazując ruchem ręki na

związanych bandytów. - A pilnujcie ich jak oka w głowie - dodał, gdy zaczęli rozplątywać więzy. - Wolałbym stracić prawą rękę niż któregoś z tych gagatków.

- A więc mister... Clement - nazwisko to wymówił z wyraźnym naciskiem - przez pana dożyłem najpiękniejszego dnia w moim życiu. Przez... nieznanego... choć - dodał, zniżając głos niemal do szeptu - zanim jeszcze zobaczyłem „Złotą Rączkę” i „Tygrysa” przysięgłbym, że mi pan kogoś przypomina... kogoś, czyją fotografię oglądałem całkiem niedawno... Ale na widok mych dwóch starych przyjaciół, związanych przez pana jak owce, straciłem wszelką pamięć. Pan jest Clementem i pozostanie nim, dopóki będzie przebywał w moim okręgu... W innych, oczywiście, może być gorzej... - strzepnął znacząco palcami...

Przysunął się do Bandery tak blisko, że niemal dotykał go swoim ciałem.

- A to - przy tych słowach Bandera poczuł, jak szeryf wsuwa mu coś szeleszczącego do kieszeni spodni - niech będzie pańską nagrodą za wyniki... polowania. Dziękuję panu. - Schwycił rękę Bandery, zamykając ją w mocnym uścisku.

Bandera stał odrętwiały, niezdolny do wydobycia najłżejszego dźwięku ze ściśniętej kurczem krtani, Wszystko odbywało się z tak błyskawiczną szybkością. Nie był zdolny podążać myślą za biegiem wypadków. Wciąż jeszcze ze srebrnej gwiazdy szeryfa wyzierała nań groźna wizja ohydneho stryczka.

Minęła dłuższa chwila, zanim wreszcie zdołał zrozumieć: los dał mu niespodziewanie do ręki wielką szansę.

Szeryf nie chciał go poznać!



- Halo - zawołał, podchodząc ku nim sprężystym krokiem, Dean. -  
Może mi wreszcie zachcesz wytłumaczyć, co się tu takiego wyprawia?

Nie, tego wszystkiego Dean nie był w stanie zupełnie pojąć. Jeszcze przed kilkoma minutami przeżywał w myślach przykrą wizję aresztowania tego sympatycznego chłopaka pod zarzutem podwójnego morderstwa, a teraz szeryf ściska przyjaźnie rękę domniemanemu mordercy? I co znaczyła radość szeryfa na widok związanych kowbojów, których obdarzył jakimiś dziwacznymi przyzwiskami? A poza tym dlaczego w ogóle Bandera przytaszczył ich związanych?

- Tatku! - podbiegła do niego Ann. - Ci dwaj - wskazała ręką na opryszków, otoczonych przez ludzi szeryfa - napadli na mnie w lesie i chcieli... - urwała. Krwisty rumieniec upokorzenia i wstydu zalał ognistą łuną jej policzki. W oczach zalśniły łzy.

- Co - niemal wrzasnął Dean - odważyli się?...

- Tak... - Zawstydzona opuściła nisko głowę. - I gdyby nie mister Clement...

- Fiuuu - gwizdnął przeciągle szeryf - więc i to jeszcze? To jedno by już wystarczyło.

- Do czego? - zapytał szybko Dean, obrzucając szeryfa badawczym spojrzeniem.

- Nic... - mruknął obojętnie szeryf, wytrzymując spojrzenie - rozmyślałem sobie tylko głośno. Chciałem powiedzieć, że to jedno wystarczyłoby już do uznania mister Clementa za pożądany nabytek w naszej milej okolicy...

- To nie pierwszy raz mister Clement ocalił mi życie - wtrąciła Ann. - Dwa miesiące temu wyratował mnie z łap czarnego grizzli...

- No, proszę - zawołał szeryf - czyż nie mam racji?

Dean milczał przez chwilę, wpadając w głęboką zadumę. W jego głowie zaczęła świtać prawda.

- Mister Clement - odezwał się wreszcie, odwracając głowę w stronę, gdzie przedtem stał Bandera.

Umilkł zdumiony, Bandery nie było. Nie mógł go też nigdzie dojrzeć, mimo że bacznie rozglądał się po obszernym podwórzu.

- Tatku - Ann zawisła mu na szyi ojca, przytulając się mocno. - Jak ja ciebie bardzo kocham!

- Hm - chrząknął Dean, niezbyt rozentuzjasmowany tą manifestacją, głaszcząc pieszczotliwym ruchem puszyste włosy córki. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że uścisk i owo wyznanie miłosne nie były przeznaczone dla niego. Nigdy dotychczas nie zauważył u niej zbytnej skłonności do pieszczot.

Biedna mała - westchnął w duchu. To, co nadciągało z nieodpartą mocą, groziło w jej życiu wielkimi komplikacjami.

Bandera tymczasem, wymknąwszy się do lasu, zaszył się w największą gęstwinę i rozciągnięty wygodnie kurzył fajkę, obserwując przepływające wysoko ponad głową kłębiaste obłoki.

Pogrążony był w głębokich rozmyślaniach o najbliższej przyszłości.

- Tak - mruknął w pewnym momencie, nie zauważywszy, że fajka od dawna już wygasła i do ust, zamiast aromatycznego dymu, wdziera się przykry posmak popiołu - to nie jest takie proste...

Rzeczywiście, jego sytuacja nie przedstawiała się bynajmniej zbyt przejrzyście. Cóż z tego, że szeryf puścił go wolno, wynagradzając za ujęcie dwóch bandytów? To odsuwało jedynie w czasie widmo szubienicy,

ale przecież nie na zawsze. Nie mógł całej reszty życia spędzić na farmie Deana, tym bardziej zresztą teraz, gdy Ann przejrzała na pewno jego uczucia. To nie byłoby w porządku. Usuwać się jej sprzed oczu? Tak, ale to nie mogło trwać wiecznie. Kiedyś, prędzej czy później, da mu niewątpliwie poznać, co o nim myśli. A przebywać w jej pobliżu, wiedząc o pogardzie, jaką dlań żywi?

- Tfu - zakrztusił się nagle gryzącym sokiem tytoniowym, wypływającym z wygasłej fajki.

- Nie - westchnął, szperając po kieszeniach w poszukiwaniu kapciucha z tytoniem - to wszystko na nic... tak się jakoś sytuacja pokiełbała...

Palce jego natrafiły niespodziewanie w kieszeni spodni na jakiś obcy przedmiot. Zapomniał już w tej chwili o szczegółach rozmowy z szeryfem, toteż przyglądał się ze zdumieniem sporej, szarego koloru kopercie.

Co u licha? - obracał ją przez kilka sekund niezdecydowanie w palcach.

Aha - przypomniał sobie wreszcie - „nagroda” szeryfa.

Z koperty wyjął jakiś dokument opatrzony urzędową pieczęcią, pisany na maszynie i... swoją własną fotografię. Była wykonana zupełnie nieźle. Fotograf w Neavill nie mógł być uważany za partacza w swym fachu.

Pocziwy Winsney - pomyślał, przebiegając wzrokiem list gończy, dotyczący jego osoby. Rysopis podany w liście zdumiewał po prostu swą dokładnością. Właściwie fotografię należało uznać za zupełnie zbędną. Każdy posiadający choć odrobinę inteligencji bez najmniejszego trudu zdołałby niewątpliwie na podstawie opisu rozpoznać w Banderze

poszukiwanego mordercę.

Wzruszył z powątpiewaniem ramionami. Był niemal przekonany, że ta drobiazgowość opisu dotyczyła specjalnie jego osoby.

Ciekawym - zastanawiał się, wpatrzony w zdjęcie - dlaczego szeryfowi Carsleyowi tak bardzo zależy na tym, by mnie posłać na szubienicę?

Podarł skrzątknie list i fotografię na drobniutkie kawałeczki, wtykając strzępki w rozmaite miejsca pomiędzy mech.

Gdy skończył swą pracę, odetchnął z ulgą. Ten list był w każdym razie unieszkodliwiony na zawsze, ale któż mógł przewidzieć, ile takich samych Carsley rozesłał po całych Stanach?

I jeszcze to - przypomniał sobie dziwny wyraz oczu Deana, w chwili gdy podjeżdżał pod ganek. - Dean też na pewno już wie o wszystkim. Wyleje mnie na zbity łeb, ani chybi... - rozmyślał bezradnie.

W pobliskich krzakach coś nagle zaszeleściło.

Drgnął, wyrwany z zadumy, a jego palce bezwiednym ruchem objęły rękojeść colta.

- Ki diabeł znowu? - wpatrywał się w gęstwinę listowia, daremnie usiłując dojrzeć przyczynę hałasu.

- Halo, Clement! - zabrzmiał głos Lamneya i jego barczysta postać, przedarłszy się z trudem poprzez krzaki, stanęła przed nim.

- No? - burknął niezbyt uprzejmie Bandera, mocno niezadowolony z odkrycia swej kryjówki.

- Stary cię wzywa - oświadczył kowboj, siadając ciężko na trawie. - Uff - sapnął, ocierając pot, perlący się na czole, wielką kraciastą chusteczką wydobytą z przepastnej kieszeni bluzy - szukamy cię już

przeszło godzinę. Stary się piekli, a ciebie nigdzie nie można było znaleźć. Cała robota na farmie stanęła. Wszyscy cię poszukują po rozmaitych kątach. Stary zapowiedział, by wydobyć cię choćby spod ziemi. A sam wesz, jak to z nim jest, gdy go poniesie...

Pewno chce mi wymówić pracę - domyślił się w duchu Bandera, nie uczynił jednak żadnej uwagi na temat swych domysłów.

- Ano, trudno - powstał z trawy - skoro kazał, to idziemy... Szedł za Lamneyem jak na ścięcie. Znowu bezkresna tułaczka.

A tak się już zdążył przyzwyczaić do pracy na farmie. Nie przyznałby się za nic nawet sam przed sobą, że główną przyczyną tego przyzwyczajenia były szare oczy Ann.

- Trzymaj się, stary! - poklepał go po ramieniu kowboj, gdy dotarli już przed ganek. - Bo boss naprawdę się piekli.

Niezbyt przejęło go to ostrzeżenie. Co właściwie mógł go obchodzić gniew Deana? Najważniejsze było to, że musiał opuścić farmę, a na to nie miał żadnej rady.

Otworzył zupełnie pewnym ruchem drzwi do gabinetu Deana i... stanął zdumiony w progu.

Za potężnym cedrowym biurkiem siedział Dean, pykając w zamyśleniu fajkę, w głębokim zaś fotelu, stojącym przed biurkiem, dojrzał wtuloną postać Ann.

Czyżby chciała zażądać ode mnie rachunku za tamto? - pomyślał, czerwieniąc się ze wstydu. Stokroć wolałby już zawisnąć na szubienicy aniżeli znosić jej oskarżycielski wzrok.

- Pan mnie wzywał? - zapytał, zwracając się do Deana.

- Hm - chrząknął Dean, wypuszczając ustami potężne kłęby dymu -

to nie jest takie zupełnie ściśle. Właściwie to nie ja cię wzywałem, lecz zrobiła to Ann. Chce ci coś oświadczyć. Co, tego nie wiem. Nie chciała mi za żadne skarby powiedzieć bez ciebie.

Więc jednak - pomyślał boleśnie - na pewno chce oskarżyć mnie o... tamto.

Gdyby mógł uciec na koniec świata, uczyniłby to bez wahania, bez względu na to, co miałyby nań oczekiwać. Ale na ucieczkę było już za późno.

- Słucham panią - skłonił się głęboko, spuszczać oczy.

- Przede wszystkim - odezwała się Ann, a w głosie jej wbrew swym oczekiwaniom nie wyczuł gniewnej nuty - niech pan wejdzie. Stoi pan w samym progu, jakby chciał w każdej chwili uciec...

Łatwo jej mówić - westchnął w duchu. - Gdyby to było tylko możliwe...

Wszedł jednak posłusznie do gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Teraz już droga odwrotu została bezpowrotnie odcięta.

- Niech pan siada - wdzięcznym ruchem smagłego ramienia, wyłaniającego się z krótkiego rękawka domowej sukienki wskazała mu stojący obok siebie fotel.

Zapadł się ostrożnie w przepastny mebel. Na pewno takie właśnie uczucie musi mieć skazaniec siadający na krześle elektrycznym.

- No, więc - skinęła głową - teraz możemy wreszcie rozmawiać. Otóż - ciągnęła dźwięcznym głosem - chciałam panu co nieco przypomnieć.

Wtulił głowę głęboko w ramiona, jakby oczekując mającego nań spaść za chwilę ciosu.

Tak - rozmyślał wpatrzony w równe deski podłogi - teraz nastąpi to...

najstraszniejsze...

- Po pierwsze - podniosła kształtny palec - wyrwał mnie pan niedźwiedziowi z łap, ocalając mi życie...

- O - jęknął niemal - ja...

- Niech mi pan nie przerywa - wstrząsnęła energicznie głową, przy czym na czoło jej spadły puszyste kosmyki popielatych włosów - bo w ten sposób nigdy nie skończę... a to, co mam do powiedzenia, nie jest takie łatwe...

Bandera zamilkł zdumiony. Wstęp był zupełnie niespodziewany. Czyżby ze względu na wyratowanie jej przed grizzlim miała mu zamiar wybaczyć jego podłość?

- Po drugie - podniosła następny palec - ocalił mnie pan przed tymi dwoma... tym razem chodziło więcej niż o życie...

Odważył się spojrzeć ukradkiem w jej twarz. Nie dostrzegł w niej wyrazu pogardy. Coraz mniej rozumiał, po co go wezwano.

- Wobec tego - zawahała się przez chwilę, po czym zaczerpnęła tchu - wobec tego postanowiłam wyjść za pana - wypaliła jednym tchem, po czym twarz jej spłonęła gorącym rumieńcem.

- Co? - zerwał się gwałtownie z fotela, patrząc na nią osłupiałym wzrokiem - co pani... powiedziała? - wyjąkał.

- No tak - potwierdziła, patrząc mu prosto w oczy - ponieważ pan mi się oświadczył... zgadzam się wyjść za pana za męża...

- Ja? - miał wrażenie, że jest zupełnie nieprzytomny - ja bym się odważył?...

- I nawet bardzo się pan odważył - zaśmiała się cicho. - Ja... naprawdę nie byłam tak długo zemdlona, jak pan miał wrażenie...

- O - złapał się oburącz za głowę, jakby chciał ją ocalić przed rozpadnięciem na kawałki pod naporem kłębiących się myśli - pani mi na pewno nigdy nie wybaczy tej podłości... - zawołał z rozpaczą. W tej chwili już nie pamiętał o jej poprzednich słowach.

- Nie - szepnęła cicho, podchodząc ku niemu. - Nie mam ci co przebaczać, Jacku. Wolno ci mnie całować, bo mnie kochasz... i ja ciebie kocham...

Cofnął się przed nią jak przed upiorem. - Ty... pani... mnie kocha... to niemożliwe...

- A jednak - westchnęła radośnie - to prawda. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

Nie. W tej chwili nie był zdolny do rozważań. Wiedział, że nie ma prawa do jej miłości, ale to było silniejsze. Kochał ją tak bardzo. Czyż mógł się więc powstrzymać, mając tak blisko jej usta?

Wpił się w jej rozchylone wargi.

Cały świat przestał dla niego istnieć. Nic go nie obchodziło. Carsley, Neavill, szubienica... nawet siedzący nieruchomo o parę kroków groźny Dean. Ta chwila, ta jedna chwila należała do niego, a potem? Potem niech się dzieje, co chce. Mogą go powiesić, Dean może go zastrzelić... wszystko przyjąłby z radością. Tę jedną chwilę warto było okupić najstraszniejszymi mękami.

- Ann... moja maleńka - szeptał, obsypując gorącymi pocałunkami jej twarz... - tak bardzo cię kocham... tak bardzo...

W tym samym niemal momencie szarpnął się gwałtownie w tył, odsuwając się od niej.

- Nie - zawołał z rozpaczą. - Ja nie mam prawa do... pani... proszę mi



wybaczyć... byłem szalony... ale...

- Dlaczego? - spojrzała nań promiennym wzrokiem. - Masz do mnie, Jacku, prawo. Czyż istnieje na świecie jakikolwiek mężczyzna, który by miał do ukochanej kobiety więcej prawa niż ty do mnie? Moje życie... cześć... wszystko należy do ciebie... bo nie istniałoby już, gdyby nie ty... Nawet gdybym cię nie kochała, miałbyś do mnie prawo, a przecież ja cię tak okropnie kocham...

- Nie - zasłonił rękoma twarz - ty mnie nie możesz kochać... wszystko we mnie jest kłamstwem... poza jedną jedyną miłością ku tobie - dodał szeptem.

Teraz dopiero powstał ze swego fotela Dean, który dotychczas obserwował rozgrywającą się przed swymi oczyma scenę z niewzruszonym spokojem. Nie przyszło to zresztą dla niego niespodzianie. Od dawna już się domyślał, że musi kiedyś nastąpić.

- Uspokój się, chłopcze - powiedział poważnym głosem, kładąc rękę na ramieniu Bandery. - Ann ma rację. Ty masz do niej prawo.

Jego siwa głowa schyliła się jak gdyby przygnieciona ciężkim brzemieniem. To nie była w żadnym razie partia, o jakiej by marzył dla swej jedynaczki.

Trwało to jednak moment nie dłuższy od mgnienia oka. Ann go kochała. To miało decydujące znaczenie.

-Ależ... przecież moje nazwisko...

- Wiem - zawołała żywo - od dawna o tym wiem. Co mnie jednak obchodzi twoje nazwisko? Ty mnie tylko obchodzisz - dodała gorąco.

- To jeszcze nie wszystko... ja...

- Dostyc - przerwał mu stanowczym głosem Dean. - O tamtym ja

wiem i to mi wystarcza. Rozmawiałem o tej całej sprawie z Winsneyem, zanim jeszcze wróciliście z lasu. Wcale nie jestem przekonany o twojej winie. Raczej wierzę w twoją niewinność...

- Dziękuję - głos Bandery wyrywał się ze spazmatycznym jękiem z ust - dziękuję, że pan mi wierzy, ale wszyscy inni?

- Obserwowałem cię przez cały czas twojego pobytu na farmie - ciągnął dalej Dean - i nic ci nie mogłem zarzucić. To już bardzo dużo. Ja mam bardzo bystre oko, a muszę przyznać, że chciałem coś... wynaleźć... powinienesz mnie zrozumieć... chodziło o moją córkę. Niezależnie od tego, cokolwiek wlecze się za tobą z dawnych czasów, widzę, że teraz jesteś porządnym, uczciwym człowiekiem. To mówi ci ojciec. Oddaję ci Ann z całą ufnością. Musisz jej dać szczęście...

Wsunął gorące palce Ann w dłoń Bandery.

- Oddaję ci ją. Bądźcie szczęśliwi.

Wyszedł sprężystym krokiem z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Gdy go już nie mogli dojrzeć, znowu opuścił z rezygnacją głowę. Jego krok stracił całą swą prężność. Wydawać by się mogło, jakby w tej chwili postarzał się o dobre dziesięć lat. Miał głęboko zakorzenione poczucie sprawiedliwości i nie mógł odmówić bezwzględnej słuszności temu, co się stało. Tak, to było sprawiedliwe. Ann należała do tego przybłądy, ale...

- Biedna, mała Ann - westchnął ciężko, wlokąc się ku drzwiom wyjściowym. Życie u boku człowieka bez nazwiska, nad którym zawisło karzące ramię prawa, nie było życiem, jakie wymarzył dla swej ukochanej jedynaczki.

Tej nocy marzenie senne Ann stanowiło jeden hymn pochwalny na cześć miłości. Jacek przesłonił jej swą osobą cały świat. Każda jej

najdrobniejsza myśl była poświęcona jemu.

Zerwała się, obudzona pierwszymi promieniami słońca. Za kilka chwil miała przecież ujrzeć swego chłopaka.

Gdy kończyła się ubierać, przez uchylone drzwi wsunęła się brunatna ręka peonki, trzymająca białą kopertę.

List? List do niej? Może od niego? - rozrywała pośpiesznie kopertę.

Tak, był rzeczywiście od niego.

Litery rozplływały się przed oczyma poprzez napływające pod powieki piekące łzy.

*Za bardzo Cię kocham, Maleńka, bym miał skazywać na życie przy boku człowieka, który nie ma nawet własnego nazwiska. Odchodzę. Wrócę dopiero wtedy, gdy będę mógł iść przez życie z podniesionym czołem. Jeżeli nie wrócę... to znaczy, że już nie żyję. Pamiętaj o tym, że miłość ku Tobie będzie mi wypełniała życie do ostatniego tchnienia. Kocham cię, Ann.*

*Jack*

To było wszystko. Odszedł, boją kochał. Może już nie wróci nigdy? Padła na kolana przed obrazem Madonny, wiszącym w kącie jej panińskiego pokoju.

- Spraw, by mu się udało. Spraw, by wrócił. Kocham go. Tak bardzo go kocham. Gdyby było trzeba, poświęciłabym dla niego z radością życie. Niech wróci! - modliła się żarliwie.

Po jej policzkach nieprzerwanym strumieniem spływały łzy. Gdy w długi czas potem zeszła na dół, ojciec przytulił ją mocno do piersi, gładząc

włosy.

- Serce twoje wybrało dobrze, córeczko - głos Deana brzmiał powagą  
- pokochałaś prawdziwego gentlemana.

## **WŁAŚCIWY SZLAK**

Doktor Meadow był niezadowolony. Bardzo niezadowolony. Właściwie swój wybór na sędziego pokoju traktował jako pewne osiągnięcie mające zaspokoić jego ambicje polityczne. Ale urzędować? Nie, to mu wcale nie odpowiadało. Doktor Meadow był przede wszystkim lekarzem, i to do tego dobrym lekarzem. Jedynym specjalistą chirurgiem w promieniu kilkuset mil. Nie znaczy to oczywiście, by w okolicy nie mieszkali również inni lekarze. Mieszkali, owszem. Ale tacy od wszystkich specjalności - „omnibusy”. Cóż więc dziwnego, że doktor Meadow miał pełne ręce roboty? Choć Neavill było sobie dosyć spokojnym miasteczkiem, nie obeszło się oczywiście bez tego, by od czasu do czasu nie zaszła potrzeba łątania większej lub mniejszej dziury w ludzkim ciele. W okolicy to samo. I wszyscy pacjenci chcieli się dostać od razu w ręce prawdziwego chirurga, a nie jakiegoś tam „konowala”. W tych warunkach doktorowi Meadowowi nie starczało już czasu na pracę sędziego.

Ale na szczęście miał przecież Carsleya. Dla Carsleya bycie szeryfem stanowiło zajęcie główne i jedyne, a poza tym ulubione. Toteż szeryf był prawą ręką sędziego, był właściwie... sam prawie sędzią. Bo niemal wszystkie dokumenty podpisywane przez Meadowa były redagowane przez Carsleya. Doktor podpisywał bez najmniejszego

sprzeciwu dokumenty podsunięte przez szeryfa, ale jeszcze wczytywać się w ich treść? Uważałby to niewątpliwie za przesadę. Miał najzupełniejsze zaufanie do Carsleya, pacjenci zaś potrzebowali doktora Meadowa. W ten sposób urząd sędziego pokoju nie stwarzał zbytnich przeszkód dla jego pracy jako lekarza.

Urzędowanie szło normalnym trybem. Tak było dotychczas. Teraz od kilku miesięcy wszystko się nagle zmieniło. Carsley nie chciał już zastępować doktora, ba, nawet zaczął cokolwiek zaniedbywać sprawy należące do niego samego. Po prostu stracił głowę. To już był nie ten sam człowiek.

Doktor Meadow nie bardzo mógł zrozumieć, o co mu chodziło. Ostatecznie cóż to takiego strasznego, że Bandera uciekł z więzienia? To się przecież zdarzało tu i tam i nikt z tego powodu nie rozpaczał. Trudno. Więzienie na dalekich kresach to nie Sing-Sing, a ludzie uciekali nawet ze stołecznych więzień.

Carsley od kilku tygodni nie mógł o niczym innym myśleć jak tylko o Banderze. O Harringtonie nawet nie wspomniał ani jednym, słowem, a w końcu Harrington przedstawiał swoją osobą o wiele bardziej znaną „rybę” aniżeli morderca z Kanionu.

Bandera i Bandera. Doktorowi po prostu głowa puchła od dźwięku tego nazwiska ustawicznie powtarzanego przez szeryfa. Miał już tego wszystkiego dosyć. Cierpiała na tym jego praktyka lekarska. Kiedyż miał wreszcie doglądać swych pacjentów, jeżeli cały czas musiał poświęcać tym przeklętym dokumentom, które nie tylko trzeba było podpisywać, ale jeszcze i komponować?

Po prostu objaw jakiegoś bzika - rozmyślał o Carsleyu, daremnie

starając się zrozumieć treść czytanego właśnie w tej chwili opisu mocno skomplikowanej operacji zszywania woreczka sercowego. A artykuł doktora Hearsta w „Przeglądzie Lekarskim” zawierał treść bardzo ciekawą. I pouczającą.

Wpatrywał się tępo w odbitkę zdjęcia rentgenowskiego.

Nagle drgnął. Z sąsiedniego, pogrążonego w ciemnościach pokoju doszedł go jakiś podejrzany szmer.

Nasłuchiwał uważnie, wstrzymując oddech. Tak, nie mylił się. Podejrzany odgłos powtórzył się znowu.

Tam do licha - pomyślał zdumiony, sięgając ręką w stronę szufladki biurka, gdzie leżał rewolwer.

Rękę jednak zatrzymał wpół drogi. Musiał ją zatrzymać. Z otwartych drzwi ciemnego pokoju patrzyła nań całkiem niedwuznacznie lufa wielkokalibrowego colta, a błyszczące w pewnej odległości ponad tą lufą oczy miały wyraz całkiem zdecydowany.

Zastygł w bezruchu z wyciągniętą w stronę biurka ręką. Ale zaraz w następnej chwili podniósł ją w towarzystwie drugiej wysoko ponad głowę. Trudno. Nie było to przyjemne, jednak w każdym razie lepsze od poczęstunku w postaci opancerzonego pocisku rewolwerowego. W tych stronach zawsze miał rację ten, kto pierwszy zdołał wyciągnąć broń. Zresztą nie tylko w tych stronach.

Doktor był człowiekiem bardzo odważnym i widział już w swym życiu niejedno. Toteż bardzo prędko ochłonął z wrażenia wywołanego niespodziewanym widokiem otworu lufy rewolwerowej, wycelowanej prosto w jego głowę.

Wpatrywał się bystro w twarz szarzejącą w półmroku panującym w

bawialni.

- Ooo - mruknął gniewnie - właśnie w tej chwili o was myślałem! Do gabinetu wszedł, nie opuszczając rewolweru, Jacek Bandera. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Rewolwer mam w biurku - oświadczył wreszcie doktor - a w kościach reumatyzm. Może wobec tego pozwolicie mi opuścić ręce? Innej broni nie ma w całym domu.

Bandera z trudem powstrzymał cisnący się na wargi uśmiech. Przebieg tej sceny wyobrażał sobie o wiele bardziej dramatycznie. Nie znał zresztą dotychczas doktora Meadowa. Spojrzał mu badawczo w oczy. W siwych oczach na pewno nie było zdrady.

- Proszę - kiwnął przyzwalająco głową.

Doktor natychmiast skorzystał z tego zezwolenia, opuszczając z westchnieniem ulgi ramiona. Zaczynały mu już drętwieć. To, co powiedział o swym reumatyzmie nie było bynajmniej przesadą. Okolica Neavill odznaczała się paskudnie wilgotnym klimatem. Zbyt wilgotnym, by trzydzieści lat spędzonych w niej przez doktora mogło przejść bezkarnie dla jego organizmu.

Oparł ręce na poręczach fotela.

Bandera wciąż jeszcze nie opuszczał rewolweru, aczkolwiek wobec olimpijskiego spokoju lekarza zaczynał się czuć trochę głupio.

Jak w kiepskim melodramacie - pomyślał nieco zawstydzony, patrząc spod oka na oksydowaną stal lufy.

- Tylko... - zaczął, starając się nadać swemu głosowi groźne brzmienie.

- Et - strzepnął palcami doktor. - Twoje uprzedzenia są najzupełniej

zbędne. Proszę mi wierzyć, że w tym domu nie ma nic dostatecznie cennego, bym bez żadnych szans powodzenia miał ryzykować życie. Odwagi mi nie brak, ale rozsądku także. Nie mam zamiaru ginąć dlajakichś kilkuset dolarów znajdujących się w biurku. O to ci chodzi? - spytał, rzucając na Bandere spojrzenie z ukosa.

Bandera spłonął krwistym rumieńcem. Do tego wszystkiego jeszcze uważają go za zawodowego bandytę!

- Nie - zaprzeczył żywo, opuszczając nieco niżej rewolwer. - Nie przyszedłem tu po pańskie pieniądze... - urwał niepewnie. To nie było takie łatwe do powiedzenia.

- A więc? - w oczach lekarza zamigotało zdumienie. Był pewny, że wizyta ma na celu rabunek.

- Chciałem z panem porozmawiać... - ton pasował raczej do petenta aniżeli do kogoś trzymającego rozmówcę na muszce rewolweru.

Doktor Meadow miał bardzo czujne oko. Tego tonu w każdym razie po swoim niezwykłym gościu się nie spodziewał.

Spojrzał na Bandere z rosnącym z każdą chwilą zdumieniem.

- Porozmawiać? A to - wskazał niedbałym kiwnięciem głowy na rewolwer - ma służyć jako argument w tej rozmowie?

- Nie... - westchnął Bandera - to nie o to chodzi. Ale sam pan doktor rozumie. W tych warunkach, jakie się wytworzyły, nie mogłem inaczej.

Z kolei doktor zajrzał mu wnikliwie w oczy.

- Hm - mruknął z rezygnacją - teraz dopiero nic z tego wszystkiego nie rozumiem. A przecież początkowo sytuacja wydawała się tak prosta.

Bandera milczał, układając sobie w myśli formę, w jakiej miał powiedzieć to, z czym przyszedł.



- Swoją drogą - odezwał się znowu doktor - trochę mnie dziwi, że tu przyszedłeś... Gdyby cię tak spotkał Carsley... Jest naprawdę stęskniony twojego widoku...

- Właśnie, panie doktorze - zawołał gorąco Bandera - o to mi chodzi. Nie mogę zrozumieć, dlaczego szeryf Carsley tak bardzo mnie prześladowa, chcąc za wszelką cenę widzieć mnie na szubienicy?

Meadow poruszył się niespokojnie na fotelu. Ten Bandera utrafił w sedno. Przecież myśl o specjalnym zainteresowaniu Carsleya osobą Bandery nie dawała doktorowi spokoju od kilku miesięcy.

- He? - łypnął oczyma w stronę Bandery. - Dlaczego chce cię widzieć na szubienicy? Przyłapał cię wszak na gorącym uczynku podwójnego morderstwa rabunkowego, to co ma robić? Postępuje zgodnie ze swoim obowiązkiem...

Bandera szarpnął się, jak gdyby ktoś go dźgnął rozpalonym żelazem.

- To nieprawda! - zawołał wzburzony. - Nie chciałem rabować! A poza tym nie zabiłem ich obu. Zastrzeliłem tylko jednego, i to w obronie życia. O mały włos mnie nie zamordował. Gdyby moja kula go nie trafiła, na pewno bym już nie żył...

Doktor słuchał uważnie. W jego głosie wyczuł nutę prawdy.

- No - mruknął w zamyśleniu, drapiąc się machinalnym ruchem w podbródek - a jednak fakty świadczą przecież przeciwko tobie...

- Nie - przerwał mu wpół zdania Bandera - fakty właśnie przemawiają za mną. Po to właśnie tu przybyłem, narażając się ma niebezpieczeństwo ujęcia przez Carsleya, aby te fakty wydobyć na światło dzienne. Niech pan mnie wysłucha...

Zaczął opowiadać. Powoli, wyraźnie odmalowywał przed oczyma

doktora poszczególne fakty, układające się w tragiczny splot, który o mało nie zaprowadził go do stóp szubienicy.

Doktor nie przerywał ani jednym słowem, śledząc myślą perypetie gościa aż do momentu, gdy list starego Bandery zawitał niespodziewanie do dalekiej Warszawy.

Jakieś, z początku jeszcze nieuchwytnie wspomnienie zaczęło mu świtać w głowie. W miarę rozwoju opowiadania myśl krystalizowała się coraz bardziej. Bandera i Carsley... Bandera i Carsley - powtarzał sobie w duchu. Słyszał przecież już kiedyś, bardzo dawno takie zestawienie. Nagle drgnął cały.

Teraz już sobie przypomniał. To była głośna sprawa. Zaprzętała wszystkie umysły w okolicy przez długi czas. Bodaj czy nawet nie przez całe kilkanaście miesięcy? Mówiono o niej powszechnie. Zastanawiano się wtedy poważnie nad rolą Carsleya, która w tej całej historii wyglądała ponoć mocno niewyraźnie. A sprawa nie należała bynajmniej do błahych. Kilka trupów, wśród nich John Bandera, jego syn i dosłownie wszyscy zamieszkujący farmę Banderów, po prostu nie pozostał nikt żywy, by móc opowiedzieć, co się właściwie stało... Miano nawet, zdaje się, wszcząć dochodzenie przeciwko Carsleyowi. Ówczesny szeryf Neavill, Joe Sanders, zaklinał się, że wsadzi Carsleya za kratki. Wreszcie wszystko ucichło. Zapomniano. Nic zresztą dziwnego, działo się to bowiem dziewiętnaście czy też nawet dwadzieścia lat temu. Raczej nawet dwadzieścia, bo w tym samym czasie Stany przystąpiły do wojny światowej. W wojennej wrzawie utonąła sprawa zamordowania Bandery. Utonęła jak i wiele innych spraw. Nikt nie miał wtedy głowy, by zajmować się takimi drobiazgami. A teraz... Teraz przecież posiadłość Bandery była

już od dawna własnością Carsleya! Zakreślił się zrećnie w Urzędzie Gubernatorskim i dostał farmę. Wtedy jeszcze takie sprawy załatwiano na kresach od ręki. Nie odnaleziono spadkobierców Bandery i tyle...

- Ba - mruknął niewyraźnie pod nosem, jakby odpowiadając swym myślom - to nie jest... - nie mógł właściwie znaleźć odpowiedniego określenia dla sytuacji. Przecież w takich warunkach całe zachowanie Carsleya miało zdecydowanie... paskudny posmak. Więc dlatego tak parł do jak najszybszego zakończenia sprawy Bandery? Dlatego tak rozpacział, gdy Bandera uciekł z więzienia?... Nie, to wszystko nie mogło się jakoś pomieścić w głowie.

Czuł w gardle niesmak, jakby połknął niespodziewanie coś wstrętnego.

Sięgnął powolnym, ociężałym ruchem do niklowego pudełka, wydobywając pękate cygaro. Obciął starannie jego koniec małą, srebrną gilotynką, zawieszoną na dewizce od zegarka, i zaciągnął się potężnym haustem wonnego dymu. Ale nawet cygaro mu nie smakowało. Jeżeli to wszystko, co mu Bandera opowiada, jest prawdą, to przecież jest on spadkobiercą Johna Bandery, a wtedy...

- Cóż - spojrzał spod oka na Bandere - nie masz przecież dokumentów, które by udowodniły prawdę twoich słów. Na przykład ten list Johna Bandery?

- Miałem... miałem wszystkie dokumenty - oczy Bandery żarzyły się jak węgle - ale Carsley zabrał mi je w czasie aresztowania i pomimo upomnień nie chciał zwrócić. Zupełnie nie mogę zrozumieć postępowania szeryfa i dlatego tu przybyłem, aby co nieco rozwikłać swoją sprawę...

No - komentował w duchu słowa lekarz - zdaje mi się, że ja za

to zaczynam rozumieć. - Nie napomknął jednak ani słowem o swych domysłach. Musiał być zupełnie pewny, aby coś powiedzieć. Sprawa pachniała wielkim skandalem. Przyzwyczyił się zresztą od tak bardzo dawna darzyć zupełnym zaufaniem swego szeryfa. Wszystko to zbyt nagle na niego spadło, aby mógł się od razu zdecydować, jak postąpić. Sytuacja nie była łatwa. To pewne.

Na rewolwer w rękę nieproszonego gościa już od kilku minut przestał zupełnie zwracać uwagę. Miał teraz o wiele poważniejsze sprawy do rozważania aniżeli zajmowanie się takimi drobiazgami.

Bandera zaś, któremu rewolwer zaczął ciążyć, z początku opuścił go lufą ku ziemi, a następnie zupełnie bezmyślnym ruchem wsunął do pochwy. Nie zastanawiał się zbyt nad tym. To był zgoła niepotrzebny przedmiot przy ich rozmowę.

- Tak - bąknął Meadow po chwili głębokiego namysłu, otaczając się nieprzeniknionymi kłębamii dymu - i co masz zamiar dalej począć z całą tą historią?

- Chcę wreszcie wyjaśnić sprawę morderstwa w Kanionie Słonej Rzeki - zawołał gorąco Bandera - chcę odzyskać miano uczciwego człowieka i poza tym... objąć dziedzictwo po stryju...

Doktor zabębnił palcami po blacie biurka.

- Jeżeli jest tak, jak mówisz, to masz do tego wszystkiego słuszne prawo... - zaczął niepewnie. - Ale... - zawahał się przez kilka sekund, zanim wypowiedział następne słowa - ale musisz też zrozumieć i moją sytuację! To wszystko, co mi opowiedziałeś, jest najzupełniej gołosłowne... Nie jesteś w posiadaniu żadnego dowodu na poparcie prawdziwości swych słów. Gdym się pytał o twoje dokumenty,

oświadczyłeś, że zabrał je Carsley i nie chce oddać. Nie mówię, by twoje słowa nie wzbudziły we mnie pewnej wiary... Jednak gdyby tak było, jak mówisz, nie wyobrażasz sobie chyba, aby Carsley, mając jakieś sobie tylko wiadome powody, żeby was zgnębić, zechciał te dokumenty oddać. W każdym razie jest on urzędującym szeryfem, a ty... zbiegłym z więzienia oskarżonym, poszukiwanym listem gończym. Jakże więc mogę wybierać pomiędzy twoim opowiadaniem a tym, w jaki sposób on mi tę całą sprawę przedstawił? - w głosie doktora brzmiała wyraźna nuta usprawiedliwienia się.

Bandera opuścił ponuro głowę na piersi.

- Ja to wszystko rozumiem - powiedział cichym, bezbarwnym głosem - i właśnie dlatego, że nie mam żadnych szans na ocalenie w normalnym śledztwie, nie chcę się oddać w ręce wymiaru sprawiedliwości, aczkolwiek w każdym innym wypadku niewątpliwie bym to uczynił... Pragnę na własną rękę przeprowadzić śledztwo i dowieść, że jestem niewinny..

Meadow podniósł głowę, przyglądając się Banderze z zaciekawieniem, jakby miał przed sobą jakiś niezwykły okaz.

- Ty? Ty chcesz na własną rękę prowadzić śledztwo? A znacie się choć cokolwiek na tym?

- Tak - kiwnął głową Bandera - w swej ojczyźnie ukończyłem studia prawnicze...

- Ano... skoro tak... - Doktor znowu popadł w głęboką zadumę. Nie zauważył nawet, jak uformowany na końcu cygara stożek popiołu spadł mu na ubranie, obsypując je warstwą szarego pyłu. A był to zgoła niezwykły objaw, doktor Meadow bowiem odznaczał się wprost

pedantyczną dbałością o czystość swego stroju.

- A... a w jaki sposób ja ci w tym mogę pomóc? - zadając to pytanie, wpatrzył się w jakiś niewidoczny punkt na przeciwległej ścianie. Bodaj po raz pierwszy w swym życiu unikał wyraźnie patrzenia w oczy rozmówcy. Ale może też po raz pierwszy w życiu znalazł się w tak dziwacznej sytuacji. W głowie aż huczało mu od kłębowiska poplątanych chaotycznie myśli. - Żeby Carsley okazał się?...

- Bardzo mi pan może pomóc, doktorze - ożywił się Bandera. - Przede wszystkim chciałem otrzymać od pana kule wyjęte z mojej rany i z ran zabitych w kanionie. O ile wiem, nie odegrały one żadnej roli w dochodzeniu... Pan przecież robił sekcję?

- Ano... robiłem - potwierdził. - Kule możesz otrzymać... nam one są niepotrzebne... Otworzył szufladę biurka, szperając w niej przez dłuższą chwilę. Popchnął zniecierpliwionym ruchem ręki wielkokalibrowy pistolet brownig, który znalazł się na drodze jego poszukiwań. Ani mu nawet przez myśl nie przeszło, że pistolet jest naładowany i wystarczyłoby ująć za rękojeść... Tamten przecież by nie zdążył wydobyć swego z pochwy...

Bandera zresztą też nie pomyślał o tej niebezpiecznej ewentualności, przeglądając się obojętnie, jak ręka doktora dotyka stali pistoletu.

- Oto są. - Doktor wyciągnął wreszcie spomiędzy rozmaitych papierów, wypełniających szufladę trzy małe, opatrzone niewyraźnymi napisami pakieciki i położył je na biurku.

Bandera odetchnął z ulgą. Obawiał się, czy kule nie zostały pomieszane. Gdyby tak się stało, runąłby cały jego, mozolnie przemyślany, plan obrony. A, jak mu się zdawało, taki sposób przechowywania dowodów rzeczowych był tu najzupełniej możliwy.

Zdołał się już coś niecoś zorientować w sposobach prowadzenia śledztwa na kresach Stanów.

- Może pan doktor zechce zalakować pakiety, opatrując je swoją pieczęcią...

- Lakować? - Meadow był wyraźnie zdziwiony tym żądaniem. - Potrzebne ci to?...

- Bardzo.

- Niech i tak będzie. - Nie bardzo się orientował, o co chodziło, ale ostatecznie żądanie nie przekraczało granic możliwości.

Po kilku chwilach lakowanie było już skończone. Podsunął pakiety Banderze.

- Jesteś zadowolony?

- Dziękuję. - Bandera skwapliwie schował pakiety do bocznej kieszeni bluzy. - Potrzebne są mi jeszcze pistolety: mój, oraz należące do zabitych w kanionie...

- O - doktor wzruszył bezradnie ramionami. - Z tym to już będzie gorzej. Nie mam pistoletów. Trzyma je u siebie Carsley... więc... tego...

Ktoś, kto by słuchał tych słów, nie widząc mówiącego, nigdy by nie uwierzył, że wypowiedział je doktor Meadow. Do tego stopnia brzmiały niepewnie. A niepewność przecież nie leżała nigdy w jego charakterze.

- Trudno. - Bandera podniósł się z krzesła, starannie zapinając klapę kieszonki, do której uprzednio schował kule.

Meadow spojrzał nań badawczo.

- Mam wrażenie, że...

- Nie - uśmiechnął się Bandera - nie mam najmniejszego zamiaru zamordować Carsleya. Wcale mi się nie uśmiecha stryczek, a przecież

wtedy nie miałbym już nic na swoje usprawiedliwienie. Ale rewolwery pomimo to muszę zdobyć. Na nich bowiem i na tych kulach - dotknął palcem kieszonki - zbudowany jest cały plan mojej obrony.

Doktor omal nie uścisnął mu ręki na pożegnanie. Powstrzymał się jednak w ostatniej chwili.

W końcu to tylko zbiegły więzień - patrzył z zadumą na drzwi, za którymi zniknął Bandera - a ja powinienem go ująć i zamknąć znowu w więzieniu... Tak, powinienem - starał się bezskutecznie wzbudzić w sobie energię do natychmiastowego czynu.

Przede wszystkim zaś należało uprzedzić Carsleya o spodziewanej wizycie Bandery.

Sięgnął ręką po słuchawkę telefoniczną, nie podniósł jej jednak z widełek.

- Cóż u licha - mruknął gniewnie. - Jestem sędzią i to jest moim obowiązkiem...

Mimo to nie uprzedził Carsleya. Bo oprócz tego, że był sędzią, był również człowiekiem, a głos przeczcucia mówił mu z nieprzepartą siłą, że tym, któremu w tym wypadku należy wierzyć, nie jest Carsley.

Bandera tymczasem, kryjąc się w mroku zalegającym gęsto ulice Neavill, przemknął się ukradkiem w stronę domu Carsleya.

Podchodząc do ciemnej masy budynku otoczonego dużym ogrodem, starannie sprawdził działanie sprężyn kurka i bębena swego rewolweru. Nie miał zamiaru go używać, ale musiał być przygotowany na wszystko. Nie spodziewał się ani przez chwilę, by spotkanie z Carsleyem miało podobny przebieg jak rozmowa z doktorem. Nie. To nie będzie przyjacielska pogawędka, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.



Ogród Carsleya ogrodzony był ze wszystkich stron gęstą siatką z drutu kolczastego. Furtka zamknięta na solidny zamek.

Bandera obszedłszy dookoła ogrodzenie zamyślił się chwilę. Kolczasta przeszkoda wznosiła się zbyt wysoko, by można było ją przeskoczyć. Ale to przecież nie mogło go powstrzymać przed dostaniem się do środka...

Spojrzał z rezygnacją na groźnie sterczące ostrza stalowych kolców i wdziawszy skórzane rękawice, zaczął się wspinać na jeden ze słupów, podtrzymujących siatkę. Pomimo ostrożności czuł, jak kolce rozdzierają mu ubranie, raniąc boleśnie ciało.

Po kilkunastu sekundach znalazł się wreszcie na wierzchołku ogrodzenia i zeskoczył lekko na drugą stronę, wpadając w jakieś gęste listowie, wilgotne od nocnej rosy.

Przez chwilę trwał nieruchomo, wsłuchując się w ciemności nocy. Solidne ogrodzenie i potężne zamki nakazywały mieć się na baczności. Ogród mógł kryć w sobie rozmaite groźne niespodzianki dla nieproszonych gości.

Uspokojony ciszą, chciał już wyruszyć w dalszą wędrówkę, gdy wtem przypadł ku ziemi i ukrył się w gęstwinie trawy.

W ciemności coś się poruszało, zbliżając się ku niemu.

Zmienił się w słuch.

Co to mogło być? Coś nadchodziło z mroku. Lekko dosłyszalne szuranie liści wyraźnie rozlegało się coraz bliżej.

Wydobył ostrożnym ruchem nóż tkwiący w pochwie, zawieszony u pasa. To w każdym razie nie podnosiło zbyt dużego alarmu. Z trudem zmusił się do ujęcia drewnianej rękojeści. Pomimo wszystko czuł niemal

nieprzewyciężony wstręt na myśl o posługiwaniu się tego rodzaju bronią.

Jeżeli to miałyby być człowiek?

Ale nie. Miękkie, skradające się kroki były zbyt lekkie jak na człowieka. To nie mógł być człowiek. Więc co? Jakież nieznane niebezpieczeństwo krył w sobie mrok zalegający ogród?

Ściskając kurczowo rękojeść noża, wsłuchiwał się z napięciem.

Miażdżone czymś liście zaszeleściły tuż przed nim. Zabłyśły zielonkawo fosforyzującym blaskiem czyjeś wpatrzone w niego oczy.

Wilk?

Nie miał jednak czasu na domysły. Wydłużony, brunatny kształt wyprysnął z krzaków, rzucając się na niego z impetem.

Przez mgnienie oka słyszał groźny, niski warkot, po czym szarzejące w ciemnościach zęby zawisły tuż nad jego gardłem.

Całym wysiłkiem mięśni odpychał od siebie pysk zwierzęcia. Było jednak bardzo silne. Silniejsze, aniżeliby się tego mógł spodziewać. Ostre pazury rozrywały mu boleśnie ciało. W pewnym momencie poczuł, jak długie zęby wgryzają mu się w ramię. Słabł z każdą chwilą. Zwierzę brało wyraźnie nad nim górę. Coraz trudniej mu było odpychać od gardła potężne, kłapiące szczęki. Czuł, że jeszcze kilka chwil, a będzie już po nim. Zebrał w sobie wszystkie siły i błyskawicznym szarpnięciem zdołał wyswobodzić prawą rękę. Pchnął gwałtownym ciosem ostrze noża w wilgotną, kosmatą sierść. Ciepłe, gęste bryzgi prysnęły mu na twarz. Cofnął rękę, i znów zadał cios.

Impet ataków osłabł, jednak zwierzę wciąż jeszcze nie było pokonane. Ostre pazury nie przestawały szarpać ciała Bandery. Dźgnął jeszcze kilka razy. Krew zwierzęcia zalewała go teraz już strumieniem.

Wreszcie zwierzę plasnęło ciężko na trawę. Zanurzył jeszcze raz nóż aż po rękojeść.

Krótki, zduszony jęk, kilka chwil konwulsyjnego szurania pazurów po trawie i wszystko ucichło. Brunatne ciało napastnika znieruchomiało, tworząc na jaśniejszym tle trawy bezwładną plamę.

Przeczekał jeszcze kilka sekund z podniesionym w górę ramieniem, gotów do wymierzenia, o ile by zaszła potrzeba, ciosu trzymanym w ręku nożem. Zwierzę się jednak nie poruszyło. Wokół jego ciała rozlewała się czarna plama krwi, wsiąkającej w trawę.

Nachylił się nad nim, usiłując przebić wzrokiem ciemność.

Teraz dopiero poznał napastnika. Był nim olbrzymi meksykański owczarek, hodowany w górskich halach. Ten gatunek psów ma w swych żyłach więcej krwi dzikich wilków aniżeli domowych psów. Tej właśnie okoliczności miał do zawdzięczenia, że nie podniósł alarmu szczekaniem. Owczarki meksykańskie w ogóle nie umieją szczekać. Jedyne dźwięki dobywające się z ich gardła to warczenie i wycie.

Ciężko dysząc ze zmęczenia, wsunął zakrwawiony nóż do pochwy. Nie dziwił się już śmiertelnemu wysiłkowi, z jakim mu przyszło pokonanie wroga. Owczarki meksykańskie należały do przeciwników niewątpliwie niebezpieczniejszych nawet od pumy. Używano tych psów zazwyczaj do pilnowania bydła, ale były czasy, gdy używano ich również do polowania na... ludzi. Niejeden zbiegły Murzyn zakończył życie w ich potężnymi kłach.

Wparł wzrok w otaczającą go ciemność, starając się zbadać, czy zabity pies był jedynym obrońcą bezpieczeństwa Carsleya. Mógł przecież ich mieć całą sforę.

Panowała jednak niczym nie zmacona cisza.

Nie można było dalej tracić bezpłodnie czasu.

Powoli, niemal cal za calem, zaczął się posuwać w kierunku budynku, widniejącego w głębi. Gdy przedarł się przez krzaki gęsto rosnące wzdłuż ogrodzenia, ujrzał oświetlony prostokąt okna.

Ktoś czuwał. Tego nie oczekiwał. Dochodziła już pierwsza w nocy, a w tych stronach nie było na ogół zwyczaju przesiadywania do tak późnej godziny. Czyżby Carsley spodziewał się jego wizyty. To by oczywiście mocno skomplikowało przeprowadzenie zamierzonego planu. Ale nie było rady. Nie miał czasu tkwić w krzakach w oczekiwaniu, aż tamten zechce się położyć do łóżka. Carsley mógł przecież czuwać całą noc.

Podsunał się do samej ściany, zachowując jeszcze większą niż poprzednio ostrożność.

Okno było otwarte na oścież. Mdłe, żółtawe światło sączyło się na zewnątrz, malując na trawie jasną, nieokreślonego kształtu plamę.

Wyprostował się, powstając z ziemi, i przyłgnąwszy całym ciałem do desek ściany, zajrzał do środka. Udało mu się tego dokonać, nie wywołując najłżejszego szmeru.

Przy stojącym pod przeciwległą ścianą biurku siedział jakiś mężczyzna, odwrócony plecami do okna. Jego charakterystyczna sylwetka nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości. To był Carsley.

Siedział pochylony nad biurkiem. Widocznie coś pisał.

Bandera sprężył się i jednym susem przesadził niski parapet, lądując w pokoju.

W jego rękę załśniła stal rewolweru, wymierzonego w Carsleya.

Niespodziewany hałas, wywołany uderzeniem podeszew o podłogę,

poderwał szeryfa z miejsca.

Odwrócił się raptownie ku oknu, zrywając się jednocześnie z fotela.

- Ręce do góry! - rozkazał półgłosem Bandera, kładąc zdecydowanym ruchem palec na cynglu rewolweru.

Oczy Carsleya rozszerzył wyraz przerażenia. Wpatrywał się w Bandere, jak gdyby niespodziewanie ujrzał tuż przed sobą niesamowite widmo. Na jego twarz zaczęła występować śmiertelna bladość.

- Ręce do góry! - powtórzył Bandera, widząc ociąganie się szeryfa. W jego głosie zabrzmiała groźna nuta.

Pod czaszką szeryfa zabłysło ognistą błyskawicą zrozumienie tego, co się stało.

BANDERA! Mniejsza już o rewolwer wycelowany w serce... ale Bandera? To było przecież o wiele gorsze od śmierci!

Nie miał nic do stracenia. Przeszłość powstawała nagle z grobu, wyciągając ku niemu mściwe ramiona.

Bandera spojrział na niego spod oka. Zachowanie szeryfa zaczynało zagrażać koniecznością użycia ostatecznych środków. Skoro nie ugiął się przed lufą rewolweru?...

Nie zrozumiał zupełnie depresji szeryfa. Nie mógł zresztą jej zrozumieć, bo nie wiedział o tym, co zaszło przed dwudziestu laty... I o roli, jaką wtedy odegrał Carsley.

Postąpił krok naprzód, wyciągając znaczącym ruchem rewolwer przed siebie.

- Po raz ostatni... - zaczął głosem dźwięczącym metalem.

Nie skończył. To, co się stało teraz, nie trwało nawet kilku sekund. Wzrok jego odznaczał się zbyt wielką bystrością, aby mógł mu ujść błysk

rozgorzały nagle w oczach szeryfa. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do jego znaczenia.

Błyskawicznym ruchem przerzucił rewolwer w rękę, chwytając go za lufę.

Głuchy stuk uderzenia drewnianej rękojeści o czaszkę i Carsley osunął się bezwładnie na podłogę. Z jego ust, otwartych do okrzyku, wydobył się urwany, chrapliwy jęk.

Bandera otarł rękawem bluzy pot obficie występujący na czoło. Była już ostatnia chwila... Jeszcze sekunda i krzyk Carsleya podniósłby na nogi cały dom. Nachylił się z pewnym niepokojem nad ciałem szeryfa. Nie chciałby, żeby...

Ale nie. Wystarczyło jedno spojrzenie w twarz leżącego, by się przekonać, że szeryf został tylko ogłuszony. Bandera odetchnął z ulgą.

Przypadkowe zabójstwo szeryfa zamknęłoby przed nim ostatecznie drogę do rehabilitacji. Rozejrzał się bacznie po pokoju. Gdzie on mógł schować te rewolwery? - zastanawiał się, omiatając wzrokiem wszystkie kąty obszernej izby.

Pod jedną ze ścian stała mahoniowa, staroświecka szafa, naprzeciw niej zaś wielkie biurko.

Tylko w tych sprzętach mógł szukać.

Spojrzał spod oka w twarz leżącego. Jeszcze żadne oznaki nie wskazywały, by powracała mu przytomność. Miał więc trochę czasu.

Zajrzał do szafy. Całe jej wnętrze wypełniały jakieś porozrzucane nieporządnie książki i papiery. Coś w rodzaju biblioteki. Wyrzucił całą zawartość na podłogę, gorączkowo przeszukując każde podejrzone zawiniątko.

Rewolwerów jednak nie było.

Jeżeli jeszcze i w biurku nie znajdę? - pomyślał niepewnie, otwierając ciężką szufladę zapchaną aktami w obwolutach.

Na samym wierzchu, na niebieskiej, sztywnej okładce czerniały wyraźnie wypisane słowa: „Sprawa przeciwko Jackowi Banderze”. Nie zajrzał nawet do środka. Nie było na to czasu. Carsley w każdej chwili mógł się ocknąć.

Przeszukiwał gorączkowo, pośpiesznie jedną szufladę po drugiej.

Dopiero w ostatniej, na samym spodzie, znalazł trzy niemal jednakowe colty z przyczepionymi kartonowymi etykietami. Treść na tych etykietach była wypisana ręką Carsleya.

Ba - pomyślał, chowając rewolwery do kieszeni - ta okoliczność też ma przecież nie byle jakie znaczenie.

Pobiegł szybko ku oknu. Miał wrażenie, jak gdyby leżąca postać poruszyła się słabo, nie tracił jednak czasu, aby to sprawdzić. W jednej chwili był już w ogrodzie.

Biegł, wyęzając siły. Nie starał się nawet zachowywać żadnej ostrożności. Teraz zależało mu jedynie na tym, aby jak najprędzej wydostać się poza ogrodzenie.

Sforsowanie ogrodzenia z drutu kolczastego zajęło mu tym razem o wiele mniej czasu aniżeli poprzednio.

Minęło zaledwie kilka minut od momentu, gdy znalazł rewolwery. Wskakiwał już na siodło swego Wojtka.

Ruszył z miejsca w cwał, przecinając w pędzie senne ulice miasta. Zbyt dobrze już zdołał poznać energię szeryfa Carsleya, by narażać się na utratę choćby ułamka sekundy.

Oglądał się raz po raz nieufnie za siebie, ściskając kurczowo w dłoni gotowy do strzału rewolwer.

Nikt go jednak nie niepokoił. Dopiero gdy wyjechał z miasta, pędząc po kamienistej szosie, usłyszał poza sobą daleki gwar pogoni.

- Fiuu - gwizdnął lekceważąco, skręcając konia w bok, w tym samym kierunku, w jakim wędrował kilka miesięcy temu z Harringtonem. - Dużo mi teraz zrobicie!

Zbyt dobrze zdołał już poznać labirynt górskich ścieżek, by miał się obawiać ujęcia.

## **STARY MATTEO**

- Uff - odetchnął z ulgą, wpatrując się w prymitywną, byle jak skleconą chatkę, ukrytą wśród poszarpanych, zupełnie dzikich wierzchołków skał - nareszcie.

Serce biło mu w piersi niespokojnym rytmem. Czyżby jednak dotarł wreszcie do celu?

Od chatki dzieliło go jeszcze około pięciu kilometrów trudnego, górskiego szlaku, ale to była drobnostka.

Zanim dotarł do tych Brunatnych Skał, minęło przeszło dwa miesiące. Dwa miesiące zmudnych, prowadzonych na oślep poszukiwań. Dwa miesiące z dala od Ann. Ileż razy szedł całymi tygodniami szlakiem, by wreszcie przekonać się, że jest fałszywy.

Nie umiano albo nie chciano mu udzielić informacji. Niejednokrotnie już przychodziły chwile, gdy zupełnie zrezygnowany chciał zaniechać dalszych poszukiwań. A teraz? Czy znowu, dotarłszy do tej chatki



zawieszanej wśród niebotycznych skał, ma stwierdzić, że ten Matteo nie jest wcale tym, którego poszukiwał?

Cóż z tego, że Metys, cóż z tego, że Matteo? Mało to może być na kresach ciemnoskórych pastuchów noszących to imię?

Tym razem, doszedł już do kresu cierpliwości. Jeżeli i ten ślad okaże się fałszywy... trudno. Ustąpi przed losem, nie chcąc, uchylić rąbka tajemnicy zasłaniającej śmierć stryja. Już i tak uczynił dla pamięci Johna Bandery więcej, aniżeli zmarły mógł od niego wymagać.

Wyciągnął z kieszeni brudną chustkę, ocierając spocone czoło. Słońce stało niemal prostopadle ponad wierzchołkami skał, oblewając ziemię palącymi promieniami.

Panował piekielny upał. Sierść Wojtka lśniła gęsto kropelkami potu.

Sięgnął skwapliwie po manierkę, chcąc zwilżyć spieczone gardło. Musiał ją zupełnie przechylić, by wysączyć kilka kropel stęchłej, obrzydliwie ciepłej wody. Nie orzeźwiły go zupełnie. Zniechęconym mchem odjął od ust pustą manierkę.

- No - zawołał ochryłym nieco głosem, zachęcająco klepiąc konia po karku - musimy jak najprędzej dotrzeć na szczyt. Jeżeli nawet ten Matteo nie jest tym, którego szukamy, to i tak będziemy mogli przynajmniej odpocząć i dostaniemy trochę wody.

Koń ruszył naprzód bez zbytniego zapału. Górską wspinaczką po pnących się niemal pionowo ku górze ścieżkach skalnych nie uśmiechała mu się bynajmniej, a szczególnie już na takie gorąco.

Droga stawała się niemal z każdym przebytym metrem coraz cięższa. Co krok musieli omijać leżące na niej olbrzymie, ostrokanciaste głazy. Po kilkuset jardach wyjechali na małą skalną platformę. Dalej biegła ścieżka

zawieszona nad niezmierną przepaścią. Była zbyt wąska, by Bandera odważył się na przebycie jej konno. Zresztą nadawała się raczej dla górskich mułów aniżeli dla koni. Zsiadł z konia i prowadząc go za sobą, ostrożnie wstąpił na skalną półkę. Próbował końcem buta trwałości skały, zanim postawił na niej całą stopę. W chwilach gdy kawały zwietrzałego piaskowca spadały w dół, zamierał bez ruchu, przylegając ciałem do prostopadłej ściany ciągnącej się po prawej stronie ścieżki.

W końcu zdołali jakoś przebrnąć karkołomny odcinek, wychodząc na nieco rozleglejsze płaskowzgórze.

Chatka stała w odległości nie większej niż kilkanaście jardów od przepaści. Z bliska czyniła jeszcze nędzniejsze wrażenie. Wydawać by się mogło, że niezdolna jest do przetrzymania najslabszego nawet podmuchu wiatru.

Bandera podszedł bliżej, nie wypuszczając z ręki cugli. Musiał przyznać, że ten, kto obrał sobie ją na mieszkanie, nie mógłby znaleźć schronienia bardziej niedostępnego dla odwiedzin niepożądanych gości. Podchodził już niemal do koślawych drzwiczek zawieszonych na rzemieniach, gdy nagle zamarł w miejscu, podnosząc obie ręce w górę. Z wnętrza chaty wysunęła się błyszcząca w promieniach słonecznych lufa strzelby, mierząc całkiem, niedwuznacznie w jego pierś.

Patrzył w najwyższym zdumieniu w czarny otwór lufy. Nie. Tego przecież nie mógł oczekiwać w żadnym wypadku.

- Halo! - zawołał w kierunku ciemnego wnętrza chaty. - Co to znowu za kawały?

Przed chatę wyszedł teraz kościsty, nieco przygarbiony Metys, nie opuszczając gotowej do strzału strzelby.

W brunatnej, pomarszczonej twarzy błyszczały dziwnie młodzieńcze oczy.

- He - mruknął niechętnie - czego ci trzeba?

Bandera miał już zupełnie dosyć tej dziwacznej sytuacji, a poza tym wyprężone sztywno ponad głową ramiona zaczynały drętwieć.

- Przede wszystkim - oświadczył, starając się nadać jak najbardziej stanowcze brzmienie głosowi - niech pan opuści z łaski swojej tę pukawkę - wskazał oczyma na strzelbę.

- Jak mi się będzie podobało - uśmiechnął się złośliwie Metys. - Ja pierwszy wycelowałem, więc to ty musisz słuchać moich rozkazów, a nie ja twoich...

Bandera wzruszył ramionami i opuścił swobodnie ręce w dół.

Przez, chwilę jego życie wisiało na włosku. Brunatny palec zadrżał na cynglu, w oczach Metysa zapłonęły groźne ogniki.

Bandera wpatrywał się z mocą w żółtawe źrenice. Na kilka sekund ich wzrok zważył się w niemym zmaganiu. Wreszcie Metys ustąpił. Jego spojrzenie uciekło w bok. Ucisk brunatnego palca na cynglu zelżał widocznie.

- No - odezwał się Bandera - ładne przyjęcie. Nie ma co!

- Takie, jak potrzeba - warknął Metys, odsłaniając żółtawe, nierówne zęby. - Niepotrzebni mi nieproszeni goście.

Wciąż jeszcze nie opuszczał strzelby wymierzonej w pierś Bandery.

- Czy to pan jest Matteo z farmy Bandery? - zapytał przybysz. Głos jego tym razem brzmiał już zupełnie spokojnie.

Wrażenie tego pytania było wprost piorunujące. Bandera omal nie cofnął się w tył, widząc nagłą zmianę w twarzy Metysa. Brunatna,

pomarszczona skóra zastygła w jakiejś trupiej martwocie. Wąskie usta ściągnęły się w ciemną, niemal czarną kreskę. W źrenicach rozżarzyły się znowu jakieś niesamowite ogniki. Brunatny palec zagiął się drapieźnie na cynglu...

- O - spomiędzy pobladyłych nieco warg Metysa wypłynął głos ochryplym szeptem - więc o to chodzi?...

Bandera zrozumiał, że od tego, co teraz powie, zależy jego życie. Jeszcze ułamek chwili i palec pociągnie za cyngiel, a wtedy już żadna siła nie zdoła go ocalić. Nie czas było na długie wyjaśnienia.

- Jestem Jacek Bandera - powiedział wyraźnie - bratanek Johna z Neavill.

Metys szarpnął się gwałtownie, jak gdyby sterczące ponad chatą wierzchołki skał runęły nagle na jego głowę. Lufa strzelby opadła ku ziemi.

- Co? - bąknął, patrząc bezradnie na Bandere - co powiedziałaś?

Bandera uśmiechnął się radośnie. Zachowanie Metysa świadczyło niezbicie, że to właśnie był człowiek, którego szukał od tak długiego czasu.

- Nazywam się Jacek Bandera - powtórzył dobitnie. - Przyszedłem do pana, bo mi to polecił stryj w swym ostatnim przedśmiertnym liście...

- Daj mi ten list - brudna ręka wyciągnęła się chciwie.

- Otóż to - westchnął Bandera. - Niestety nie mam go. Zabrał mi Carsley...

- O - brunatna skóra na twarzy Metysa zadrgała nerwowo - zabrał Carsley?... Ale - powiedział po chwili milczącego wpatrywania się w Bandere - skądżeż ja mogę wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

Nie masz żadnego dowodu...

- Nie - potwierdził cicho Bandera - nie mam. - Tej przeszkody nie przewidział. Nie przeszło mu przez myśl, by Matteo może nie uwierzyć w jego tożsamość.

- Jesteś więc Jackiem Bandera... bratankiem Johna - powtórzył Metys, podchodząc tuż do niego, jakby chciał sprawdzić dotknięciem prawdziwość jego słów. - Kiedy się urodziłeś? - zapytał niespodziewanie.

- Ja? - spojrzał na niego zdumiony - tysiąc dziewięćset dziesięć.

- Imiona rodziców? - pytał dalej.

- A po cóż to panu potrzebne - wzruszył ramionami Bandera. - Chce mi pan wystawić paszport czy co?

- Nie żartuj - w głosie zabrzmiały błagalne nutki. - Od twoich odpowiedzi zależy bardzo wiele...

- No, niech będzie - zgodził się, aczkolwiek wciąż jeszcze nie mógł zrozumieć, do czego zmierzają pytania. - Ojcu na imię Józef, a nieboszczka matka nazywała się Zofia... - Metys wsłuchiwał się z napięciem w słowa Bandery. Powieki opadły na żółtawe źrenice. Mogłoby się wydawać, że każdy dźwięk z ust Bandery wprawiał go w jakiś dziwny trans.

- Gdzie mieszkacie?

- W Warszawie... - Bandera dziwił się coraz bardziej.

- Ale dokładniej... Ulica? - zawołał niecierpliwie.

- Bednarska...

- BE-DNAR-SKA - wysylabizował niespodziewanie zupełnie poprawnie tę trudną do wymówienia dla cudzoziemca nazwę.

Strzelba z metalicznym brzękiem, upadła na kamienie. Gorące usta

przywarły do ręki osłupiałego ze zdumienia Bandery.

- Pan Jacek Bandera... Bandera... Bratanek mojego pana... - Słowa wydobywały się szlochem z piersi Metysa.

- Co pan robi? - zmusił go niemal siłą do podniesienia się na nogi. - Tyle lat czekałem... Nieboszczyk pan... powiedział... czekaj, Matteo... czekaj aż do śmierci... Jeżeli nie przyjdzie... mój brat, Józef, to jego syn, Jacek... Wszystko o panu wiedziałem, kiedy się pan urodził... jakie imiona mają rodzice... gdzie mieszkacie... Stary pan mi powiedział... powtarzałem sobie co dzień, aby nie zapomnieć... Czekałem... czekałbym tak, jak mi mój pan rozkazał... aż do śmierci... Ale w ostatnich latach już straciłem nadzieję... Tyle czasu upłynęło i nikt się nie zjawiał... z Warszawy... Aż wreszcie teraz...

Wciąż jeszcze nie mógł się uspokoić. Pierś jego podnosiła się i opadała konwulsyjnym rytmem.

- Proszę... może pan... do chaty - skłonił się nisko.

W chacie, do której weszli, panował chłodny półmrok. Bandera rozejrzał się ciekawie. Umeblowanie było więcej niż prymitywne: kilka desek położonych na krzyżakach, byle jak skleconych z nieokorowanych pieńków, dwa niewątpliwie własnej roboty chwiejne stołki i kilka skór owczych narzuconych jedna na drugą w kącie izby - to wszystko.

Metys nachylił się nad płytką piwniczką wykutą w skale zastępującej podłogę, wydobywając stamtąd glinianą miskę napełnioną owczym mlekiem. Podał ją Banderze, sam zaś wyszedł na dwór do konia. Pomimo ostrego zapachu Bandera wypił chłodny napój jednym haustem. Metys tymczasem wytarł Wojtka do sucha wiechciami słomy, napił go i powrócił do chaty, siadając przed Banderą na ziemi.

- Tak - zaczął, napychając krótką glinianą fajeczkę jakimś okropnie cuchnącym ziołem - a więc wreszcie przybył na tę ziemię potomek Banderów, aby pomścić śmierć swych krewnych...

- Nie - zaprzeczył żywo - myli się pan. Nie mam zamiaru ujmować zemsty w swoje ręce. Przybyłem, by pomóc wymiarowi sprawiedliwości... w ukaraniu zabójcy.

- Sprawiedliwości? - powtórzył Metys, rzucając nań spojrzenie spod oka... - Ano... to już pańska rzecz... Choć jak pan za chwilę usłyszysz... nie będzie to takie łatwe, jak się panu wydaje... Ja wykonam to, co mi nakazał pan John... Opowiem o jego śmierci...

Bandera zasiadł wygodniej na niezbyt pewnym stołku, wyciągnąwszy przed siebie nogi.

- Słucham - rzucił, zaciągając się dymem z fajki.

Metys milczał przez chwilę, wpatrzony w przestrzeń, jakby widział w niej obrazy zamierzchłej przeszłości.

- A więc - zaczął nieco drżącym głosem; widać było, że powrót do minionych czasów kosztuje go wiele wysiłku - zaczęło się to wszystko o wiele dawniej, jeszcze zanim pan John przybył do Stanów...

- Chce pan opowiadać o czasach afrykańskich? - przerwał zdziwiony Bandera. Znał z opowiadań ojca dzieje egzotycznych wędrówek stryja, przynajmniej w ogólnych zarysach.

- Tak - kiwnął głową, ruchem pełnym namaszczenia Metys. - Korzenie tego, co się stało dwadzieścia lat temu w Neavill, sięgają Afryki. Tam bowiem, gdy pracował na diamentowych polach, poznał się z Carsleyem.

- To Carsley był dawnym znajomym stryja? - przerwał znowu

Bandera. Jakoś nie mógł pogodzić tej wiadomości z całym postępowaniem szeryfa wobec siebie.

- Czy był znajomym? - uśmiechnął się gorzko Metys, a w jego oczach rozgorzał odblask wewnętrznego ognia. - Był nim. Więcej nawet, był jego przyjacielem, do czasu aż... Ale dojdę jeszcze do tego. Muszę opowiedzieć wszystko po porządku, aby pan zorientował się w całym przebiegu i przyczynach tego, co zaszło. Jak już mówiłem, pan John poznał Carsleya w Afryce, gdy pracowali obydwaj na polach diamentowych na Złotym Wybrzeżu. Obydwaj byli wtedy jeszcze zupełnie młodymi chłopcami. Carsley był jeszcze młodszy od mojego pana. Obydwaj byli cudzoziemcami, obydwu powodziło się kiepsko... Przyłgnęli do siebie. Zaprzyjaźnili się na śmierć i życie. Razem pracowali, razem cierpieli biedę. Trwało to kilka lat. Aż wreszcie zdołali w jakiś sposób otrzymać koncesję na samodzielne poszukiwania. Udali się we dwóch w głąb kraju i zaczęli poszukiwać diamentów w głębinach rzek. Pan nieraz opowiadał o przejściach, jakie stały się w tym czasie ich udziałem. Choroby, głód, napady bandytów... Musieli przebrnąć przez wszystko, co tylko może być najgorszego na drodze poszukiwaczy diamentów. Wytrwali. To jeszcze bardziej zbliżyło ich do siebie. Wreszcie kiedyś szczęście uśmiechnęło się do nich. Znaleźli kilka dużych kamieni, olbrzymiej wartości. Stali się naraz ludźmi zamożnymi. Mój pan podobno chciał wtedy powrócić do Polski. Starał się usilnie o umorzenie jakiejś sprawy, toczącej się od kilku lat przeciwko niemu za udział w akcji przeciwko rządowi niemieckiemu.

- Tak - wtrącił w zamyśleniu Bandera - stryj został zaocznie skazany na kilka lat więzienia.



- W końcu - ciągnął dalej Metys, zbyt przejęty opowieścią, by zwrócić uwagę na odezwanie się słuchacza - konsulat niemiecki w Capetown pozwolił panu Johnowi na powrót do Polski, gwarantując bezkarność. W chwili, gdy pan John miał już wykupiony bilet na statek, na jakieś zaledwie dwa dni przed wyjazdem ktoś z jego przyjaciół czy też krewnych, zamieszkałych w Europie, ostrzegł go listownie, że jest to zwyczajna pułapka. Sprawa podobno wcale nie została umorzona i policja tylko czekała, aż pan John przekroczy granicę i będzie mogła go aresztować. Wówczas pan John wspólnie z Carsleyem zdecydowali udać się do Stanów. Z początku osiedli w Nowym Jorku i zabrali się do jakichś interesów. Wiodło im się jednak nieszczególnie. Stracili ponad połowę zdobytego w Afryce majątku. Wtedy postanowili wyruszyć na kresy. W tych czasach ludzie szybko dorabiali się tu majątków. Nie wiem, czyj to był pomysł. Zdaje się, że pana Johna, który przyzwyczajony do afrykańskich przestrzeni, dusił się w ciasnych murach wielkiego miasta. W rezultacie wyruszyli obydwaj razem. Kupili dwie sąsiadujące ze sobą farmy. Pan John nazwał swą posiadłość "Varsovia", Carsley zaś „Eldorado”... Właśnie wtedy trafiłem do „Varsovii”, przyjęty przez pana Johna jako nadzorca nad pastuchami. Od tej chwili wszystkie niemal dalsze wypadki, o których będę opowiadać, rozgrywały się na moich oczach... Przyjaźń pana Johna z Carsleyem trwała nadal. Mieszkając o miedzę, spotykali się co dzień. Albo pan John jechał w odwiedziny do Carsleya, albo też przyjmował go u siebie. Ja mimo wszystko od samego początku czułem jakąś niewytłumaczoną niechęć do Carsleya, choć był to przecież najbliższy przyjaciel mego pana, którego już wtedy kochałem...

Głos Metysa przy tych słowach załamał się. Umilkł na chwilę,

wpatrzony w nikły żar czerwieniejący w glinianej fajeczce.

- Tak - zaczął znowu, wstrząsając głową, jakby chciał odpędzić ponure wizje wyłaniające się z własnych słów - wszystko było dobrze, dopóki do Neavill nie zjechał aptekarz Dawson ze swoją córką Ellen. Przyjechali ze wschodu. Panna Ellen była piękna... tak, nadzwyczaj piękna, a w tych czasach na kresach mieszkało bardzo mało kobiet. A i te, które tu mieszkały, nie umywały się nawet do panny Ellen. Zamożniejsi farmerzy, osiedli na kresach, wysyłali swe córki do miast na wschodzie. Tam też przeważnie pozostawały, wychodząc za mąż. Kresy nie nadawały się zupełnie dla kobiet. Teraz też jest tu ciężko, a wtedy było o wiele gorzej. Stało się to, co musiało się stać. Pan John zakochał się w pannie Ellen... Carsley tak samo... Gdy pan John dowiedział się o tym, postanowił ustąpić. Przez kilka tygodni nie wyjeżdżał wtedy poza granice swej farmy. Po prostu strasznie było patrzeć na to, co się z niego przez ten czas zrobiło. Zestarzał się co najmniej o dziesięć lat. Zawsze odznaczał się bardzo wesołym usposobieniem, ale przez te kilkadziesiąt dni nikt ani razu nie widział na jego twarzy choćby najlżejszego uśmiechu. Skronie mu zupełnie zbielały, a przecież nie był jeszcze wtedy starym człowiekiem. Poświęcił się dla przyjaciela. My wszyscy widzieliśmy, jak bardzo go to poświęcenie kosztowało. Aż wreszcie któregoś dnia panna Ellen zjechała sama na farmę. Trzeba było wtedy widzieć twarz naszego pana. Po prostu słońce przy niej bladło, tak bardzo jaśniała radością. Słyszałem ich rozmowę, za bardzo kochałem pana Johna, aby się powstrzymać od podsłuchiwania, wiedziałem przecież, że od tej rozmowy zależy jego... życie. Panna Ellen oświadczyła wtedy wprost, że kocha pana Johna i wie o jego miłości ku sobie. - Nie jestem - mówiła, a jej czarne oczy błyszczały

niby diamenty - bezdusznym przedmiotem, abyście mnie mogli sobie odstępować. Kocham tylko ciebie i wyjdę za ciebie, albo... wcale nie wyjdę za męża.

Pan John próbował z początku protestować, tak przejmował się swą przyjaźnią z Carsleyem. - Przecież Carsley też cię kocha - odezwał się do panny Ellen, opuszczając ku ziemi oczy. Stałem wtedy na ganku, a drzwi do bawialni, gdzie miała miejsce ich rozmowa, stały otworem. Słyszałem każde słowo. Gdy zrozumiałem, że pan John chce ją odepchnąć, poczułem, jak mi się serce ściska. Wiedziałem: nie przeżyje w żadnym razie jej odjazdu. Ale panna Ellen nie miała zamiaru tak łatwo zrezygnować. Tupnęła, aż zadrżała podłoga. Nigdy nie przypuszczałem, by w jej malutkich stopkach mogło być tyle siły.

- Nic mnie nie obchodzi ten twój cały Carsley! - zawołała. - Nie kocham go, a jeżeli miałby stanąć na naszej drodze, jestem zdolna go znienawidzić. Kocham ciebie. Jeżeli mnie odepchniesz, wyjadę na zawsze z tych dzikich stron, gdzie mężczyźni nie mają odwagi sięgnąć po kobietę przeznaczoną im przez los. Przysięgam!

Modliłem się wtedy z całej duszy do Madonny, by oświeciła mojego biednego pana. Obiecałem jej za to dwunastofuntową świecę. Dotrzymałem zresztą słowa. Świeca od dawna już stopiła się w kapliczce w El Paso. Nasz pan ustąpił. Nie minęło nawet sekundy od jej ostatnich słów, gdy ją pochwycił w objęcia. Krzyczał z radości.

Krzyczał na cały głos, jak bardzo ją kocha. A potem zaczął płakać. Jak on płakał! Pan John płaczący? To wyglądało na coś w rodzaju końca świata. Ale były to łzy radości. Nie mogłem już dłużej słuchać. Zbiegłem z ganku, jakby mnie coś goniło. Uciekłem het... do lasu. Mnie samemu

zrobiło się tak jakoś dziwnie. Nigdy potem i nigdy przedtem... Jeden jedyne raz w życiu. Nawet gdy w kilka lat później ujrzałem mego pana padającego na ziemię z kulą w sercu...

Umilkł, wygrzebując ostygły popiół z fajki. Twarz jego zastygła w kamiennej martwocie. Jedyne ledwo dostrzegalny nerwowy tik, wstrząsający kącikiem lewej powieki, wskazywał na burzę szalejącą w sercu.

Bandera wpatrzył się w wierzchołki skał widniejące poprzez otwarte drzwi.

Niespodziewanie ogarnęło go silne wzruszenie. Nie znał przecież swego stryja. Nigdy go nie widział. Nie poświęcił mu ani jednej myśli, zanim nie dowiedział się od ojca o treści pisanego przed dwudziestu laty listu. A jednak - tchnące najwyższym przywiązaniem słowa Metysa wyczarowały z przeszłości wizję, która się stała wizją bliskiej osoby.

Matteo, napelniwszy swą fajkę nowym ładunkiem tytoniu, palił ją przez chwilę w zamyśleniu.

- Tak - przerwał wreszcie milczenie, przy czym jego spokojny, niski głos wskazywał, że już zdołał się opanować - wtedy zapanowały na farmie szczęśliwe dni. Zaręczyny, wesele. Jedna uczta huczniejsza od drugiej. Pani Ellen zamieszkała na farmie. Stała się naszym słońcem. Dla wszystkich miała dobry uśmiech, dla każdego przychylne słowo. Carsley znikł zupełnie z horyzontu. Od chwili przyjazdu pani Ellen ani razu nie przekroczył granic "Varsovii". Mogłoby się wydawać, że mieszkał gdzieś na drugim końcu świata, a przecież nie opuścił swego „Eldorado”. Zdarzało się czasami, że widzieliśmy go przez miedzę, ale nigdy nie odezwał się do żadnego z ludzi pracujących na farmie pana Johna. Gdy

widział go samego odwracał się natychmiast plecami. Zupełnie wyraźnie. Nawet nie usiłował udawać. Zachowanie Carsleya stanowiło ciemną chmurę na szczęściu pana Johna, nie wspominał jednak nigdy o tym ani słowa. Chyba nawet z panią Ellen też o tym nie rozmawiał. Carsley zaczął pić. Coraz częściej dochodziły do nas słuchy o pijatykach i awanturach, jakie urządzał w neavillskich karczmach.

Gdy wiadomości o wybrykach Carsleya docierały do uszu pana Johna, zżymał się i przez kilka godzin chodził ponury jak noc. Nie mógł widocznie przeboleć upadku swego przyjaciela. Jak mi potem mówił, odczuwał wyrzuty sumienia, że to on, żeniąc się z panią Ellen, przyczynił się do tego upadku. Aż wreszcie, gdy pewnego dnia doniesiono panu Johnowi o większej niż dotychczas awanturze, urządzonej w Neavillu przez Carsleya, w czasie której ciężko poranił on jakiegoś kowboja. Nie wytrzymał. Nic nikomu nie mówiąc, osiodłał konia i pojechał do „Eldorado”. Pojechałem za nim w pewnej odległości, nie chcąc, by mnie zobaczył.

Pan John pomimo swej całej dobroci nie znosił, gdy ktoś mu się sprzeciwiał. Ale ja już wtedy wiedziałem, jaki stał się Carsley. Gdy podjechałem pod otwarte okno domu Carsleya, z wewnątrz dobiegały odgłosy gwałtownej kłótni. Właściwie wymyślał tylko Carsley, bo mój pan coś mu usiłował tłumaczyć. Zajrzałem do środka. W ostatniej chwili zdążyłem wskoczyć do pokoju, by wyrwać Carsleyowi z ręki rewolwer wymierzony w pierś mego pana. Gdybym nie zdążył... Pan John stał nieruchomo, trzymając obie ręce skrzyżowane na piersi. Nawet palcem nie poruszył, by się bronić przed wycelowaną w swe serce bronią, a przecież sam też miał u pasa niezgorszego smitha and wessona. Pobladł tylko na

twarzy jak papier. Nie wymówił ani jednego słowa, patrząc, jak się szarpałem z oszalałym z wściekłości Carsleyem. Gdy zdołałem go wreszcie obezwładnić, pan John wskoczył na konia, uwiązanego u ganku, i odjechał. Od tego czasu się zaczęło. To nam stogi niespodziewanie płonęły w nocy, to znajdowaliśmy zastrzelone sztuki bydła, to wreszcie kilka razy panu Johnowi kulki gwizdały koło ucha, gdy przechodził obok jakichś gęściejszych zarośli. Wszyscy wiedzieliśmy, czyja to była robota. Pan John też doskonale wiedział, ale nie chciał z nikim o tym rozmawiać. Zabronił nawet surowo wspominać choć słowo o zamachach pani Ellen. Błagałem go niemal na kolanach, by pozwolił odpowiedzieć wrogowi we właściwy sposób.

Błagałem, by choć pozwolił o tym wszystkim zawiadomić szeryfa Sandersa, ale pan John kazał mi milczeć i trzymać na przyszłość język za zębami. Marszczył groźnie brwi, jak to on tylko potrafił, i patrząc mi prosto oczy mruczał gniewnie: - To moja sprawa. On się zresztą prędzej czy później opamięta. - Cóż mieliśmy robić? Szeryf Sanders domyślał się co nieco, ale na własną rękę, bez skargi pana Johna, nic nie mógł przeciwko Carsleyowi przedsięwziąć. Potem przyszedł na świat młody panicz - pański stryjeczny brat - Stanisław. Zamachy na pewien czas ustały, choć o Carsleyu stawało się coraz głośniejsze w okolicy. Nie było już niemal dnia, by nie urządził jakiejś awantury. To kogoś poranił, to pobił, to wreszcie zdemolował jakiś lokal. Podobno było nawet parę trupów na jego drodze. Ale to uchodziło mu na sucho. W tamtych czasach zresztą zabity podczas awantury w karczmie nie stanowił czegoś, co by skłaniało prawo do wetknięcia nosa. Zbyt często bowiem się to zdarzało. Carsleya zaczęto się powszechnie obawiać. Wszyscy mieli go już dosyć. Okolica po prostu

odetchnęłaby, gdyby się wyniósł. Nikt jednak nie chciał mu tego powiedzieć. Rewolwery Carsleya zbyt łatwo wyskakiwały z pochwy, a żadna z jego kul nie chybiała celu. Porządni ludzie zaczęli od niego stronić. Dobrał więc sobie kompanię podobnych do siebie awanturników, z którą nie przestawał hulać. Pana Johna, jak się nam wszystkim zdawało, przestał już interesować los byłego przyjaciela. Żona i syn wypełniali mu cały świat. Nie był zdolny widzieć nic poza nimi. Aż wreszcie pani Ellen niespodziewanie odeszła od nas na tamtą stronę...

- Carsley? - wzdrygnął się Bandera.

- Co? Carsley? - popatrzył na niego przez chwilę tępo Matteo, nie rozumiejąc pytania. - Nie - zaprzeczył wreszcie. - Carsley nie miał w tym żadnego udziału. Po prostu przyszła śmierć. Pani Ellen nigdy nie była zbyt silna. Mimo, że cały dzień przebywała na słońcu, twarz jej pozostawała stale blada. Po przyjściu na świat panicza, zaczęła kaszleć. Z początku pan John nie zwracał na to uwagi. Pani Ellen sama śmiała się ze swego kaszlu. - Przejdzie - powtarzała zawsze, gdy martwił się jej zdrowiem.

Ale nie przeszło. Pan John przywiózł z El Paso, bo w Neavill nie było jeszcze wtedy żadnego lekarza - niejakiego Abrahama Snowby'ego. Podawał się za doktora. Leczył ludzi, ale może jeszcze częściej zwierzęta. Czy był naprawdę lekarzem, tego nikt nie wiedział. Nie sprawdzali. Cieszyli się, że mają choć takiego. Czasami zresztą podobno pomagał. Zwłaszcza bydłu. Badał naszą panią bardzo długo, robił uczone miny, wreszcie dał jej jakieś kropelki i powiedział, że to... lekkie zaziębienie. Pan John uspokoił się, choć pani, pomimo zażywania kropelek Snowby'ego, nie przestawała kaszleć. Kaszłała nawet coraz mocniej. Szczególnie na wiosnę. Tak trwało przez cztery lata. My wszyscy, widując

ją co dzień, nie dostrzegaliśmy, że nikła coraz bardziej. Taka była wesoła. Dopiero później, gdy już leżała w trumnie... Pan John szalał po prostu z rozpaczy. Nie spodziewał się zupełnie. Nikt z nas też nie oczekiwał takiego nieszczęścia. Tej właśnie wiosny była jeszcze weselsza niż zazwyczaj. Gdy pani Ellen została na skalistym cmentarzu, pan John oddał się bez reszty wychowaniu małego Stana. Teraz znowu zaczął się odzywać Carsley. Opowiadał wszystkim, kto chciał i kto nie chciał słuchać, że to pan John jest winien śmierci żony: - Nie dbał o nią, nie leczył jej jak należy, to i umarła - rozgłaszał po wszystkich okolicznych karczmach i zajazdach. Nikt mu nie zaprzeczał. Kto by się tam odważył się sprzeciwić kompanii Carsleya? Chyba po pijanemu. Ale i pijani nie mieli nawet tyle czasu, by pożałować swej odwagi. Kompania Carsleya załatwiała się prędko z każdym przeciwnikiem.

Zaczęto gadać. Z początku z ubolewaniem, potem nawet ze złośliwością. Z oszczerstwa zawsze przecież coś zostaje, a panią Ellen bardzo lubiano w okolicy.

Doszło to wreszcie do pana Johna. Nic na to nie mówił. Chmurzył się tylko ponuro i zamykał się po każdej takiej plotce na kilka godzin w swym pokoju.

Może nawet przyznawał trochę racji Carsleyowi, choć nie było jego winy w chorobie pani Ellen. Chciałem już nieraz... ostatecznie rewolwer umiem jako tako trzymać w garści, ale pan zabronił mi stanowczo. Zabronił mi nawet wchodzić do zajazdów, w których zwykle przebywał Carsley, by nie doszło do przypadkowego spotkania. Ciężkie wtedy nastaly czasy w „Varsovii”. Nikt z tych, którzy znali pana Johna przed kilku laty, nie mógł go poznać. Stał się ponury i smutny. Z każdym dniem



było coraz gorzej.

Panicz Stan wyrastał na chłopca twardego jak kamień. Gdy miał dwanaście lat, wyglądał co najmniej na piętnaście. Wysoki, barczysty, muskularny, mógłby od biedy dać radę niejednemu dorosłemu mężczyźnie. Konno jeździł, jakby się na koniu urodził, wybierał zresztą jak najbardziej ogniste i narowiste. Lassem rzucał wspaniale, a i z rewolweru strzelał całkiem nienajgorzej. Pan John cały swój czas, jak już mówiłem, poświęcał na wychowanie jedynaka... ja też go zdołałem nauczyć co nieco z tego, co sam umiałem. Tylko nigdy się nie uśmiechnął. Nigdy nie zaśpiewał, jak chłopcy w jego wieku. Cóż - „Varsovia” nie była miejscem, gdzie zbyt często słyszało się śmiech lub śpiew. W tym czasie znowu zaczęło się z Carsleyem. „Eldorado” miało być wystawione na licytację... Carsley nie miał już nic. Przehulał wraz z kompanami cały majątek. Żył jeszcze z kredytu, którego nikt nie ośmielał mu się odmówić, ale to oczywiście, nie mogło trwać wiecznie. Zaczął zaczepiać naszego pana. Upominał się o jakieś diamenty. Odważył się nawet kilkakrotnie najeżdżać naszą farmę. Słyszałem kilka z tych rozmów, bo zawsze warowałem w pobliżu, by móc przyjść mojemu panu z pomocą, gdyby tego potrzebował. Pan John nic, oczywiście, o tym nie wiedział. - Oddaj diamenty! - krzyczał Carsley do pana Johna, gdy znalazł się w jego gabinecie, gdzie te rozmowy zazwyczaj miały miejsce.

- Przecież się rozliczyliśmy - mówił go pan John. - Nic mnie to nie obchodzi - śmiał się Carsley. - Musisz mi oddać diamenty. Są mi potrzebne, a ty masz jeszcze kilka ładnych kamyków. - Mam - przyznawał pan - ale ci ich nie oddam. Należą do mego syna. - Musisz mi oddać - wydzierał się Carsley, nie zważając, że ktoś go może słyszeć. - Będę je

miał, choćbym ci miał z gardła wyrwać! - Ile razy w czasie takich rozmów ścisnąłem głownię swego rewolweru. Ale do niczego poważniejszego wtedy jeszcze nie dochodziło. Pan był nieugięty jak skała. Gdy kiedyś zauważył, że słyszałem jedną z takich rozmów, powiedział mi zupełnie spokojnie: - Carsley żąda ode mnie diamentów, które do mnie należą. Na pewno mu ich nie oddam. Są własnością mego syna. Carsleyowi nic się ode mnie nie należy. Rozliczyliśmy się co do centa, gdyśmy likwidowali naszą spółkę. - Wiedziałem, że była to święta prawda. Zbyt wiele bowiem zdołałem usłyszeć z ich rozmów. Carsley nigdy nie twierdził, by nasz pan pozostał mu coś winien. Ale był on przyzwyczajony brać bez względu, czy miał do tego jakiegokolwiek prawo. Więcej, upierał się nawet wtedy, gdy... nie miał żadnego. Opór pana Johna rozjuszał go coraz bardziej - zresztą wtedy było z nim już naprawdę całkiem krucho. Zagrożeni ruiną właściciele zajazdów zaczęli przejawiać rozpaczliwą odwagę. Ci, co jej nie mieli... likwidowali po prostu swe knajpy, przenosząc się w inne strony. Kompania Carsleya składała się z kilkunastu ludzi, a każdy z nich miał nienajgorszy apetyt i niezły spust w gardle. Mogli każdego objeść doszczętnie jak szarańcza. A płacić przestali od dawna. Poza tym ludzie, którzy zamieszkują na kresach, nie pozwolą sobie bezkarnie odejmować chleba od ust. Mieli już dosyć całej tej kompanii. Ostatecznie chodziło o pieniądze, a to najczulszy punkt tych wszystkich z miast. Przebąkiwano już tu i ówdzie o prawach Lyncha. Wspominano te wszystkie kule, jakie kompania Carsleya zostawiła w ludzkich ciałach. Dopóki zresztą płacił, wszystko było w porządku, ale teraz...

Stawał się coraz bardziej agresywny wobec pana Johna, aż wreszcie pewnej nocy napadł naszą farmę wraz ze swą bandą.

Zwyczajny napad bandycki. Nawet nie starał się upozorować go jakimiś niewyrównanymi rachunkami. Wyłamali bramę, zaczęli się wdzierać do domu. Gdy stawialiśmy opór, strzelali bez pardonu. Ale my też mieliśmy broń. Po dwóch godzinach uciekli, pozostawiając na podwórzu trzech zabitych. Ilu zabrali ze sobą rannych, nie wiem, ale na pewno było ich też kilku. Spośród nas trzech zostało postrzelonych: pan John, ja i stary kowboj Davy. Wszyscy niezbyt groźnie. Nawet i wtedy pan John nie pozwolił zwrócić się do szeryfa. A zresztą szeryf nie był potrzebny. Gdyby opowiedzieć sąsiadom o napadzie, zebrałaby się odpowiednia liczba ludzi. Właśnie wtedy powstała organizacja nazwana „Związkiem Obrońców Prawa”. Utworzono go głównie ze względu na bandę Carsleya. Zaczynały się już inne czasy. Ludzie mieli dosyć plucia w twarze. Ale pan John uparł się. - Nie i nie. - Żadnej innej odpowiedzi nie można się było od niego doczekać. Kazał tylko wzmocnić bramę i podorabiał solidne okiennice do okien. To wszystko...

Gdyby mógł przewidzieć, co miało nastąpić, na pewno postąpiłby zupełnie inaczej, tego jednak nikt z nas się nie spodziewał. Przez jakieś cztery, pięć tygodni po tym napadzie panował zupełny spokój. Pan John mówił mi kilkakrotnie: - Widzisz? Miałem rację, opamiętał się wreszcie. - Ja myślałem inaczej. Miałem jakieś złe przeczucia. Nie sprzeciwiałem się jednak, nie mając nic konkretnego na ich potwierdzenie.

Carsley rzeczywiście ucichł zupełnie. Nawet awantury w okolicznych miasteczkach jakoś ustały. Nie przypuszczaliśmy, że się szykował... Aż wreszcie nadeszła ta noc... To było, pamiętam jak dzisiaj, dziesiątego sierpnia... Ze wschodu nadciągała burza. Panowały zupełne ciemności. Na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Zamykałem razem z

peonami bramę, gdy wtem z mroku wypadli jacyś jeźdźcy. Cała chmara jeźdźców. Wiedzieliśmy dobrze, co to znaczy. Ledwie zdążyliśmy zamknąć bramę - byli już przy niej. Niedługo ich zatrzymała - może pięć minut, a może jeszcze mniej, a przecież była to zupełnie solidna brama. Zatłoczyli całe podwórze i w jednej chwili zepchnęli nas w tył. Wycofaliśmy się do budynku. Kilku zresztą spośród peonów zostało na zewnątrz. Ci już nie potrzebowali żadnej osłony. Banda Carsleya nie miała zwyczaju dawania komukolwiek pardonu. Zabarykadowaliśmy się, jak się dało, i szykowaliśmy obronę. Nie było jeszcze powodu do rozpacz, ostatecznie kilkunastu mężczyzn, mających w ręku coś do strzelania i wystarczający zapas amunicji, a do tego wszystkiego solidne ściany budynku, to nie byle co... Może nawet w końcu dalibyśmy im radę... ale los chciał inaczej. Zaledwie się zamknęliśmy, pan John zaczął wołać panicza. Stan się nie odezwał. Nie było go wśród nas. Gdzie tam miał teraz kto głowę do organizowania obrony: panicza nie było. Zaczęliśmy go wszędzie szukać. W końcu ja go znalazłem. Leżał tuż pod samymi drzwiami. W ręku ścisnął pistolet. Na samym środku czoła miał dziurę. Nawet niewielką: dokładnie dziesięć milimetrów, tak jak i kula, która ten otwór wybiła. W momencie gdy się nad nim nachyliłem, panicz był już zimny i martwy. Nasz panicz! Wciągnąłem go do środka. Pan John spojrzał tylko na moją twarz, gdy wszedłem do bawialni, i o nic nie zapytał - wybiegł na schody. Nawet nie poszedłem, za nim. Po co? Wiedziałem, że i tak wszystko już skończone - panicz zabity! Gdy pan John wrócił, nie wyrzekł ani słowa. To był już człowiek martwy. Martwy, choć się poruszał. Dusza w nim umarła. Kazał strzelać, rozmieścił nawet ludzi przy oknach, jak gdyby nic się nie stało. Twardy był z niego

człowiek. W jednym oknie kule wybiły okiennice - przy tym właśnie stanął sam ze swoim winchesterem. Niedługo tam stał. Po kilkunastu minutach zachwał się na nogach. Gdy do niego podbiegłem, siedział już na podłodze, oparty plecami o ścianę. Całe ciało miał poszarpane kulami. Nawet nie wiem, ile ich dostał. Bluzę jego zalewała krew, i mogłoby się wydawać, że nie ma już ani kawałka całego ciała. Wtedy właśnie napisał list do pańskiego ojca. - Matteo - powiedział do mnie, a jego oczy zaczęły już zachodzić bielmem śmierci - ty musisz się stąd jakoś wydostać żywy... przecież to nie może zostać niepomszczone... Musisz żyć tak długo, aż któryś z nich tu przyjedzie. Może kilka miesięcy, a może kilka lat. - Opowiedział mi wówczas wszystko o was i waszym ojcu, bym mógł poznać, gdy ktoś się do mnie zgłosi. Zdażył jeszcze powiedzieć, gdzie są ukryte dokumenty i kamienie. Potem skończył. Do ostatniej chwili trzymał się dzielnie. Głos którym mi wydawał polecenia, nie zadrżał ani razu. Umarł dopiero wtedy, gdy powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Wyglądało, jakby siłą trzymał swą duszę w ciele, dopóki nie załatwi wszystkich swych ziemskich spraw.

Wydostałem się jakoś z oblężonego rancha wraz z kilkoma peonami. Ale tylko ja jeden przedostałem się żywy w góry. Inni nie. Większość padła w walce, a ci, którzy się poddali, zostali po prostu zarżnięci jak barany. Carsley nie chciał zostawić świadków. Na pewno nie wie, że ja uszedłem z życiem. To wszystko.

Umilkł, wpatrując się nieruchomym wzrokiem matowych oczu w kamienną podłogę. Był tak nieruchomy, że Banderze wydawało się, jak gdyby siedział przed nim jeden z wykutych w granicie azteckich posągów. Bandera również milczał. Pod jego czaszką kłębiły się poplątane wizje

krwawych obrazów, wyczarowanych z przeszłości opowiadaniem peona.

W duszy rodziło się przemożne pragnienie zemsty. Wiedział teraz dobrze: jeżeli Carsleya nie dosięgnie ramię karzącej sprawiedliwości, to on sam obejmie jej rolę. Stryj miał rację. To nie mogło pozostać niepomszczone.

Sięgnął po zapalniczkę, chcąc zapalić dawno wygasłą fajkę. W panującej w chacie ciszy trzask zapalniczki zabrzmiał jak wystrzał.

Mateo wzdrygnął się, wyrwany tym dźwiękiem z zadumy. Skierował na Banderę spojrzenie nieruchomych oczu.

- Tak - przerwał Bandera milczenie nieco ochrypłym głosem - ma pan rację. Carsley musi zostać ukarany za wielokrotne morderstwo. Ale powiedzcie mi - dodał po chwili - w jaki sposób Carsley potrafił przez tak długi czas uniknąć kary?

- O - wzruszył pean ramionami - po prostu miał jakieś piekielne szczęście. Gdy tylko udało mi się uciec z ranca, opowiedziałem o wszystkim szeryfowi Sandersowi. Zawrzał gniewem, zaklinając się, że tym razem skończy z Carsleyem. Na pewno dałby mu zresztą radę, gdyby akurat w tym czasie Stany nie przystąpiły do wojny. Carsley, któremu paliło się pod nogami, wstąpił do wojska, Sanders również. Z wojny wrócił tylko Carsley, i to jako bohater, odznaczony jakimś medalem. Odważny to on był zawsze, tego nie można mu odmówić. Sanders w ogóle nie wrócił. Pochowano go w Europie.

Przez czas wojny ludzie zapomnieli o wyczynach Carsleya. Zresztą zmieniło się tu przez ten czas dużo. Wielu starych odeszło, a na ich miejsce przyjechali inni. Nic ich nie obchodziła historia sprzed wojny. Carsleya wybrano szeryfem. Cóż miałem począć? Ukryłem się w tych

górach, by czekać na przyjazd spadkobiercy pana Johna. Carsleyowi bardzo by było łatwo rozprawić się ze mną...

- Doczekałem się jednak - obrzucił Bandera przenikliwym spojrzeniem. - Polecenie mego pana prawie już spełnione Jeszcze muszę panu pokazać skrytkę gdzie pan John, ukrył swój majątek i...

Przerwał niespodziewanie wpół słowa.

- A później - zapytał Bandera - macie zamiar powrócić do tej chaty?

- Później? - powtórzył Metys, opuszczając wzrok ku ziemi, jakby nie chciał zdradzić swych myśli. - Później chcę załatwić swoje własne sprawy. Od śmierci pana Johna żyłem tylko po to, by wykonać jego polecenie. Gdy je wykonam, chcę żyć swoim własnym życiem. - Ton tych słów nie zachęcał do dalszych pytań.

## **SPADEK PO JOHNIIE BANDERZE**

Chatka Mattea stała na niezbyt szerokiej górskiej przełęczy, ograniczonej z jednej strony, tej mianowicie, z której przybył Bandera, niemal prostopadłą przełęczą, z drugiej zaś łagodnie opadającym zboczem.

Zbocze ciągnęło się na przestrzeni kilkuset metrów, docierając do obszernej, porośniętej szmaragdową trawą polany, otoczonej ze wszystkich pozostałych stron niedostępnymi, sterczącymi groźnie w niebo skałami. W dole, na de trawy poruszały się ospale niewielkie białe punkciki pasących się owiec. Było ich co najmniej kilkaset.

- Bezpieczne pastwisko - zauważył Bandera podjeżdżając przy boku peona do stoku.

- Tak - mruknął Matteo - pewnie, że bezpieczne. Ale gorzej z

doprowadzeniem owiec na łąkę...

- Czyżby tamtędy? - kiwnął Bandera poza siebie głową w kierunku karkołomnej ścieżki, którą z takim trudem sforsował.

- Innej drogi nie ma - wzruszył ramionami peon. - Przeprowadzano je po kilka sztuk. Gdy kiedyś spróbowano przepędzić większe stado, zważyło się całe w przepaść. Nie było siły żeby powstrzymać owce przed wskakiwaniem do przepaści w ślad za trykami, które spadły niechcący. Gdyby ktoś zadał sobie trud, by zejść na dół znalazłby całe podnóże zasłane kośćmi zwierząt. Przeszło tysiąc sztuk. Toteż zostawiono stado na miejscu. Wszystko tu zresztą jest: woda... pasza... Transportuje się na farmy tylko strzyżoną wełnę...

Zjeżdżali powoli po zboczu usianym odłamkami kamieni. Powietrze nieco się już oziębiło. Słońce zbliżało się do zachodniego pasma gór. Nie była to zbyt odpowiednia pora, jak Matteo od razu uprzedził, by wyruszać w mającą potrwać dłuższy czas wędrówkę. Bandera jednak nie chciał tracić ani chwili. Trawił go jakiś wewnętrzny ogień, nakazujący jak najprędzej uchylić całkowicie zasłonę przeszłości, okrywającą śmierć stryja. Za wszelką cenę chciał przeczytać dokumenty, pozostawione przez stryja, i mogące dać mu do ręki pewną broń przeciwko Carsleyowi. Diamenty w tej chwili mniej go obchodziły. A poza tym... Ann. Przecież niemal każdy przebyty metr górskiej wędrówki zbliżał go do możliwości rehabilitacji... i powrotu na farmę Deana. Gdy unieszkodliwi już Carsleya, będzie mógł bez przeszkód dowieść swej niewinności i wyjaśnić tragedię, jaka rozegrała się w Kanionie Słonej Rzeki. Czuł, że dopóki Carsley reprezentuje w Neavill prawo, nie ma żadnych szans. Dla tamtego była to niewątpliwie kwestia życia i śmierci. Ale dla Bandery również. Nawet



więcej niż życia...

Matteo nie zaproponował ani jednym słowem przeciwko natychmiastowemu rozpoczęciu wędrówki. Jemu również widocznie się śpieszyło, by wykonać polecenie zmarłego pana i przystąpić do realizacji jakichś sobie tylko wiadomych planów.

Gdy dotarli do polany położonej u podnóża górskiego zbocza, słońce przewaliło się już poza wierzchołki gór, rzucając na kamienie krwawe odbłaski swych promieni. W dolinie zapanował szary zmierzch, zapowiadający nadejście za kilka chwil zupełnej ciemności.

- Zanocujemy? - zapytał krótko Matteo, wskazując na wysoką trawę.

Bandera spojrzał przed siebie.

Przeciwny stok górski, do którego dotarli, wznosił się o wiele bardziej stromo aniżeli ten, którym zjechali do doliny. Gęsty mrok zaczął wpełzać na skałę, pnąc się coraz wyżej. Jeszcze tylko sam wierzchołek, podpierający jak się wydawało, jednostajnie szarą płachtę nieba, białł jaśniejszym pasmem.

- No - zaczął z powątpiewaniem - gdyby było możliwe...

- Dla mnie możliwe - przeciął lakonicznie Metys. - Znam tę drogę tak, że mógłbym nią iść z zawiązanymi oczyma. Nieraz wspinałem się po ciemku, by zobaczyć, czy wszystko jest w porządku...

- Cóż - Bandera rzucił nieufne spojrzenie na pokrytą mrokiem skałę - skoro mówicie, że możliwe...

- Możliwe, tak - Matteo obrzucił go przelotnym spojrzeniem, przy czym w ciemnościach jego źrenice zaśniły żółtym fosforyzującym blaskiem niby oczy drapieżnego zwierzęcia - ale niezbyt bezpieczne. Można łatwo skrócić kark...

Bandera zawahał się na chwilę. Nie, to na pewno nie będzie łatwa wspinaczka. Ale tracić cenny czas? Tamten - pomyślał o Carsleyu - na pewno nie traci ani jednej sekundy, by skonstruować jakiś plan obrony. A któż mógł przewidzieć, co wymyśli? Jest przebiegły, o tym Bandera już nieraz zdołał się przekonać. Gdyby mu pozostawić dość czasu do namysłu, na pewno zdoła się odpowiednio przygotować na każdy atak. Wie już przecież, że Bandera jest na wolności.

- Ha - westchnął cicho z rezygnacją - mówi się trudno. Może jakoś przecież nie skręcimy karków.

Ujął zdecydowanym ruchem ręki cugle, kierując konia ku kamienistej ścianie.

Matteo powitał tę decyzję jakimś nieokreślonym, skrzekliwym dźwiękiem.

Może to był śmiech, a może w ten sposób zwykł wyrażać swe zadowolenie. Nie czas jednak było się nad tym zastanawiać. Wspinaczka okazała się jeszcze trudniejsza, aniżeli Bandera oczekiwał. Zbocze pięło się coraz bardziej stromo.

Co chwila wynurzały się niespodziewanie z ciemności ostrokanciaste skały, o poszarpanych brzegach, pomiędzy którymi trzeba było się przeciskać niemal siłą. Poza tym Wojtek wyraźnie nie był przyzwyczajany do nocnych spacerów po górskich bezdrożach. Płoszył się na widok każdej wyrastającej po drodze skały, nie przestając niemal przez cały czas trwożnie parskać. Bandera trzymał mocno w rękach cugle, zdając sobie sprawę, że spłoszenie się konia mogłoby pociągnąć za sobą runięcie ich obu ze stromej skały.

Niski, kudłaty muł Mattea parł bez chwili zatrzymania przed siebie,

jak gdyby przebywana droga należała do najwygodniejszych na świecie.

Bandera pomimo całych swych wysiłków nie mógł skłonić Wojtka by dotrzymywał kroku mułowi Metysa. Zostawali coraz bardziej w tyle. Bandera musiał wyteżać wzrok, by dojrzeć w ciemnościach kudłaty kadłub muła, wskazujący mu drogę.

- No - mruknął do siebie z powątpiewaniem - jeżeli ich zgubimy?...

Na szczęście Metys obejrzał się i zobaczywszy, że koń Bandery nie może wytrzymać tempa, zaczął ściągać cugle.

- Gdy dotrzemy na wierzchołek, będzie trochę widniej - rzucił zachęcająco.

Wojtek zaczął sapać podejrzanie. Przyłożywszy dłoń do jego sierści, Bandera stwierdził, że była ona pokryta gęstym, lepkiem potem.

- Halo! - zawołał w ciemność.

- No? - odwrócił głowę Metys, wstrzymując nieco muła.

- Mój koń goni już resztkami sił - wyjaśnił niepewnym głosem Bandera. Miał przy tym dziwne uczucie, jakby to on ponosił winę za zmęczenie zwierzęcia.

- Trudno - mruknął Matteo. - Jakoś dolezie. Tutaj nie możemy się zatrzymać w żadnym wypadku. A na odwrót - błysnął żółtymi zębami w skąpym uśmiechu - już za późno...

- Jeszcze trochę, stary - szepnął Bandera, poklepując Wojtka po spoconym karku - trzymaj się!

Wojtek stęknął chrapliwie, potykając się niemal na każdym kamieniu. Bandera co chwila musiał ściągać mocno cugle, by nie dopuścić do upadku konia.

Jeszcze kilkanaście minut - rozmyślał posępnie - i zjedziemy z

powrotem w o wiele szybszym tempie, aniżeli zdołaliśmy się wdrapać. - To nie mogło już trwać długo. Koń w każdym razie nie byłby zdolny do długotrwałego wysiłku.

Bandera zaczął żałować zbyt pochopnie powziętej decyzji forsowania skały w ciemnościach. - Pośpiech, pośpiechem - pomyślał z powątpiewaniem - a jak skręcę kark, to w ogóle nigdy nie dotrę do tych dokumentów.

Unosił się lekko w strzemionach, chcąc choć w ten sposób ulżyć trochę wyczerpanemu zwierzęciu, ale to nie na wiele pomogło. Wojtek zaczął się chwiać na nogach.

Zastanawiał się już nad tym, czy nie zsiąść z konia, by dać mu odsapnąć, gdy wtem zupełnie niespodziewanie ciemność się rozjaśniła.

Dotarli do na szczyt. Był już najwyższy czas. Gdy zeskoczył na ziemię, poczuł, jak po ciele konia przebiegł krótki, urywany dreszcz.

- No - mruknął, zrywając jakieś nieokreślone, rosnące pomiędzy kamieniami badyle i trąc mocno spotniałą sierść zwierzęcia. - Jeszcze kilkadziesiąt metrów i bydlę wyciągnęłoby kopyta.

Matteo usiadł w kucki na kamieniach, przyglądając się obojętnie czynnościom Bandery. Sam nie dotknął swego muła nawet palcem. Zresztą nie zachodziła taka potrzeba. Po mule nie widać było najmniejszych oznak zmęczenia przebytą drogą. Parskał rażno, szukając paszy pomiędzy skałami.

- Tak - odsapnął Bandera, skończywszy wycieranie siwego wierzchowca - bodaj to takie bydlę jak pana...

- Ano - Matteo zaciągnął się kilka razy głęboko z fajki - piękne to ono nie jest, ale za to silne... Czy długo ma pan zamiar tu popasać? -

zapytał po chwili.

- Jak to? - drgnął Bandera, który miał wrażenie, że podróż, przynajmniej na dzisiejszą noc, jest skończona. - To nie będziemy tu nocować?

- Jak pan uważa - odpowiedział obojętnie tamten - ale zdawało mi się przedtem, jakoby było panu spieszo...

Bandera poruszył się nerwowo, zapominając o fajce, nie chcąc mimo jego usiłowań rozpaść się w wilgotnym powietrzu nocy. Czyż ten Metys zawsze będzie musiał mu przypominać o pośpiechu? Zaczynał go już złościć obojętny ton Mattea.

- Nie o mnie chodzi - burknął gniewnie, stając tuż nad Metysem - mój koń nie jest zdolny do dalszej podróży...

- Aha - spojrzenie żółtych oczu utkwilo na chwilę w twarzy Bandery - więc chodzi tylko o pańskiego konia?...

W jakiś Metys głosem Bandera wyczuł nutę niedowierzania. To go rozzłościło do reszty.

Żeby taki żółtek miał się nade mną litować? - pomyślał gniewnie. Prawdę mówiąc, sam też nie miałby nic przeciwko dłuższemu odpoczynkowi. Wydawało mu się, jak gdyby mozolna wspinaczka rozluźniła wszystkie kości w jego ciele.

- Tak - zawołał energicznie. - Ja jestem gotów, choćby w tej chwili...

- Cóż - Metys podniósł się ociężale z kamieni - skoro tak pan mówi...

Podszedł do Wojtka, któremu przyjrzał się uważnie, następnie zaś obmacał mięśnie, piersi i pęciny konia.

Bandera obserwował nieufnie jego manipulacje: uczono go przecież w Grudziądzu, jak się obchodzić z końmi, ale o takich tam historiach

nigdy nie słyszał.

- O ile o konia chodzi - odezwał się Metys, zakończywszy swe długie badanie - to wytrzyma dalszą podróż. Już dostatecznie odsapnął. A jeżeliby nawet nie wytrzymał... - urwał znacząco.

- A jeżeli nie wytrzyma - dorzucił ironicznie Bandera - to dalej będę maszerował na piechotę? Toście mieli na myśli?

- Tak - potwierdził poważnie, zdając się nie spostrzegać ironii Bandery. - Właśnie to miałem na myśli. Zresztą będą takie miejsca, że i tak będziemy musieli przebywać je piechotą...

- Świetnie - warknął Bandera, wskakując na siodło - więc jedziemy!

Wojtek podniósł łeb, patrząc na niego wzrokiem pełnym wyrzutu. Nie uważał, by zachowanie jego pana było tak całkiem w porządku. Dalsza wędrówka natychmiast po takim śmiertelnym wysiłku?

Metys miękkim, kocim ruchem dosiadł swego muła, i ruszył przodem.

Zaczęła się znowu bezkresna wędrówka w mroku.

Droga prowadziła teraz przez wąską, ale dość równą grań skalną. Nie była trudna, zmuszała jednak do nieustannej czujnej uwagi. Jeden fałszywy krok konia mógł pociągnąć za sobą katastrofę, z obu bowiem stron drogi ziały bezdenne przepaście, wypełnione gęstym mrokiem.

Bandera czuł, jak całe jego ciało ogarnia przemożne znużenie. Z trudem powstrzymywał się od zapadnięcia w drzemkę, do której nęciła go oprócz zmęczenia również monotonia kołyszących kroków konia.

Całym wysiłkiem woli powstrzymywał pierzchającą trzeźwość. Chwila drzemki łatwo mogłaby się przemienić w całą wieczność śmierci. Nie mógł ani na chwilę wypuścić z rąk cugli. Wojtek też był senny i raz po

raz opuszczał bezwładnie głowę ku ziemi, człapiąc powolnym, mechanicznym krokiem. Nie można było na tej wąskiej drodze zdać się tylko na niego.

Matteo wyraźnie wstrzymywał swego muła, nie chcąc widocznie wyczerpać do reszty sił wierzchowca Bandery.

Parli bez przerwy naprzód, przedzierając się przez leżącą na grani ciemność, zmieszaną z wilgotną mgłą.

Strzępki mokrych oparów wciskały się pod skórzaną bluzę, oblepiając całe ciało zimnym pancerzem, wywołującym febryczny dreszcz.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwała ta wędrówka, w czasie której nic się nie działo. Zatracił już świadomość jej celu. Pod zwałami senności, ugniatającej mu mózg, błyskała tylko jeszcze jedna myśl: za wszelką cenę kierować konia w ślad za pokrytym błyszczącą od wilgoci sierścią zadem muła, wskazującym drogę. Najmniejsze zboczenie - śmierć!

Coraz ciężiej przychodziło odganianie napastującej chęci snu. Coraz bardziej kadłub muła wraz z siedzącym na nim jeźdźcem rozpływał się przed oczyma w jakieś zamazane, pozbawione jakiegokolwiek sensu kontury.

- No - usłyszał w pewnym momencie głos Metysa dochodzący jak gdyby z przeogromnej odległości - pierwsza część podróży skończona.

Z trudem podniósł powieki opadające ciężarem na oczy, wpierając wzrok przed siebie.

Stawało się już szarawo. Zbliżał się świt. Noc mozolnej wędrówki dobiegała końca.

Znajdowali się na niewielkiej platformie, jakby przylepionej do niebotycznej skały wznoszącej się przed nimi. Nie było innej drogi aniżeli ta, którą przebyli.

Czyżbyśmy już dotarli do celu? - rozmyślał ospale, usiłując przegnać resztki odrętwienia. - Ależ chyba tak. Na pewno tak - odetchnął z ulgą, rozglądając się dookoła. Droga kończyła się niewątpliwie w tym miejscu.

- Tu? - wskazał ręką na skałę. Przy tym słowie poczuł dokuczliwy ból gardła. Całym ciałem wstrząsnął dreszcz.

Dobrze, że już - rozmyślał, sięgając dość niemrawym ruchem do kieszeni w poszukiwaniu papierosa. Skutki tej kąpieli we mgle nie kazały na pewno zbyt długo na siebie czekać. A jeżeli choroba zwali go z nóg, zanim osiągnie swój cel? Wtedy niewątpliwie musiałby nadejść koniec wszelkich zamierzeń...

- Tak - odpowiedział Metys, zsiadając ze swego muła. - Tu kończy się ta część drogi, jaką mogliśmy przebyć konno. Dalej będziemy wędrować na piechotę. Tam - wskazał obojętnym ruchem ręki na spiętrzoną przed nimi skałę.

- Tam? - powtórzył powoli Bandera, patrząc bezradnie na niemal prostopadłą ścianę.

Niedostępne urwiska, zwisające nad przepaścią, nie wydawały się możliwe do przebycia.

Otrzeźwiał w jednej chwili. Zapomniał też momentalnie o bólu gardła. Włóczył się kiedyś po Tatrach i uchodził nawet za zupełnie niezłego taternika, ale żeby pokusić się na taką drogę?

Jeżeli Metys mówił prawdę, a jego twarz nie wskazywała bynajmniej na chęć do żartów, to poranek zapowiadał się nie mniej ciekawie od



minionej nocy.

- Zmarzył pan? - spytał Matteo, złącząc niezgrabnie z muła. Bandera odniósł wrażenie, że w jego głosie dźwięczała nuta troskliwości.

- Ba - westchnął, zeskakując na ziemię - i jak jeszcze.

- No to może - podszedł ku niemu z wyciągniętą manierką - spróbuje pan tego na rozgrzewkę?

- Whisky? - spytał tęsknie Bandera, wyciągając skwapliwie rękę. Usta peona wykrzywiło coś na kształt uśmiechu.

- Nie - pokiwał jakby z ubolewaniem głową. - Na to mnie nie stać, ale za to pulque. Dobra. Własnej roboty.

- Hm - chrząknął nieufnie Bandera, nachylając nos nad otworem manierki. Pachniało całkiem niezachęcająco. Coś jakby nafta pomieszana z terpentyną i jeszcze z jakimiś innymi cuchnącymi świństwami. W każdym razie poprzez te wszystkie zapachy przebijał ostry odór wskazujący na wysoki procent alkoholu.

- Ostatecznie - mruknął, przytykając po chwili wahania manierkę do ust. Był naprawdę przemarznięty do kości.

I od razu zakrztusił się, oparzony palącym płynem.

Nie był nowicjuszem w picciu alkoholu i w szkole grudziądzkiej mawiano o nim, że ma „wyparzone gardło”, ale to, co zawierała manierka, znacznie przekraczało wytrzymałość jego krtani.

- Ufff - sapnął, skończywszy wreszcie kaszleć. - Witriol? - wskazał oczyma na trzymaną w ręku manierkę.

- Nie - zaśmiał się cicho Metys. - Meksykańska wódka, tyle że bardzo mocna...

- Wódka? - spojrział na niego spod oka. - Ano, skoro mówicie, że

wódka... - przytknął ponownie do ust manierkę. Tym razem poszło nieco lepiej. Zdołał przełknąć kilka łyków i już się ponownie nie zakrztusił. Gardło paliło, jakby połykał żywy ogień, ale w każdym razie była to naprawdę wódka. Teraz nie miał już co do tego najmniejszych wątpliwości. Tylko jaka wódka? Kiedyś w czasie jednej z pijatyk odważył się wypić szklaneczkę czystego spirytusu. Pamiętał do dzisiaj odniesione wówczas wrażenie. Jednak w porównaniu z pulque spirytus smakował jak letnia woda, zakropiona różanym olejkiem.

W każdym razie po chwili poczuł, jak po żyłach rozchodzi się błogosławione ciepło. Odważył się na jeszcze jeden łyk. Zimno przenikające całe ciało ustąpiło.

- Dziękuję - oddał manierkę - świństwo, ale przynajmniej grzeje.

- Cóż? - Matteo wetknął szyjkę manierki pomiędzy swe wąskie wargi, nie odejmując jej, dopóki bulgotała we wnętrzu choć jedna kropla płynu. - Więc jak pan uważa, idziemy?

Bandera wzruszył z rezygnacją ramionami. Kilka łyków pulque wpłynęło niewątpliwie dodatnio na jego samopoczucie.

- Mamy iść, to chodźmy - wcisnął głęboko na uszy kapelusz, obwiązując cugle Wojtka wokół jakiegoś sterczącego kamienia.

Droga nie należała do łatwych. Ściana sterczała niemal pionowo. Po każdym przebytym kroku Bandera zastanawiał się, czy zdołają wspiąć się jeszcze choć metr wyżej, ale Metys wynajdywał jakieś zupełnie niedostrzegalne przejścia, którymi można się było ostatecznie precisnąć.

Bandera całym ciałem przylegał do skały, patrząc z podziwem na Metysa, posuwającego się naprzód przy minimalnej pomocy rąk. Nie potrafiłby tego dokonać w żadnym wypadku. Nawet nie próbował

podnieść się na nogi. I tak zresztą kilka razy zamierał w bezruchu, gdy spod jego stóp wysuwały się obluzowane kamienie, spadając z głuchym stukotem w dół. Raz tylko jeden pogonił wzrokiem za staczającymi się głazami, ale i tego wystarczyło, by poczuł silny zawrót głowy. A przecież nie był skłonny do zawrotów. Musiał przymknąć czym prędzej oczy, by nie runąć w dół. Rozwierająca się tuż pod jego nogami przepaść ziała przeraźliwą głębokością. W dole zalegały jeszcze gęste ciemności, podczas gdy na skałę, na którą się wdzierali, padały już pierwsze promienie wstającego słońca. Nie, to wszystko razem nie stwarzało bynajmniej warunków przyjemnej wspinaczki... I poza tym ta skała ze zwiertzałego piaskowca, grożąca w każdej chwili rozkruszeniem się pod ciężarem ciała...

Więcej już nie odważył się oderwać oczu od widniejącej ponad nim sylwetki Metysa.

Pięli się coraz wyżej, jakby chcąc dotrzeć do słońca, wynurzającego się już w całej swej okazałości ponad wierzchołkiem skały.

W pewnym momencie ledwie zdążył uchylić głowę przed wielkim odłamkiem piaskowca, widocznie strąconym nogami Metysa. Kamienne pociski zaczęły coraz częściej przelatywać tuż ponad nim. Skała stawała się coraz bardziej krucha.

- Otóż to - mruknął, poczuwszy bolesne uderzenie kamienia w plecy  
- tego tylko brakowało.

Sytuacja robiła się zupełnie nieprzyjemna. I tak ledwie potrafił się wspinać po tej karkołomnej drodze, a do tego teraz w każdej chwili zaczęło mu grozić strącenie w dół przez spadające odłamki.

Gdy wreszcie dotarli na szczyt, pot gęsto spływał mu po czole, a

ciało miał dokładnie posiniaczone kamieniami.

- No - westchnął, przycupnąwszy na wąskiej grani. - Nie powiem, aby to była rozkoszna przechadzka.

- Tak - potwierdził obojętnie Matteo - dlatego właśnie pan John wybrał to miejsce na swój schowek.

- Tu? - Bandera rozejrzał się ze zdumieniem po gładkiej, jednolitej skale.

- Tak... Prawie tu... Jeszcze kawałek tędy - wskazał niedbałym ruchem w głąb zięjącej po lewej stronie przepaści.

Wzrok Bandery pobiegł w kierunku wskazanym brunatną ręką. - Jak to - spojrzał na niego z ukosa, sądząc, że żartuje - tędy? - kiwnął głową w kierunku ciemnobrunatnego, prawie czerwonego masywu, spadającego prostopadle w dół ku pograżonemu w półmroku wąwozowi.

Po wąskich ustach Metysa przewinęło się przelotnie coś w rodzaju uśmiechu. Zdumienie Bandery nie mogło ujść jego uwadze.

- Cóż - wzruszył obojętnie ramionami - przynajmniej już niedaleko...

Zamilkł zajęty nabijaniem fajki tytoniem. Widocznie postanowił odpocząć przez kilka chwil po karkołomnej, nużącej wspinaczce.

Bandera nie odrywał wzroku od ciągnącego się pod nimi kanionu. Coś w jego wyglądzie wydawało mu się znajome. Te wyniosłe, poszarpane, zastygłe w kamiennej martwocie skały... Ten półmrok zalegający wąwóz pomimo światła słonecznego zalewającego wierzchołek... I wreszcie żółtawa nitka rzeki biegnąca wzdłuż sterczących w dole nierównych głazów... Matowe fale nie odbijające promieni słońca...

Ależ tak, chyba się nie mylił. Nie mógł się mylić... przecież ten krajobraz będzie pamiętał do końca swego życia, jak długo by ono miało

trwać. Tyle razy przewijał się w czasie koszmarów sennych...

- To? - zapytał nieco ochryplym głosem, wskazując na kanion. Metys spojrzął spod oka na pobladłą twarz Bandery. Nie mógł zrozumieć jego wzburzenia.

- Co? - zajrzał w głąb wąwozu.

- No, to wszystko - zawołał niecierpliwie, zakreślając szerokim gestem kanion - jak się nazywa?

- Ach, o to chodzi? - był wyraźnie coraz bardziej zdziwiony niezrozumiałym zachowaniem Bandery. - Kanion Słonej Rzeki...

### KANION SŁONEJ RZEKI!

Bandera wpatrywał się w mroczną czeluść jak urzeczony. Tak - teraz nie miał już najmniejszych wątpliwości. Przecież to te same dziwacznych kształtów głązy, na których wtedy... Znajdował się niemal tuż nad miejscem, gdzie przed kilku miesiącami natknął się niespodziewanie na scenę mordy.

- Zna pan to miejsce? - zapytał, obserwując go badawczo Matteo.

- O - mruknął ponuro - czyje znam?...

Nieco drżącymi rękoma zaczął poszukiwać po kieszeniach fajki i kapciucha. Zanim zdołał jako tako powstrzymać dygot mięśni, rozsypał po kamieniach co najmniej ćwierć zapasu tytoniu.

Niespodzianka była jednak nieco za silna jak na jego mocno nadszarpnięte ostatnimi przejściami nerwy.

Wyobraźnia rysowała przed jego oczyma rozciągniętą nieruchomo na kamieniach postać zamordowanego Hiszpana i krwiożercze błyski w źrenicach Caudreau... Tak jak wtedy...

- Tak - powtórzył, zaciągając się dymem - znam to miejsce. To było

wszystko, co powiedział na ten temat. Nie uważał, by należało wdawać się w szczegóły, zanim sprawa nie będzie ostatecznie wyjaśniona.

Przez kilka chwil siedzieli w zupełnym milczeniu.

- No - oświadczył wreszcie Matteo, wytrząsając popiół z fajki - czas w dalszą drogę.

Odwiązał cienkie, długie, rzemienne lasso, którym był opasany i umocowawszy go przemyślną pętlą wokół jednego z gładów, sterczących nieco poniżej wierzchołka, zaczął ześlizgiwać się po zboczu, trzymając oburącz rzemień.

- Zaczekajcie tu na mnie! - zawołał, gdy się już znajdował o kilka metrów poniżej platformy skalnej - zaraz wam przyniosę to, co stryj kazał doręczyć...

Bandera patrzył z niepokojem w ślad za opuszczającym się coraz niżej Metysem.

Cienkie lasso naprężało się pod jego ciężarem jak struna. W każdej chwili mogło pęknąć... a wtedy nie byłoby dla niego żadnego ratunku. Runąłby niewątpliwie po kamiennej ścianie aż do kanionu widniejącego o kilkaset metrów poniżej.

Wreszcie Matteo, dotarwszy niemal do końca lassa, zatrzymał się, wpierając w zbocze stopy obute w mokasyny.

Przybliżył twarz do samej skały i po chwili zagłębił prawą rękę w jakąś niewidoczną z góry szczelinę.

Poszukiwania nie trwały długo. Może niecałą minutę. W jego rękach zjawiała się ciemna, sporych rozmiarów kasetka, wydobyta ze skalnej skrytki.

Gdy w kilka minut później znalazł się z powrotem na górze, twarz

jego nie zdradzała żadnych wrażeń wywołanych akrobatyczną wędrówką nad przepaścią. Tylko na brunatnej skórze czoła wystąpiło kilka drobniutkich, ledwie dostrzegalnych kropelek potu, świadczących o wysiłku, jakiego ten wyczyn wymagał.

- Proszę - wyciągnął ku Banderze czarną stalową kasetkę. - Pan John to dla was zostawił.

Banderę ogarnęło dziwne wzruszenie. Mozolna wędrówka dobiegła końca. Obracał przez chwilę w rękach zamkniętą szkatułkę, na której nie mógł dostrzec nic w rodzaju zamka.

- Jak to się otwiera? - zapytał wreszcie.

- Ach tak - lekka mgiełka zasuwająca oczy Metysa wskazywała, że i do tego kamiennego serca znalazło drogę wzruszenie - zapomniałem o tym... - rzekł, odbierając z rąk Bandery kasetkę.

Ledwie widoczna manipulacja brunatnych palców koło uchwytu kasetki i stalowe wieczko odskoczyło ze zgrzytem. Bandera zajrzał do wnętrza.

Na samym wierzchołku leżała sporych rozmiarów szara koperta. Umieszczony na jej wierzchniej stronie napis nieco już wyblakł, ale pomimo tego można było go odczytać bez trudu: „Do tego z mojej rodziny, kto przybędzie na wezwanie”.

Bandera ostrożnie, niemal z pietyzmem, wziął do ręki kopertę. Zrudziałe litery wydawały się pisane krwią.

Powoli rozerwał kopertę, wydobywając z niej arkusz papieru zapisany nierównym, przerywanym pismem.

Pomiędzy literami czerniały wyblakłe plamy... ale to już nie był atrament... to była krew...

„Umieram... Syn mój Stanisław... już nie żyje...

Mordercy otaczają dom... Za chwilę wedrą się do niego... Oświadczam, że zamordował nas Carsley... Cały mój majątek zapisuję bratu memu, Józefowi, albo bratankowi Jackowi, zależnie od tego, który z nich przyjedzie... Dokumenty znajdujące się w niniejszej kasetce udowodnią zbrodnie popełnione przez Carsleya... a więc: zamordowanie Liffone'a... zamordowanie Andrews'a... Zamordowanie...”.

Następowała długa lista morderstw, o które zmarły oskarżał Carsleya. Wydawało się wprost nieprawdopodobne, by jeden człowiek mógł mieć na swym sumieniu tyle zbrodni.

Dalsze zdania stawały się coraz bardziej niewyraźne, coraz bardziej zamazane. Litery rozbiegały się na wszystkie strony. Widać było, że pisząca je ręka ostatkiem gasnących sił utrzymywała pióro.

U dołu arkusza gęste, rdzawe plamy pokrywały niemal całą treść, uniemożliwiając jej odczytanie.

Jeszcze jedno czytelne, wypisane wielkimi koślawymi literami zdanie:

„NIECH BÓG SKARZE CARSLEYA!!!”

Dalej jakiś niewyraźny zygzak mający prawdopodobnie stanowić początek niedokończonego podpisu, nakreślony na papierze zeszywniałym od wsiąkłej przed laty krwi.

Bandera poczuł, jak coś piekącego wzbiera pod jego powiekami. Litery tragicznego testamentu rozplływały się przed oczyma.

- Mój pan... umarł, pisząc ten list - powiedział cicho Matteo, patrząc gdzieś w bok - w chwili, gdy chciał się podpisać, wydał ostatnie tchnienie...



Bandera pogrążył się w ponurej zadumie, odstawiając kasetkę na bok. Coś zabrzęczało metalicznym dźwiękiem w jej wnętrzu.

Nie zainteresował się tym w najmniejszym nawet stopniu. Nic go nie obchodziło poza trzymanym w ręku dokumentem.

W dole szarzał kanion, gdzie Carsley przed kilku miesiącami rozpoczął swą piekielną intrygę. Na wierzchołku jego niedoszła ofiara trzymała w ręku oskarżycielski dokument, wzywający krwawymi zgłoskami Niebo o pomstę.

Karząca Nemezis wyciągała po głowę Carsleya ramię dzierżące miecz sprawiedliwości.

## **SPRAWIEDLIWOŚCI STAŁO SIĘ ZADOŚĆ**

To wszystko zważyło się na głowę doktora Meadowa od razu. Jeszcze nie zdążył przetrwać rewelacji Bandery na temat Carsleya, jeszcze nie zdołał nawet sam wobec siebie skonkretyzować swego stanowiska w tej całej zawilej historii, a tu taki nowy pasztet...

Poczta otrzymywana przez doktora odznaczała się zawsze obfitością: czasopisma i wydawnictwa lekarskie, korespondencja od pacjentów, no i od czasu do czasu jakieś tam urzędowe pisemka. Od tego nie można było się niekiedy opędzić, ale dawniej załatwiał to wszystko Carsley we własnym zakresie. Miał dziwny dar umiejętności korespondowania z władzami urzędowymi. Od doktora wymagano tylko podpisu.

Teraz, oczywiście, wszystko uległo zmianie. Carsley nie miał już głowy do korespondencji, więc doktor zmuszony był załatwiać ją sam. Załatwiał, jak mógł. Ostatecznie biurko w jego urzędowym gabinecie

miało dość pojemne szuflady, choć po tych kilku miesiącach urzędowa korespondencja, pomimo upychania, zaczynała grozić rozsadzeniem solidnego mebla.

Doktor Meadow nie przejmował się tym zbytnio. Kiedyś się tam załatwi - myślał bez zbytniego niepokoju, wsuwając niekiedy nie rozpieczętowane nawet koperty do biurka. Tego jednak, co przyniosła dzisiejsza poczta, nie można było zbyć w ten sposób. Choćby tylko ze względu na rozmiar zalakowanego pakietu. I poza tym Laboratorium przy Centrali Służby Śledczej”? - Nie, lekarz w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek miał jakieś stosunki z tą instytucją.

Przez dłuższą chwilę obracał niezdecydowanie ciężki pakiet w rękach.

Co tam mogło być w środku? Ważył co najmniej dobre kilka funtów.

A może to jakaś pomyłka? - pomyślał z pewnym odcieniem nadziei, sprawdzając adres.

Niestety, napis na kopercie wykluczał wszelką wątpliwość:

„Doktor J. G. Meadow, Sędzia Pokoju w Neavill”.

Wreszcie się zdecydował. Zewnętrzne oględziny pakietu, choćby przeprowadzone nawet najbardziej drobiazgowo, nie mogły załatwić sprawy, jaką miało Laboratorium do Sędziego Pokoju. Z ciężkim westchnieniem zabrał się do zrywania lakowych pieczęci, strzegących tajemnicy przesyłki. Jednak nie bez pewnej nieufnej ostrożności. Któż mógł wiedzieć, jakiego rodzaju przedmioty ma zwyczaj przysyłać Centrala Służby Śledczej prowincjonalnym sędziom pokoju?

Gruby papier opakowania ustępował z trudem pod palcami doktora. Musiał dopomóc sobie nożem. Nawiasem mówiąc, nóż, który nawinał się

pod rękę doktorowi, okazał się czymś w rodzaju chirurgicznego lancetu. Ale to oczywiście nie miało najmniejszego znaczenia. Doktor Meadow miał zwyczaj starannej sterylizacji narzędzi przed przystąpieniem do operacji. Nawet nieraz dziwiło to pacjentów, niezbyt wrażliwych na wymogi higieny lekarskiej.

Papier wreszcie ustąpił pod stalowym ostrzem. Na biurko wysypały się jakieś błyszczące fotografie, podobne na pierwszy rzut oka do rentgenogramów, całą bowiem ich powierzchnię zasnuwały niewyraźne zamazane linie i smugi. Następnie wypadły oddzielne arkusze pokryte pismem maszynowym, a w końcu... uderzyły z metalicznym dźwiękiem o blat biurka trzy rewolwery. Te same rewolwery które przed trzema miesiącami zostały zrabowane z gabinetu szeryfa Carsleya. Zrabowane przez Bandere!

- Hm - mruknął doktor, rozsiadając się wygodnie przy biurku - a więc tak.

Teraz nie miał już najmniejszej wątpliwości, jakie znaczenie miała urzędowa przesyłka.

Zanim, jeszcze przystąpił do przeglądania dokumentów i fotografii, wiedział, co zawierają.

Jak się okazało, nie mylił się wcale w swych przypuszczeniach.

Ekspertyza, choć najeżona dziesiątkami fachowych terminów, okazała się zupełnie zrozumiała co do swych wyników. Zrozumiała i... jednoznaczna.

... po rozwinięciu pancierza pocisku i porównaniu z liniami gwintu rewolweru oznaczonego... dokonaniu powiększeń i fotografii... spirala gwintu i nacięcia na powierzchni pancierza pocisku... odległość pomiędzy

spiralami... badanie mikroskopowe ciągłości spirali... Laboratorium doszło do następujących wniosków:

1) pocisk wydobyty ze zwłok Almawiry pochodzi z rewolweru należącego do Caudreau;

2) pocisk wydobyty ze zwłok Caudreau pochodzi z rewolweru osk. Bandery;

3) pocisk wydobyty z rany osk. Bandery pochodzi z rewolweru należącego do Caudreau.

Ze względu na charakterystyczne różnice w spiralach gwintu dostarczonych rewolwerów, powstałe z powodu rozmaitego stopnia ich zatarcia, Laboratorium uznało za możliwe odpowiedzieć na pytania, postawione przez Pana Sędziego ze 100% pewnością co do wyników ekspertyzy... koszta...”.

Ale to już nie było ważne. Doktor zdecydowanym ruchem odłożył dokumenty na bok, wpatrując się z zadumą w refleks słoneczny, jaśniejący nad biurkiem.

Tak, teraz sprawę morderstwa w Kanionie Słonej Rzeki należało uznać za wyjaśnioną... Bandera mówił prawdę.

Za jego słowami stała powaga urzędowej ekspertyzy.

Ale co dalej?

Czy Carlsley po prostu omylił się w kierunku prowadzonego w tej sprawie śledztwa, czy też umyślnie skierował je na fałszywe tory?

Jakież dowody przemawiały za winą Carsleya poza wewnętrznym przekonaniem doktora?

- Ha - westchnął, gasząc w popielniczce machinalnym ruchem do połowy tylko wypalonego papierosa i sięgając po nowego - to wciąż

jeszcze nie jest takie proste, jakby się wydawało. Rozpocząć tamtą sprawę sprzed dwudziestu lat, o której wszyscy już zapomnieli? A skąd wziąć dowody? Tu trzeba nie byle jakiej zręczności i doświadczenia w prowadzeniu śledztwa. No tak, ale przecież Carsley...

- Tfu! - splunął ze złością na wywoskowane deski podłogi - co za nonsens.

Dopiero teraz zorientował się, że Carsley mu w tej sprawie nie może pomóc. Sprawa morderstwa została rozwikłana, za to sytuacja doktora Meadowa niewątpliwie stawała się coraz bardziej zagmatwana.

Kto miał prowadzić śledztwo w całej tej plątanie, skoro Carsley jest bądź co bądź podejrzany? A może potrzeba skargi poszkodowanego lub jego rodziny?

Doktor gubił się w zawłościach przepisów prawnych. Kiedyś, na początku swej kadencji, jako sędzia pokoju, próbował rozgryźć kruczki procedury, ale rychło dał spokój. To było bardziej skomplikowane od najcięższej operacji.

Zresztą Carsley znał się na tym wszystkim tak dobrze.

A teraz?

- Ażeby to wszystko... - mknął gniewnie, sięgając znowu po przysłane dokumenty, jakby spodziewał się znaleźć w nich odpowiedź na dręczące go wątpliwości.

- Witam, pana doktora.

Spokojny, równy głos zabrzmiał w drzwiach bawialni. Tak jak za pierwszym razem.

Doktor zerwał się z fotela jak oparzony, biegnąc wprost ku drzwiom.

- Jak się masz - wyciągnął serdecznym mchem dłoń do przybyłego.

W oczach Bandery załśniły płomyki radości.

Gest doktora oznajmił mu dokładniej od wszelkich wyjaśnień o wynikach ekspertyzy. A przecież do ostatniej chwili obawiał się, by w laboratorium nie popełniono jakiejś omyłki, która by go ostatecznie pogrążyła.

Wszystko stawało się możliwe, gdy człowieka prześladował pech.

Ale widocznie zła passa już dobiegała końca.

Uścisnął mocno rękę doktora.

- Stawiłem się, jak to obiecałem za pierwszą bytnością - oświadczył po prostu.

- Pewno - uśmiechnął się doktor, wskazując szerokim gestem na rozłożone na biurku dokumenty. - Teraz twoja pozycja wobec prawa jest zupełnie inna niż wtedy.

- Więc wynik ekspertyzy jest dla mnie korzystny? - zapytał na wszelki wypadek.

- I jak jeszcze - potwierdził doktor - dla ciebie, oczywiście, korzystny, ale... hm - zamilkł nagle, chrząknąwszy niepewnie. - Siadaj - dodał po chwili, wskazując na fotel stojący przed biurkiem. Chciał jeszcze nieco odwlec chwilę ostatecznych wyjaśnień z człowiekiem skrzywdzonym przez prawo. Sprawa, o której mieli rozmawiać, nie należała w żadnym razie do zbyt przyjemnych.

Bandera usiadł na wskazanym fotelu, wpatrując się w milczeniu w twarz doktora. Wciąż jeszcze mimo wszystko był oskarżonym, stającym przed sędzią.

Doktor zerknął na niego kilkakrotnie z ukosa. Wolałby niewątpliwie, aby gość pierwszy poruszył całą tę sprawę.

- Może papierosa? - podsunął niklowane pudełko.

- Dziękuję - odmówił uprzejmie Bandera - ale jeżeli pan doktor pozwoli - sięgnął do kieszeni po fajkę, którą zapalił, zaciągając się dymem.

- Tak - mruknął niezdecydowanie doktor, bębniąc końcami palców po blacie biurka jakiegoś bliżej nie określonego marsza o mocno skomplikowanej melodii - więc przybywacie...

- Jestem tu już od kilku dni, w okolicy - wyjaśnił Bandera. - Czekałem tylko na nadejście pisma z Centrali... inne swoje zabiegi w związku z moją sprawą już skończyłem...

Doktor spojrzał na niego z ukosa.

- Inne zabiegi? - powtórzył przeciągle.

- Tak - skinął głową Bandera. - Przecież pozostaje sprawa Carsleya...

- O - wzdrygnął się doktor - właśnie o niego chodzi... Więc cóż z tym Carsleyem?

- Proszę - Bandera wyjął z zanadrza zwitek dokumentów, wręczając je doktorowi - to jest sprawa Carsleya - twarz jego stężała w wyrazie kamiennej powagi.

Doktor bez słowa zaczął odczytywać papiery.

Testament Johna Bandery.

OSKARŻAM! - wołały zdania nabrzmiałe krwią. OSKARŻAM! - wołały krwawe plamy widniejące na papierze, niby urzędowe pieczęcie potwierdzające prawdę zawartych w nim słów.

NIECH BÓG SKARZE CARSELEYA!!! - krzyczały gromkim głosem koślawe litery stawiane ręką umierającego.

A potem dokumenty. Znowu oskarżenia. Morderstwa, zbrodnie.

Podpisy świadków. Jedni z nich już dawno zmarli, inni wyemigrowali z okolicy. Ale nie wszyscy. Niektórych doktor znał osobiście. Ci ludzie jeszcze tutaj mieszkali. Milczeli. Może zapomnieli, a może obawiali się wszechwładnego szeryfa?

Tu właściwie nie zachodziła potrzeba żadnego śledztwa. Sprawa była aż nadto wyraźna. Dowody winy Carsleya co do zarzuconych mu zbrodni przejrzyste, niezaprzeczalne, nieodwołalne...

Długie lata zapomnienia i bezkarności wpadały w nicość. Głos zza grobu wzywał Carsleya przed trybunał sprawiedliwości.

Tyle lat.

- O - poruszył się niespokojnie w fotelu doktor - tyle lat, a więc może przedawnienie? Istniało przecież coś takiego w kodeksie. To już doktor zdołał kiedyś zauważyć. Więc tyle wołających o pomstę do nieba zbrodni miałyby pozostać bez kary? Morderca miał zatriumfować? Nie, tu coś było nie w porządku.

Sięgnął powolnym ruchem po czerwono oprawioną, okazałych rozmiarów książkę, leżącą na biurku.

Kurz pokrywający okładkę wskazywał, że do książki tej nie zaglądano od dawna. Od bardzo dawna nawet. Cóż zresztą w tym dziwnego? Kadencja doktora trwała już prawie trzy lata.

Oczywiście, Lesiter, jak zawsze, nieporządnie sprząta - pomyślał mimochodem doktor, gdy w czasie otwierania tomu podniósł się nikły obłok drobinek pyłu.

Przede wszystkim zajrzał na ostatnią stronicę, do spisu rozdziałów. Ten sposób poszukiwania w kodeksie wydawał mu się jednak najpewniejszy.



Cienki palec, o krótko obciętym paznokciu, wędrował po gęsto zadrukowanych kolumnach.

- O, jest - mruknął półgłosem, gdy jego palec zatrzymał się na tytule „Przedawnienie”. - Stronica pięćset dwudziesta piąta - westchnął z pewnym poczuciem winy, zaczynając przewracać kartki.

Dotarł do trzechsetnej...

W tej samej chwili trzask otwieranych gwałtownie drzwi wejściowych zmusił go do zaprzestania dalszych poszukiwań.

Po prostu niesamowity trzask. Zupełnie jak gdyby ktoś usiłował wysadzić dom z posad. Ręka Bandery opadła bezwiednym ruchem na kolbę pistoletu.

Doktor odwrócił się energicznie razem z fotelem, na którym siedział. Wolał znajdować się twarzą do niebezpieczeństwa.

Do gabinetu wpadł zziajany peon.

- Panie doktorze! - zawołał ochryplym głosem, przewracając błyszczącymi białkami oczu. - Nieszczęście...

- O - doktor podniósł się energicznym ruchem - co się stało?

- Carsley... - zaczął ciężko dysząc - Carsley zabity...

- Carsley? - doktor opadł znów bezwładnie na krzesło. Patrzył przez chwilę w milczeniu na peona osłupiałym ze zdumienia wzrokiem. Nagle drgnął gwałtownie.

- Carsley zabity, a więc...

Spojrzał wprost w oczy siedzącemu nieruchomo Banderze.

- Carsley zabity! - powtórzył znacząco wieść przyniesioną przez peona.

Bandera pobladł.

Zdał sobie w jednej chwili sprawę ze znaczenia tej nowiny, podejrzenie siłą rzeczy musi paść na bratanka jego ofiary. Na kresach wciąż jeszcze obowiązywało prawo zemsty rodowej.

- Ja... - wyjąkał niepewnym głosem - ja nic... o tym nie wiem...

Pomimo wysiłku nie mógł opanować drżenia głosu, choć rozumiał, że to może niewątpliwie stanowić jeszcze jeden dowód domniemanej winy.

Rysy twarzy doktora spoważniały.

- Ba - mruknął głosem pełnym powątpiewania - nic o tym nie wiesz?

Ton jego głosu daleko odbiegał od dotychczasowej uprzejmości.

Bandera milcząc, wzruszył ramionami. Cóż miał powiedzieć na swoją obronę? I tak mu nie uwierzą. Okoliczności przemawiały wyraźnie przeciwko niemu. Znow nadciągała zła passa.

- Jestem do pańskiej dyspozycji, doktorze - oświadczył sucho.

Wyjął z pochwy rewolwer i trzymając go za lufę, podał doktorowi.

Doktor wyciągnął rękę, zawahał się przez chwilę, po czym opuścił ją znowu.

- Nie - powiedział wreszcie - jeszcze nie. Tym czasem jeszcze za wcześnie, by was aresztować, skoro i tak nie macie zamiaru uciekać.

Bandera obojętnym ruchem wsunął rewolwer do pochwy. To nie miało i tak żadnego znaczenia. Nie posłużyłby się w tych warunkach bronią w żadnym wypadku.

- Gdzie znajduje się... ciało? - zapytał po chwili doktor peona, przyglądającego się ze zdumieniem tej niezrozumiałej dla niego scenie.

- W... w gabinecie... cały we krwi... zarżnięty... - odpowiedział peon.

- Zarżnięty? - oczy doktora rozszerzył wyraz zdumienia. Ta

okoliczność morderstwa stanowiła niewątpliwą niespodziankę.

Znowu rzucił przelotne spojrzenie na nieruchomą twarz Bandery.

Nie, nie wyobrażał sobie, by on był do tego zdolny. Kula rewolwerowa tak, ale nóż?...

Głos doktora zatracił nieco ze swej urzędowej oschłości, gdy zwrócił się teraz do Bandery.

- Chciałbym, byś udał się ze mną na miejsce zbrodni - oświadczył. Pomimo uprzejmej formy zaproszenie to należało raczej traktować jako rozkaz.

Tak też zrozumiał je Bandera, podnosząc się z krzesła bez słowa sprzeciwu.

Drogę do domu Carsleya odbyli w zupełnym milczeniu. W bramie stał rosły kowboj, energicznie odpędzając cisnący się tłum ciekawskich. Poznawszy doktora, podniósł rękę do kapelusza.

- Czy jest ktoś wewnątrz? - zapytał go doktor.

- Nie - zaraportował dość służbiście - oprócz zastępcy szeryfa, Ruster, nie ma nikogo. Ruster polecił mi, bym nikogo nie wpuszczał do przyjscia pana doktora.

- Nie wpuszczajcie więc nadal - rozkazał doktor, wchodząc do ogrodu.

Bandera wlokł się jak na ścięcie.

Czyż wszystkie zbrodnie, popełnione na południowym zachodzie Ameryki, będą mi spadały na głowę? - rozmyślał ponuro, idąc za doktorem w kierunku widniejącego poza zasłoną zieleni, wymalowanego jaskrawo żółtą farbą domku.

Z wnętrza wyszedł im na spotkanie, wywabiony widocznie szmerem

kroków, przysadzisty, krępy mężczyzna w skórzanej bluzie.

Widniejąca nad prawą kieszenią niewielka srebrna gwiazda wskazywała, że jest on przedstawicielem prawa.

- Nareszcie pan sędzia - zawołał dźwięcznym głosem, wyciągając obie ręce. - Przyznam się, miałem już zupełnie dosyć samotnej pogawędki z trupem - dodał rubasznie. - A?... - bąknął pytająco, dojrzwawszy idącego za doktorem Banderę.

- Ach tak - spostrzegł się doktor - panowie się nie znają, szeryf Ruster... mister Bandera...

- Co? - Ruster wytrzeszczył na Banderę oczy, jakby niespodziewanie ujrzał przed sobą jakąś niesamowitą zjawę.

- Tak - potwierdził z lekkim uśmiechem doktor, widząc jego zdumienie. - Jacek Bandera, poszukiwany listem gończym w związku ze sprawą Kanionu Słonej Rzeki...

Wyciągnięta w pierwszej chwili ku Banderze prawica Rusterza gwałtownie opadła. Wzrok jego prześliznął się po całej postaci Bandery, zatrzymując się dłuższą chwilę na wystającej z pochwy rękojeści rewolweru.

Nie. Tego w żaden sposób nie mógł zrozumieć. Nie znał wprawdzie więźnia, Carsley bowiem nikogo do niego nie dopuszczał, ale słyszał o nim dostatecznie wiele.

Jeżeli to jest ten sam Bandera, to dlaczego nie ma kajdanek na rękach? Dlaczego nie odebrano mu nawet rewolweru?

Nie powiedział jednak ani jednego słowa na ten temat. Ostatecznie przybysz przyszedł w towarzystwie sędziego, a ten niewątpliwie wie, co ma robić.

- Tak - rzucił nieokreślonym głosem w przestrzeń, odpowiadając na swe rozmyślenia. - Pan sędzia wejdzie do środka? - zapytał, wskazując ręką na wznoszący się przed nimi dom.

Było to niewątpliwie czysto retoryczne pytanie, jeżeli bowiem Meadow tu przyszedł, to oczywiście nie w żadnym innym celu, jak w tym, by obejrzyć miejsce zbrodni. Ale Ruster chciał zyskać nieco na czasie. Nie bardzo wiedział, jak ma się ustosunkować do sprowadzonego przez doktora przestępcy.

Postanowił w końcu udawać, że go w ogóle nie dostrzega. To wydawało mu się najmniej obowiązujące.

Nie mógł przecież przewidzieć, jak się sprawa rozwinie.

Przez cały czas dotrzymywał wiernie swego postanowienia. Zwracał się wyłącznie do doktora, na Banderę zaś nawet ani razu nie spojrzał.

Weszli teraz na schody oświetlane przefiltrowanym przez kolorowe szybki światłem słonecznym.

Przed drzwiami, prowadzącymi do gabinetu Carsleya, Ruster nieco się zawahał, trzymając rękę na klamce.

- To... to jest naprawdę okropne - oświadczył cicho.

- To i cóż z tego, że okropne? - obruszył się doktor.

Słowa zabrzmiały nieco opryskliwie. Trudno się mu było jednak dziwić. Ostatnie czasy mocno nadszarpnęły jego opanowanie.

- Macie tu może jakie histeryczne panienki czy co?

- Przepraszam - rzucił lakonicznie Ruster, otwierając jednym szarpnięciem drzwi.

Jego nerwy też były nieco naprężone. Z Carsleyem łączyły go przecież przyjacielskie stosunki.

To, co ujrzeli, wyglądało w rzeczywistości okropnie: krew, wszędzie krew.

Gdy podeszli bliżej, oczom ich przedstawił się w całej swej ohydnej grozie widok ciała straszliwie zmasakrowanego szaleńczymi ciosami.

Doktor pochylił się nad trupem, zaczynając pobieżne oględziny. Gdy się wreszcie wyprostował, twarz jego zupełnie zszarzała.

- Tak - mruknął, przy czym głos jego brzmiał całkiem niewyraźnie - prawdziwa rzeźnia. Zamordowany został około trzech, czterech godzin temu...

Przy tych słowach spojrzął spod oka na Bandereę. Morderstwo zostało dokonane przed jego wizytą w gabinecie doktora. Bandera opuścił głowę. I to też przemawiało przeciwko niemu. Zdawał sobie doskonale sprawę ze znaczenia uwagi doktora.

- Coście znaleźli? - zwrócił się z kolei doktor do Ruster.

- Hm - wzruszył ramionami zapytany - niewiele, ale w każdym razie coś niecoś. Wiem, kto dokonał morderstwa.

- Jak to - drgnął doktor - jużeście odkryli?

Spojrzenie Bandery zawisło wprost na ustach szeryfa. Wiedział, że słowa, jakie za chwilę wypowie, mogą zadecydować o jego życiu lub śmierci.

- No - podrapał się w zamyśleniu w podbródek Ruster - wyraziłem się może cokolwiek nieściśle. Nie jestem jeszcze pewien, jak się nazywa morderca, ale wiem, że jest nim ktoś z rodziny czy też przyjaciół Johna Bandery...

Słowa Ruster'a uderzyły w Bandereę niby cios obuchem. Wtulił głowę głęboko w ramiona.

Więc i to jeszcze - pomyślał z rezygnacją. Zaiste, jakieś niesamowite fatum prześladowuje go od chwili, w której wstąpił na amerykańską ziemię.

- Skąd wiecie? - zapytał żywo doktor. Pomimo wszystko nie mógł jakoś uwierzyć, by ta masakra została dokonana rękami Bandery.

- Cóż - Ruster wydał lekceważąco wargi. - To nie przedstawiało najmniejszych trudności. Morderca okazał się na tyle uprzejmy, że pozostawił nam swój bilet wizytowy... Oto - wskazał ręką na ścianę koło okna.

Przyjrząwszy się wskazanemu miejscu, dopiero teraz spostrzegli, że krwawe plamy układają się w pozalewane, koślawe litery.

Z trudem zdołali odcyfrować makabryczny napis na białym wapie: „ZEMSTA ZA JOHNA BANDERĘ”.

- To wszystko? - zapytał znowu doktor po chwili milczącego wpatrywania się w ścianę.

- Nie - zaprzeczył - mamy coś jeszcze... ale... - zamilkł niezdecydowanie.

- No? - doktor był wyraźnie zaniepokojony.

- Może by pan doktor... to jest sędzia... poprosił tego... hm... no, tego pana... - wskazał lekkim ruchem ręki na Bandereę - aby zechciał wyskoczyć przez okno...

- Co? - wytrzeszczył oczy doktor - ma wyskakiwać przez okno...

- Nno tak - wycedził Ruster - skoro nazywa się Bandera...

- Ale po co?

Ruster zamiast odpowiedzi spojrział znacząco na doktora.

- Ach tak - zmieszał się nieco doktor, który dopiero teraz zrozumiał całą niewłaściwość pytania w obecności podejrzanego - rozumiem...

- Więc gdyby pan zechciał... - zwrócił się do Bandery. Bandera jednym skokiem przesadził parapet. Znalazł się w gąszczu krzaków rosnących pod ścianą.

- A teraz z powrotem... jeśli łaska - rozkazał Ruster, wychylając się w ślad za nim.

Bandera wykonał rozkaz bez słowa sprzeciwu, aczkolwiek nie rozumiał celu ćwiczeń gimnastycznych.

Ruster obserwował bacznie każdy, nawet najmniejszy ruch jego ciała.

- Hm, tak - chrząknął, gdy Bandera znalazł się znowu z powrotem w pokoju - od razu tak myślałem. To nie mister Bandera jest mordercą Carsleya...

Doktor oparł się ciężko o biurko. Nie mógł nadażyć za rozumowaniem Rusterza.

Bandera też był nie mniej zdumiony nieoczekiwanym wnioskiem, wyciągniętym przez szeryfa z jego skoków.

- Jak pan do tego doszedł? - spytał wreszcie doktor.

- Ano - przez usta Rusterza przemknął nie pozbawiony wyrazu triumfu uśmiezek - to bardzo proste. Obserwowałem, w jaki sposób mister Bandera wyskakuje przez okno. Robi to zresztą w taki sam sposób, jak mniej więcej każdy młody mężczyzna jego wzrostu. Morderca Carsleya był o wiele niższy, no i starszy od pana Bandery. Choć - dodał po chwili - mister Bandera też wchodził kiedyś przez okno do gabinetu Carsleya. Ale to miało miejsce jakieś kilka tygodni temu...

Doktor spojrział na Rusterza z pewnym niedowierzaniem.

- W jaki sposób wykombinowaliście to wszystko?



- Nic trudnego - wzruszył ramionami - tynk na ścianach jest dość łycheo gatunku. Odpada pod silniejszym naciskiem. Znalazłem zadrapania na murze w miejscach, gdzie morderca opierał rękę o ścianę. Wszystkie okazały się o wiele poniżej tych miejsc, o które opierał się mister Bandera przy forsowaniu okna. Znalazłem również ślady innych zadrapań, na wysokości odpowiadającej wzrostowi Bandery, te ślady jednak pochodzą z dawniejszego już czasu. Cegła, którą widać spod wykruszonego tynku, zdążyła szernieć pod wpływem deszczów i wilgoci. Zresztą to jeszcze nie wszystko. Oto - wydobyl z kieszeni zwitek papieru. Gdy go rozwinął, wyjrzał strzępek kolorowej materii - co wyjąłem z zaciśniętych w pośmiertnym skurczu palców Carsleya. Jest to - wyjaśnił doktorowi - chustka z rodzaju tych, jakie noszą pod kapeluszem peoni z tamtej strony granicy. Oprócz tego na chustce znalazłem cztery włosy pochodzące niewątpliwie z głowy mordercy. Trzy czarne i jeden siwy... To chyba wystarczy?

- Pewno - doktor musnął przelotnym spojrzeniem ciemno-blond czuprynę Bandery - zupełnie wystarczy.

Odetchnął z ulgą. Myśl, że to ohydne morderstwo zostało popełnione przez człowieka, do którego zaczął odczuwać niewytłumaczoną sympatię, była dlań nieznośna.

Bandera przysłonił oczy powiekami, by nie zdradzić swych myśli przed badawczym spojrzeniem Rustera.

Teraz dopiero zrozumiał, co miał Matteo na myśli, kiedy oświadczył, że ma zamiar zająć się swymi sprawami.

- Pan wie, kto jest mordercą? - zwrócił się niespodziewanie do Bandery Ruster.

Bandera drgnął, wyrwany tym pytaniem z zadumy. Spojrzał wprost w oczy szeryfowi, wytrzymując jego ostre spojrzenie, choć nie przyszło mu to bez pewnego wysiłku.

- To bez znaczenia - powiedział po chwili poważnym, jakby nieco uroczystym tonem - czy wiem. Nie ma na świecie takiej siły, która by mnie potrafiła zmusić do wyjawienia jego nazwiska. Zresztą - dodał po chwili - to, co się tu stało, nie jest zbrodnią, a morderca nie jest zbrodniarzem...

- Co? - zachnął się Ruster.

- Tak - potwierdził niespodziewanie doktor - Bandera ma rację. To - omiótł wzrokiem zalany krwią pokój - nie było zbrodnią, pomimo całej swej okropności. Sprawiedliwości stało się zadość - zakończył cichym, niemniej przeto dobitnym głosem.

Ruster, zdumiony do ostateczności, wytrzeszczył oczy, patrząc to na jednego, to na drugiego. Takich słów nigdy by się nie spodziewał usłyszeć z ust sędziego, przy zwłokach zamordowanej bestialsko ofiary.

Otwierał kilkakrotnie usta, chcąc coś powiedzieć, nie zdołał jednak wydobyć ani jednego dźwięku z krtani zaciśniętej skurczem zdumienia.

- Posłuchaj, Ruster - zaczął łagodnie doktor - opowiem panu o tym, co się działo w Neavill dwadzieścia lat temu...

## **POWRÓT**

- Nie - zakończył gniewnie swe ponure rozmyślenia Dean. - To przecież nie ma najmniejszego sensu...

Nawet nie zauważył, jak mu wygasła fajka. To już było coś niezwykłego: Dean nie zwracający uwagi na swą fajkę? W to by chyba

nikt spośród znających Deana nie uwierzył. A jednak działo się tak naprawdę.

Ale i sytuacja, w jakiej się teraz znalazł, wyglądała zgoła niezwykle. Po raz pierwszy bodaj w życiu okoliczności tak się splotły, że odczuwał wobec nich swą zupełną bezsilność. Dotychczas zawsze sobie jakoś potrafił radzić z przeciwnościami stającymi mu na drodze, ale teraz?

Cóż mógł poradzić na to, że twarz Ann z każdym dniem stawała się coraz bledsza, że jedynaczka po prostu nikła w oczach?

Znał przyczynę, ale właśnie wobec niej odczuwał najzupełniejszą bezradność.

Bo przyczyną podkrążonych oczu Ann był ten obieżyświat, który skradł jej serce i zaniknął bez śladu...

Przecież szukał. Dawał ogłoszenia do miejscowych dzienników, ba, zwracał się nawet w tej sprawie do szeryfa Winsneya i nic. Żadnego rezultatu. Po prostu cały ten Clement, czy jak się tam w rzeczywistości nazywał, wpadł jak kamień w wodę.

A Ann?

Właśnie to było najgorsze.

Z początku, gdy ten narzeczony z nieprawdziwego zdarzenia zniknął niespodziewanie z farmy, Dean ucieszył się w głębi duszy. Może zapomni - myślał o córce. Ale gdzie tam. W nieobecny zakochała się bodaj czy nie jeszcze bardziej.

Po prostu nie mógł poznać swej zawsze żywej, tryskającej temperamentem jedynaczki w tej bladej, słaniającej się niemal na nogach pannie, błakającej się po farmie jak cień.

Zżymał się, fukał gniewnie, choć serce krajało mu się z bólu - nic nie

pomogło.

- Dobrze, tatku - mówiła potulnym głosem, gdy burczał na nią, że przesiaduje w domu. Dosiadała swej Betty, aby... po upływie jakiejś pół godziny powrócić znowu na farmę.

Koń, strzelba, to wszystko, co dawniej stanowiło dla niej cały świat - teraz nie istniało zupełnie. I ta potulność. Ta szarpiąca ojcowskie serce potulność. - Dobrze, tatku - tak, tatku - masz rację, tatku - słyszał w odpowiedzi na wszystkie swoje perswazje. To miała być córka Deana? Zawsze była kochanym dzieckiem radującym dumę ojcowską, ale jeżeli chodziło o posłuszeństwo? Słuchała ojca tylko wtedy, gdy jej to pasowało. A jeżeli nie - błyskawice strzelały z jej szarych oczu, tupiała, aż drżały deski podłogi, wskakiwała na konia - i już jej nie było. Uciekała gdzieś het, w świat i nie wracała, dopóki gniew nie wyszumiał z głowy. Dobrze jeszcze, jeżeli wracała po kilku godzinach. A czasami musiał jej wyczekać znacznie dłużej. Pamięta raz, gdy pokłócili się o wysłanie jej na pensję do miasta. Jak wypadła na pędzącej en carriere kłaczy poza ogrodzenie farmy, jak czekał na jej powrót... okrągłe dwa tygodnie. Wszyscy kowboje przeszukiwali okoliczne lasy. Wtedy właśnie w bujnej czuprynie Deana pojawiły się pierwsze siwe włosy. Okazało się, że pojechała do swej przyjaciółki, Gary Peabody. A farma Peabodych leżała w odległości co najmniej trzydziestu pięciu mil. Trzydzieści pięć mil górskiego szlaku dla młodej dziewczyny? Bagatela.

Ale wolał taką. To była jego krew. Szumiała, burzyła się. Wiedział, jak z nią postępować. Sam przecież był kiedyś taki sam...

A dziś? - dobrze, tatku... tak, tatku. - O gniewie ani mowy. Już nie tylko błyskawic, ale choćby małej iskierki nie mógł dojrzeć w jej przygasłych

oczach.

- Tfu, do diabła - splunął gniewnie, wstając ciężko z fotela.

Rozmyślania na nic się zdały. I tak nie potrafił niczego z sensem wymyślić. Tu mógłby zaradzić tylko Clement, ale właśnie jego nie było. W bawialni przy oknie siedziała Ann z jakąś robótką w rękach. Ann z robótką? To przecież koniec świata. Pochylił się nad nią, ogarniając zafrasowanym spojrzeniem wymizerowaną twarz.

- Może byś... - zaczął. Urwał jednak, zniechęcony, wpół słowa. I tak wiedział, co usłyszy.

- Co? - podniosła na niego zmęczone bezsennością oczy.

- Nic... nic... córeczko. - Poglądził ją delikatnie po płowych włosach. Gdy znajdował się już w drzwiach, z jego piersi wyrwało się ciężkie, długo powstrzymywane westchnienie. Jeżeli to się miało przeciągać dłużej, zaczynało zagrażać jakimś nieszczęściem. Wiedział przecież dobrze, że pod zewnętrznymi pozorami spokoju burzy się rozpaczliwie krew dziewczyny.

Ann, usłyszawszy westchnienie dobywające się z piersi ojca, pogoniła oczyma za muskularną postacią znikającą w drzwiach.

Nie mogła nie dostrzec przygnębienia ojca, nie mogła nie zauważyć przygarbienia tych dotychczas tak bardzo prostych ramion. Zdawała też sobie doskonale sprawę z przyczyny jego zmartwienia, ale pomimo wysiłków nie była w stanie ukryć swej rozpacz.

To okazało się od niej silniejsze. Jacek przesłonił jej sobą cały świat...

Dean ociężałym krokiem poszedł w stronę zagród.

Właśnie wpędzano do nich bydło. Kowboje przy akompaniamencie soczystych przekleństw wpychali we wrota rozpryskujące się co chwila

stado. Panowało zamieszanie. Tak zresztą jak zawsze w takich chwilach. Ale Deana wszystko teraz drażniło. Wydawało mu się, że robota szła dziś bardziej niezdarnie niż kiedykolwiek.

Patrzył przez kilka chwil na stłoczoną gromadę.

Ponad falującą rzeką rogatych głów wytrysnęły nagle dwa potężne cielska buhajów, atakujących się ostrzami rogów. Wokół walczących zakłębiło się i stado utknęło w swej powolnej wędrówce. Poprzez gęstwinę bydłych ciał zaczęło się przepychać kilku jeźdźców, wrzeszcząc groźnie i wymachując w powietrzu potężnymi nahajami. W całej tej scenie nie było nic nadzwyczajnego, historie takie zdarzały się niemal w czasie każdej przeprawy z pastwiska do zagród.

Dean jednak, obserwując posepnie trwające przed ogrodzeniem zamieszanie, poczuł wzbierający w piersi gniew.

- Do diabła z nimi - mruknął ze złością - poruszają się jak muchy w smole...

Wreszcie nie wytrzymał.

Przywołał do siebie Seltersa, którego dostrzegł po tamtej stronie stada.

Selters podjechał, objeżdżając wielkim łukiem stłoczone bydło.

- Co się dzisiaj tu dzieje? - zapytał gniewnie Dean, wskazując ręką stado.

- Jak to co? - spojrzał na niego nieco zdziwiony Selters. - Buhaje się pobodły...

- Pobodły... pobodły - powtórzył uszczypliwym tonem - to trzeba je rozdzielić, a nie przyglądać się jak malowane lale...

Selters wzruszył obojętnie ramionami. Nie mógł zrozumieć powodu gniewu chlebowodawcy.

- Właśnie je rozdzielają - odpowiedział, nie tracąc ani odrobinę swej

flegmy.

Obojętny ton zarządcy rozzłościł Deana jeszcze bardziej.

- Et - obruszył się podnosząc głos - taka tam robota. Ruszacie się wszyscy, jakbyście spali w siodłach...

Selters spojrzał nań z ukosa. Tyle lat przebywał już na farmie, a jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło widzieć Deana wściekającego się bez powodu. A przecież teraz żadnego powodu nie było.

- Nie rozumiem, o co wam chodzi - powiedział powoli. - Ludzie pracują jak zwykle...

- Jak zwykle? - Dean podniósł głos niemal do krzyku. Czuł, że nie ma racji i to go jeszcze więcej jęczyło. - To właśnie najgorsze. Zawsze pracujecie jak niedołęgi. Bydłęta się marnują, a te wszystkie łamagi dłubią w nosie zamiast ich pilnować. Nie wiem tylko, po co was wszystkich tu trzymam! Selters spojrzał mu badawczo w twarz. Nie zwykł nigdy puszczać płazem obrazy, ale... Wyniszczone rysy i posępne spojrzenie mówiły same za siebie. To nie był ten sam Dean, którego znał od tylu lat. Jakieś ciężkie zmartwienie wypłoszyło uśmiech z tej zawsze pogodnej twarzy.

Zamiast gniewu poczuł wzbierające w sercu współczucie. Coś, co potrafiło ugiąć ten mocarny charakter, musiało być naprawdę nie byle jakim ciosem.

Wbił wzrok w ziemię, nie odpowiadając ani słowem na wymyślanie.

Niech się wyzłości - pomyślał, puszczając mimo uszu słowa, wciąż jeszcze wykrzykiwane przez Deana - może mu ulży...

Wreszcie Dean opamiętał się, milknąc tak samo nagle, jak zaczął.

Buhaje już dawno przestały ze sobą walczyć i ostatnie sztuki bydła przechodziły przez wrota corralu.

Dean spojrzał na ogrodzenie, następnie przeniósł wzrok na milczącą

postać Seltersa i bolesne uczucie wstydu zdławiło go za gardło. Był niesprawiedliwy. Wyraźnie niesprawiedliwy, a to przecież nigdy dotąd mu się nie zdarzyło.

- Przepraszam was, Selters - wykrztusił zdławionym głosem - nie miałem racji.

Wykręcił się ostro na pięcie, i odszedł w stronę ciemnej linii lasu. Selters patrzył za nim dłuższą chwilę w zamyśleniu.

- Tak - mruknął, sięgając do kieszeni po fajkę - coś się zaczyna dziać niedobrego na farmie... żeby Dean w ten sposób?

Powoli ruszył w kierunku grupy kowbojów. Dean szaleje... panienka też stała się taka jakaś, jakby ją ktoś odmienił... i ten Clement...

- O - aż szarpnął cugłami na niespodziewaną myśl, nagle zabłysła w mózgu - Clement i panienka? Ależ tak. Nie znał się wprawdzie na tego rodzaju sprawach, ale to się jedno z drugim wiązało jak ogniwa tego samego łańcucha. Gdy Clement zniknął niespodziewanie z farmy, panienka straciła humor... a potem Dean. - No - mruknął drapiąc się po brodzie w zamyśleniu - dlaczego ten bydlak - pomyślał niechętnie o Jacku - właściwie uciekł z farmy?

Zaczęło się ściemniać.

Dean w bezcelowej włóczędze dotarł do pierwszych drzew lasu. Chciał opóźnić chwilę powrotu do domu. Po co się miał śpieszyć? By zobaczyć znowu przygasłe oczy Ann?

Wykopię tego durnia spod ziemi - rozmyślał, idąc wzdłuż zielonej gęstwiny - i przyprowadzę na farmę. Choćbym go miał ciągnąć na lasso. Niech wreszcie powie, co myśli. Ann nie może się tak dłużej męczyć. Zdawał sobie jednak sprawę z całej nierealności takiej decyzji. Gdzie go



miał właściwie szukać?

Drgnął nagle, opuszczając rękę na kolbę rewolweru, wyrwany niespodziewanie z zadumy szelestem listowia.

Nasłuchiwał przez chwilę.

Przez las przedzierało się co najmniej kilku jeźdźców. Nadciągali wyraźnie ku miejscu, gdzie się znajdował.

- Ba - mruknął zdumiony, obejmując zdecydowanym chwytem rękojeść - o tej porze?

Wyteżył wzrok, usiłując przebić ciemniejącą w zmroku zieloną zasłonę. Okolica aż się roiła od rozmaitych opryszków.

Spomiędzy drzew wyłoniła się niewyraźna sylwetka jeźdźca. Na widok stojącego w polu Deana, wstrzymał konia gwałtownym ściągnięciem cugli, a jego ręka powędrowała ku zawieszonym u siodła olstrom.

W mroku zabłysły białka jego oczu, wpatrzonych w Deana. Dzielili ich przestrzeń około dziesięciu metrów. Przez krótką chwilę obydwaj zamarli w bezruchu.

- O! - zawołał jeździec, przerywając pierwszy milczenie. - Toż to Dean. Witam - Dean poznał wesoły głos szeryfa Winsneya.

- Dobry wieczór - mruknął nieokreślonym tonem. Nie czuł nastroju do rozmowy z kimkolwiek.

Szeryf podjechał bliżej. Za nim wychyliły się spomiędzy drzew sylwetki jeszcze kilku jeźdźców.

Dean zauważył mdły błysk luf przewieszonych przez siodła karabinków.

- Cóż to - mruknął nieco zdziwiony - na wojennej ścieżce?

- Coś w tym rodzaju - zaśmiał się Winsney. - Wesoły Joe wychylił znowu nosa z gór i zaczyna dokazywać. Przedwczoraj złożył wizytę

Thompsonowi z Czarnej Polany...

- No i...? - zapytał Dean cokolwiek zaniepokojonym tonem. Do Czarnej Polany nie było więcej aniżeli trzydzieści mil.

- Ano - wzruszył ramionami szeryf - tym razem nie bardzo mu się udało. Po prostu spóźnił się o kilka dni, Thompson bowiem zawiózł parę tysięcy do Jointon na ratę długu. Bandyci zdołali zrabować raptem około stu pięćdziesięciu dolarów i trochę małowartościowych łachów...

- A Thompson?

- Najadł się strachu, to wszystko. Powiązali ich jak barany, ale nikomu nie zrobili żadnej poważniejszej krzywdy. Nikt nie oczekiwał napadu, to i się nie bronili... Nie zauważył pan w okolicy czegoś podejrzanego? - zapytał po chwili.

- Nie. - Dean zapalił fajkę. - U nas, jak dotąd, wszystko w porządku. Muszę jednak uprzedzić ludzi, aby się mieli na baczności. Do gór niedaleko...

- Nie zaszkodzi... to pewne - potwierdził szeryf. - Zresztą my będziemy się tu włóczyli przez jakiś czas. Obawiamy się, by Joe nie zechciał sobie powetować pudła.

- Może byście zajechali do mnie na chwilę? - zaproponował zupełnie szczerze. Ostatecznie Ann trochę się rozerwie, pogadawszy z ludźmi.

- Dziękuję, ale może innym razem - odmówił szeryf. - Chcielibyśmy się trochę przejechać po lesie. Licho nie śpi.

- A - zniżył głos Dean - nie słyszeliście czego o... - zawahał się chwilę. Ostatecznie nie należało to znów do tak wielkich przyjemności wypytywać o tego obieżyświata - o Clemencie?

W mroku zabielały zęby Winsneya wyszczerzone w szerokim uśmiechu.

- O... Clemencie? - powtórzył z dziwną intonacją w głosie. - Nie. O nim nic nie słyszałem. Ale mam nadzieję, że niedługo dowiecie się co nieco na jego temat...

Przy ostatnich słowach zrobił tajemniczą minę. Ten znowu co? - zachnął się w duchu Dean. - Żarty sobie jakieś ze mnie stroi?

Z wysiłkiem zdusił cisnące się na wargi opryskliwe słowa. Więcej go już nie będę pytał - postanowił.

- No, bywajcie - machnął przyjacielsko ręką Winsney - wkrótce się zapewne zobaczymy...

- Bardzo będziemy wam radzi - oświadczył Dean.

Ton tych słów wypadł jednak o wiele mniej uprzejmie, aniżeli zamierzał je wypowiedzieć.

Po chwili jeźdźcy zniknęli w ciemnej gęstwinie lasu.

Do tego wszystkiego jeszcze Wesoly Joe ze swą kompanią do kompletu - rozmyślał ponuro Dean, wracając powoli w stronę farmy. - Nie ma co.

Zapowiada się całkiem rozkosznie.

Siadając do kolacji, zdołał wywołać na wargi coś na kształt uśmiechu, co nie przyszło mu bez większego wysiłku.

Zaczął opowiadać o napadzie Wesołego Joego na farmę Thompsona, starając się zainteresować Ann.

Ale to wszystko nie na wiele się zdało. Ann siedziała przy stole jak nieobecna, odpowiadając jedynie na te zadane bezpośrednio pytania, których nie mogła pominąć milczeniem.

Wyraz jej oczu wskazywał wyraźnie, że myśli jej błądzą daleko.

Na pewno rozmyśla o tym podejrzanym typie - żywał się w duchu zniechęcony Dean, milknąc z rezygnacją wpół słowa.

To wszystko nie prowadziło do niczego.

Wreszcie się zdecydował. Musi za wszelką cenę wyjaśnić sytuację. Tak dłużej nie może trwać w żadnym razie.

- Ann - zaczął poważnym tonem, patrząc z tkliwością na pochyloną na piersi głowę jedynaczki.

- Co, tatku? - podniosła na niego zmęczone oczy.

- Musimy pomówić ze sobą poważnie. Sama rozumiesz...

- Rozumiem, tatku - opuściła znowu oczy, utkwivszy wzrok w stojącym przed nią talerzu.

Zaczyna się... - westchnął w duchu Dean, otaczając twarz kłębamii dymu.

Potulny, bezbarwny głos córki rwał mu serce na strzępy.

- Musisz się opanować - ciągnął dalej.

- Nie mogę, tatku. - Opuściła jeszcze niżej głowę. Deanowi wydawało się, że jej ramionami wstrząsa konwulsyjne drżenie.

Z trudem powstrzymał ogarniającą go chęć, by ją porwać w objęcia i przycisnąć skołatana głowę do swej piersi. Ale to nie miałoby żadnego sensu. Na taką apatię mogła zaradzić jedynie stanowczość. Gdy się odezwał znowu, głos jego pozbawiony był zupełnie poprzedniej troskliwości.

- Ann - powiedział łagodnie - dalsze zadreczanie się nie prowadzi do niczego. Pomyśl, minęły cztery miesiące...

- Wiem, tatku - głos jej brzmiał ledwo dosłyszalnym szeptem - cztery miesiące i jedenaście dni...

- Przez cały ten czas Clement nie dał o sobie najmniejszego znaku życia...

- urwał, wpatrując się w jej przesłoniętą włosami twarz.

Milczała. Tylko mocno zaciśnięte wargi świadczyły, że słyszy jego słowa.

- On już nie wróci...

- Wróci! - zawołała z mocą, zrywając się gwałtownie z krzesła. W jej oczach zalśniły płomienie, tak jak dawniej. - Na pewno wróci. - Stała przed Deanem z pałającą ciemnym rumieńcem twarzą. - Nie masz prawa tak mówić...

- Ale... - próbował jeszcze wytłumaczyć.

- Nie - tupnęła w podłogę - nie chcę słuchać, jeżeli masz zamiar mówić dalej w ten sposób. Nie wróciłby tylko w tym wypadku, gdyby już nie żył. Ale Jacek żyje... czuję to wyraźnie, i wróci...

Drzwi do bawialni otworzyły się bezszelestnie. Zaaferowani rozmową, nie zauważyli tego.

- Masz rację, kochanie - odezwał się drżący ze wzruszenia głos - już wrócił...

- Jacek!!! - jednym skokiem znalazła się przy nim i zawisła mu na szyi. Przytulił ją mocno do siebie.

- Dziękuję ci, kochanie - gładził delikatnie zwichrzone włosy - za twą wiarę we mnie, wróciłbym, gdybym nawet musiał czołgać się na czworakach tysiące mil.

- Jacek... mój jedyny - obejmowała go kurczowo ramionami, jakby w obawie, by jej znowu nie znikł - tak strasznie długo cię nie było... - wreszcie zaniosła się łkaniem. Po raz pierwszy odkąd opuścił farmę. Ale to były łzy radości.

Dean, osłupiały ze zdumienia, patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę. Wszystko to stało się tak nagle. A on już naprawdę stracił nadzieję, by chłopak powrócił. Wreszcie odzyskał zdolność ruchów. Podniósł się z krzesła, i wyciągnął rękę ku przybyszowi. Odczuwał zupełnie szczerą

radość. Skoro wrócił, Ann będzie szczęśliwa, a to przecież było najważniejsze. Jej oczy znowu jaśniały iskrzącym blaskiem. Ponura zmora cierpienia odpływała gdzieś w przepaść niebytu.

- Jak się masz, Clement - zawołał niemal wesołym głosem.

Jacek wyprostował się, podnosząc dumnie głowę.

- Nie - zaprzeczył żywo, dźwięcznym głosem, pozbawionym tych głuchych nutek niepewności, jakie przedtem tak często w nim brzmiały - już nie Clement. Jestem Jacek Bandera. Nie wracałem do was, zanim nie zmyłem ze swego nazwiska plamy haniebnego podejrzenia. Teraz jest już ono zupełnie czyste. Mogę je nosić z podniesionym czołem i śmiało zaofiarować ukochanej kobiecie. Nie ma na nim już nawet cienia. Panie Dean - głos jego stał się uroczysty - mam zaszczyt prosić pana o rękę jego córki. Kocham ją ponad wszystko na świecie i poświęcę całe życie, aby ją uszczęśliwić...

Ann przytuliła się jeszcze mocniej do muskularnej postaci Bandery. Na jej zapłakaną twarz wypłynął promienny uśmiech szczęścia.

Dean ze zdziwieniem poczuł, jak zapiekło go coś pod powiekami. Było to dla niego całkiem nie znane dotychczas uczucie.

## **WIZYTA WESOŁEGO JOEGO**

Nadeszły radosne dni, przepojone szczęściem.

Ciężkie chmury, zawisłe nad farmą, odpłynęły w dal. Ann odzyskała swój radosny śmiech, oczy jej znowu lśniły blaskiem diamentów, a wraz z nią odzyskali pogodny nastrój wszyscy mieszkańcy farmy.

Dean wprost promieniał zadowoleniem, tym większym po przebytych

udrękach rozpaczliwej obawy o jedynaczkę. Zresztą miał przecież niemało powodów do zadowolenia. Bandera w poufnej rozmowie opowiedział mu wszystko o sobie. Nie były to rzeczy przykre dla uszu ojca jego przyszłej żony. Cóż, człowiek o nieposzlakowanej przeszłości, całkiem zamożny dzięki spadkowi po stryju i do tego dyplomowany prawnik - to przecież partia, o jakiej właściwie nie mógł nawet marzyć w tej głuszy. A że zabierze Ann za morze?...

Tak, to jedno mąciło radość Deana z powodu wyboru córki. Bo młodzi zdecydowali się zamieszkać w ojczyźnie Bandery, dalekiej Polsce.

Pocieszał się jedynie ich obietnicą odwiedzania co roku farmy. - Trudno - gasił w sobie energicznie bolesny skurcz, chwytający za serce na myśl o rozłące - byle tylko ona była szczęśliwa. - A wierzył, że Bandera potrafi jej dać szczęście. Ba, już jej właściwie dał. Dean nigdyjeszcze dotychczas nie widział swej córki tak bardzo szczęśliwej, jak teraz. Ojcowskie serce nie mogło się przecież w tym pomylić. Polubił szczerze tego chłopaka, choć mu zabierał Ann.

Narzeczeni spędzali razem cały czas dzielący ich od ślubu, wyznaczonego za miesiąc, nie rozłączając się niemal na chwilę.

Tyle mieli sobie do powiedzenia.

Bandera w długich, nie kończących się rozmowach odmalował przed Ann swe życie, prawie od dzieciństwa.

Słuchała chciwie, pochłaniając jego słowa, wpatrzona rozkochanymi oczyma w twarz narzeczonego: Warszawa... szkoła wojskowa... wszystko takie barwne i takie inne od tego, z czego składało się jej życie.

Wyczarowywał przed jej oczyma wizję dalekiej ojczyzny, w której dotychczas częściej chmury zasłaniały horyzont, aniżeli jaśniało słońce.

Opowiadał jej głosem nabrzmiałym powagą o krwi przelewanej przez dziesiątki tysięcy obywateli w celu scementowania zrębów budowanego państwa. O znojnym trudzie. O radościach i zwątpieniach. Oczyma duszy widziała dziesięcioletniego chłopca w mundurze wojskowym, pomagającego w miarę swych słabych sił dorosłym obrońcom ojczyzny. I setki innych wątłych, młodzieńczych ramion dźwigających ciężar ponad siły.

Opowiadał o wszystkim. O dobrym i złym. Chciał, by znała jego kraj ojczysty. Gdy pogrążony w głębokiej zadumie wspomniął o zachwaszczonych ugorach czekających na nowych, silnych, pełnych zapału i idei ludzi, postanowiła sama.

- Jacku - oświadczyła, kładąc mu rękę na ramieniu - musimy tam powrócić. Twoje siły należą do Polski.

Ucałował gorąco w podzięce jej śniadą dłoń.

- I ja - dodała po chwili - będę w miarę moich sił i możliwości pracować dla twojej... dla mojej przyszłej ojczyzny.

- Ale - zajrzał jej głęboko w oczy - czy ci nie będzie żal zostawić tego - zakreślił wokoło szerokim gestem ręki - wszystkiego...

Zamyśliła się przez chwilę.

- Tak - oświadczyła wreszcie. - Będzie mi żal. Ale nie potrafiłabym tu pozostać, nawet z tobą, wiedząc, że obowiązek wzywa cię gdzie indziej...

Tego właśnie dnia oświadczyli Deanowi o swym postanowieniu zamieszkania na stałe w Polsce.

Dean nie zaprotestował ani jednym słowem, choć po jego twarzy przemknął mroczny cień.

- Tak - oświadczył opanowanym głosem - to nie jest, oczywiście, dla mnie



bardzo radosna wieść, ale Jacek ma rację. Jego miejsce jest w kraju ojczystym, a twoje - zwrócił się do córki, przyciskając ją mocno do piersi - przy jego boku. Tak być powinno. A ja... - machnął ręką pełnym rezygnacji ruchem.

- Tatku - przytuliła policzek do jego szorstkiej twarzy - będziemy co roku przyjeżdżać do ciebie na wakacje... prawda, Jacku? - spojrzała błagalnie na narzeczonego.

- Oczywiście - potwierdził Bandera. - Ale mimo to nie widzę przyczyny, dla której nie mielibyśmy oglądać ojca w czasie zimy w... Polsce. Przecież wakacje na farmie rozpoczynają się właśnie zimą.

- Szczerze mówiąc - uśmiechnął się Dean - nie powiedziałbym, aby twoje zdanie co do naszych wakacji tak bardzo znowu pokrywało się z prawdą. Ostatecznie jednak, jak mam wrażenie, farma nie ulegnie zagładzie, gdybym nawet zdecydował się ją opuścić na parę tygodni...

- No widzisz, tatku. - Ann podziękowała ojcu serdecznym pocałunkiem. - Przyjedziesz do nas... do Polski...

Przyzwyczała się już uważać nieznaną Polskę za swą drugą ojczyznę.

Do kolacji zasiedli we troje w nastroju niemal uroczystym. Nic dziwnego, każdy miniony dzień zbliżał nadejście chwili rozstania.

Nawet Bandera nie mógł się opędzić jakiemuś niewyraźnemu uczuciu.

Tęsknił za krajem ojczystym, tęsknił do ojca i wszystkich swoich, pozostawionych za morzem, a przecież zdążył już pokochać wspaniałą dzikość przyrody amerykańskich kresów i na myśl o wyjeździe czuł lekkie kłucie w sercu. Cóż, to życie było zupełnie odmienne od tego, do jakiego przywykł dotychczas. Nie można było nie pokochać powiewu stepowego wiatru, niosącego na swych skrzydłach tchnienie rozmachu i wolności.

Wiedział, że tu wróci. Trudno było, zakosztowawszy raz barwnego uroku kresowych szlaków, przemóc tęsknotę za nimi. Już teraz zdawał sobie sprawę, że za wszelką cenę będzie się starał, aby choć od czasu do czasu móc zanurzyć się w tym barwnym, bujnym życiu.

- Tak - przerwał Dean panujące przy stole milczenie, usiłując nadać głosowi niefrasobliwe brzmienie - a więc już niedługo farma zostanie osierocona...

- Hm - chrząknął dość niepewnie Bandera, podnosząc oczy na Deana, którego słowa wydawały mu się akompaniamentem do jego rozmyślań. Czuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia wobec Deana - Ann...

- Nie, nie - przerwał mu z uśmiechem Dean - nie musisz się tłumaczyć. Ja tylko konstatuję fakt, nie wyciągając z niego żadnych wniosków... Taki już los ojców, że pozostają sami, a ostatecznie kilka czy kilka tysięcy mil - co za różnica? Dla myśli i serca odległość nie ma żadnego znaczenia...

- Będę zawsze przy tobie myślami, tatku - oświadczyła cokolwiek drżącym głosem Ann.

- No - zaśmiał się lekko Dean - to nie byłoby w porządku wobec twojego męża. Dla mnie wystarczy, jeżeli poświęcisz mi tylko cząstkę myśli, a i tak obawiam się, by Jacek nie był zazdrosny...

Bandera bawił się w zamyśleniu trzymanym nożem. Współczuł głęboko Deanowi. Zabierał mu przecież największy skarb, skazując go na osamotnienie na stare lata.

- Od dziś za dziesięć miesięcy będziemy znowu siedzieć przy tym stole - oświadczył wreszcie z mocą - to więcej niż pewne...

Ann podziękowała mu promiennym spojrzeniem.

- Nie bądź no taki pewny - głos Deana brzmiał już nieco weselej - nie

można przewidzieć, co się może stać przez dziesięć miesięcy małżeństwa...

- Myślisz, że moglibyśmy zapomnieć o farmie? - oburzyła się Ann.

- Nie - zaprzeczył Dean, zapalając fajkę - tego nie myślę, ale nie wiem, czy akurat za dziesięć miesięcy stan twojego zdrowia pozwoli ci na odbycie podróży przez morze. Kto wie, czy to ja nie będę musiał wlec swych starych kości do was...

- O - spojrzała na ojca z ukosa - dlaczego przewidujesz moją chorobę?

- Chorobę? - przeciągnął. - Broń Boże, nie miałem jej wcale na myśli. Ale

- otoczył się gęstymi kłębamii dymu - w małżeństwie zdarza się przecież...

Teraz dopiero zrozumiała. Gorący, krwisty rumieniec wystąpił ciemną łuną na jej policzki.

- Tatusiu - szepnęła cicho, spuszcżając oczy - jak możesz...

- Jak to jak mogę? - udał zdumienie Dean - przecież...

Trzask. Drzwi wejściowe otworzyły się nagle, wypchnięte gwałtownym uderzeniem. To, co się teraz stało, trwało chwilę krótką jak mgnienie oka. Nie zdążyli się nawet zorientować, nie zdążyli pomyśleć o obronie, gdy już leżeli na podłodze związani dokładnie rzemiennymi pętami. Nawet Ann nie uniknęła tego losu. Bawialnią zapełniła się nagle zakurżonymi postaciami o twarzach zasłoniętych chustkami, zawiązanyimi pod szerokimi rondami kapeluszy.

Bandyci - zdał sobie sprawę Bandera, krztusząc się od brutalnie wciśniętego w gardło knebla. - Boże... co z Ann?

Wykręcił z trudem głowę, szukając jej wzrokiem. Związana rzemieniami leżała nieruchomo na podłodze o kilka zaledwie metrów od niego. -

Czyżby zemdląła? - pomyślał z niepokojem, wpatrując się w jej pobladałą

twarz.

Ale nie. Po chwili dojrzał, jak błysnęły jej oczy.

Tymczasem bandyci, zupełnie nie zwracając uwagi na jeńców leżących na podłodze, gospodarowali w domu jak u siebie.

Dobrali się do szafy i po rozbiciu w drzazgi jej drzwi wyrzucili na podłogę całą zawartość. Tylko kilka sztuk ubrań przypadło im do gustu, odłożyli je bowiem po pobieżnych oględzinach na bok, resztę zaś zwalili na bezładny stos pośrodku pokoju. Gdy szafa zaświeciła absolutnie pustym wnętrzem, udali się na poszukiwania do dalszych pomieszczeń. Ich swobodne, pozbawione pośpiechu zachowanie wskazywało, że nie obawiają się zaskoczenia. Widocznie musieli przedtem unieszkodliwić całą załogę farmy.

Trzask rozbijanych mebli, dochodzących z gabinetu Deana, wskazywał na energiczne tempo poszukiwań. Na straży jeńców pozostał jedynie krępy mężczyzna w skórzanym ubraniu. Twarz jego szczelnie osłaniała barwna chustka, spod której wyglądały tylko usta i broda. Rozsiadł się wygodnie na krześle, bawiąc się niedbale trzymanym w rękę rewolwerem wielkiego kalibru. Zdawał się nie zwracać uwagi na leżących na podłodze. Jedynie oczy błyskające od czasu do czasu poprzez otwory, wycięte w chustce, ostrzegały przed zbytnią ufnością wobec pozornej obojętności.

Bandera wyprężył muskuły, wyteżając przy tym wszystkie siły.

Ostatecznie skórzane pęta nie wyglądały na nie do pokonania, a gdyby się udało... Wystarczyłby jeden skok w kierunku ospale wyglądającego strażnika, potem zaś, gdy już będzie miał w rękę jego rewolwer, tamci mogą sobie wracać. Nie było ich zresztą zbyt wielu, poradziłby sobie nawet z jednym tylko rewolwerem.

Elastyczny rzemień zaczął ustępować pod naporem mięśni. Jeszcze trochę. Perliste krople potu wystąpiły na czoło Bandery. Sprężył się cały do ostatecznego wysiłku...

W tej chwili strażnik poruszył się niespokojnie na krześle, ujmując zdecydowanym ruchem rękojeść rewolweru, którego lufę skierował nagle w sam środek czoła Bandery.

- Te! - zawołał groźnie, przy czym jego oczy zabłyśły w otworach chustki zielonkawymi płomykami - bez kawałów. Ja uważam!

Bandera spojrzał na bandytę. Jego gest rewolwerem był zupełnie przekonujący. W tych warunkach próba wyswobodzenia się z więzów nie miała najmniejszych szans powodzenia. Odruch desperacji mógłby jeszcze pogorszyć sytuację Ann, wzbudzając wściekłość napastników.

Zupełnie zrezygnowany, rozluźnił napięcie mięśni, postanawiając czekać na rozwój wypadków. Gdyby Ann zaczęło zagrażać bezpośrednio niebezpieczeństwo, nie będzie oczywiście przyglądał się obojętnie i wtedy wycelowany rewolwer nie powstrzyma go od próby działania, ale tymczasem...

Bandyta wstał z krzesła i podszedł do Bandery, nachylił się nad nim, sprawdzając więzy dotknięciami palców.

- Fiuu - gwizdnął przeciągle, skonstatowawszy rozluźnienie pęt - niezła siła, nie ma co mówić. Żeby aż tak rozciągnąć przyzwoite lasso! -

Wyraźnie zdumiony pokiwał głową, zaciągając rzemień, aż werznął się głęboko w skórę Bandery.

- Ale lepiej daj spokój z tego rodzaju gimnastyką - zakończył, wracając na swe krzesło - kilkanaście uncji ołowiu da radę największym nawet osiłkom.

Znowu zapadł w swą pozorną obojętność, jednak Bandera widział skierowany bacznie na siebie wzrok. Nie, teraz na pewno nie mógłby ująć jego uwagi nawet najmniejszy ruch więźnia.

Czas pełznął z zabójczą powolnością. Najbardziej męczyła go niepewność co do losu czekającego Ann i niemożności porozumienia się z nią. - Co ona sobie myśli, biedactwo? - zastanawiał się, wpatrzony w pobladłą twarz narzeczonej.

Po kilkunastu, a może tylko po kilku minutach, co do tego nie mógł sobie absolutnie zdać sprawy, ujrzał na progu gabinetu Deana postacie powracających bandytów. Ich gwałtowne ruchy świadczyły, że są wściekli. Widocznie nie znaleźli tego, czego szukali w porozbijanych sprzętach.

- No? - spojrzał pytająco na wchodzących bandyta, pozostawiony na straży.

Barczysty mężczyzna, stojący na czele gromady, wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Nic, a właściwie tyle co i nic. Osiemdziesiąt dziewięć i pół dolara na wszystkich. Nie ma co! Bajeczne skarby! - zaśmiał się chropowato.

Bandera podniósł na niego oczy. Głos zamaskowanego mężczyzny wydał mu się jakiś dziwnie znajomy.

Obserwacja nie zdała się jednak na nic. Nisko zwisająca chustka nie pozwoliła dojrzeć rysów mówiącego.

- Tak - podszedł teraz ku leżącemu z brzegu Deanowi i nachyliwszy się nad nim, wyjął mu knebel z ust.

Dean zaczął gwałtownie kaszleć, plując gwałtownie na wszystkie strony. Widocznie zupełnie miał już dość dławiącego knebla.

- Tfu... tfu... - parskał głośno - żeby was wszyscy diabli! - zaklął gniewnie,

chwytając łąpczywie wielkimi haustami powietrze. - Takie świństwo...

Uwolnijcie natychmiast dziewczynę od tej szmaty - przy ostatnich słowach głos jego nieco już okrzepł - bo się zadusi...

- Powoli... powoli, mister Dean - przerwał mu bandyta - o tym wszystkim właśnie chciałem pogadać...

Bandera aż drgnął, do tego stopnia wydawał mu się znajomy głos bandyty.

Wyteżył bezskutecznie pamięć, starając się przypomnieć, w jakich okolicznościach słyszał już te chropawe dźwięki, podobne do pociągania kamieniem o szkło. Nie było to bardzo dawno, to pewne. Ale kto to mógł być?

- Jeżeli dacie nam wasze pieniądze - tłumaczył dalej bandyta Deanowi - to uwolnimy was od swego towarzystwa... może nawet wyjmemy kneble z gardziółków...

- Pieniądze? - ryknął Dean. - Mam wam oddać moje ciężko zarobione pieniądze? A to niby z jakiej racji... zobaczycie je jak własne uszy...

- Smutne, co? - udał głębokie westchnienie bandyta - ale zapominasz, zdaje się, niestety, o waszej sytuacji.

- Gwiżdżę na sytuację - Dean aż wrzał z wściekłości - myślicie pewnie, że się was wszystkich boję? Jeszcze się taki nie urodził, kto by mógł zastraszyć Deana...

- Czyżby? - wzruszył obojętnie ramionami bandyta - taki jesteś pewien swego?

- A wyście może myśleli, że umrę ze strachu na widok kupy obszarpańców? - głos Deana brzmiał wyraźnie prowokująco.

- Czyja wiem? - bandyta wydobyl z kieszeni papierosa, wygładzając go skrupulatnie pomiędzy palcami - o siebie się nie boisz, a... o córkę?

- O! - wrzasnął Dean, poruszywszy się niespokojnie na podłodze. - Ośmielilibyście się... - w jego głosie nie było już jednak poprzedniej pewności.

- Cóż - odpowiedział obojętnie bandyta - jesteśmy na ogół dosyć śmiali... Właściwie zresztą nie mamy wiele do stracenia... I tak tego, co zebraliśmy dotychczas na naszych rachunkach, wystarczyłoby, aby nas wszystkich z całą paradą powiesić, a więcej nad powieszenie chyba nic nam już nie może grozić. Nie przypuszczasz więc chyba, byśmy mieli ochotę się z kimkolwiek cackać. Jedna historia mniej, jedna więcej, co za różnica... Umilkł, pograżając się w zapalanie wymiętoszonego papierosa, który nie chciał jakoś ciągnąć.

- A gdybym... gdybym wam dał pieniądze - bąknął Dean, przy czym głos jego brzmiał zupełnie cicho - jaką bym miał gwarancję, że dotrzymacie obietnicy?

- Gwarancję? - mruknął filozoficznie bandyta - pewno, że żadnej, poza moim słowem... słowem Wesołego Joego...

Bandera dławił się z wysiłku, usiłując wypchnąć językiem knebel. Wesoły Joe! Przecież gdyby mu przypomniał Harringtona...

- Dobrze - zdecydował wreszcie Dean - dam wam wszystkie moje pieniądze. Wierzę w słowo Wesołego Joego...

- Masz rację - kiwnął bandyta - możesz w nie wierzyć...

- A więc słuchajcie - Dean mówił już zupełnie spokojnie - w moim gabinecie w kominku drugi kamień od podłogi wyjmuje się. Tam jest skrytka...

- Niezły schowek - zaśmiał się krótko Joe - do kominka zaglądaliśmy, ale żeby próbować wyciągać kamienie, to by nam nigdy nie przyszło na myśl.



Dużo tam tego jest? - był wyraźnie zaciekawiony.

- Jak dla kogo. Dla mnie dużo, dla was może mało. Dwa tysiące pięćset dolarów. To jest cała gotówka, jaką posiadam w domu... Joe popatrzył przez chwilę bacznie w twarz Deana.

- Tak - potwierdził - skoro tak mówicie, na pewno nie ma więcej. Nikt jeszcze nigdy nie słyszał, by Dean skłamał. A teraz wyjmę wam wszystkim kneble. Widzicie - spod chustki znowu dał się słyszeć chropawy śmiech - jeszcze zanim sprawdziłem słowa co do pieniędzy...

Nachylił się nad Ann, wyjmując jej z ust dławiacą szmatę. Westchnęła głęboko z wyraźną ulgą. Nie powiedziała jednak ani słowa. Teraz nachylił się nad Bandera.

- O - osłupiał, spojrzawszy w twarz leżącego, a ręce jego zastygły nieruchomo wyciągnięte ku jego twarzy - co to?

Blask oczu wyzierających poprzez otwory chustki zmatowiał na chwilę.

- Uch - stęknął wreszcie ciężko, zrywając jednym szarpnięciem knebel - Bandera, ani chybi?

- Tak... - Bandera z trudem chwycił powietrze ustami - wcale się nie mylisz...

- Hm - Joe podrapał się w zamyśleniu w brodę - a co ty tu właściwie robisz?

- Mieszkam. Jestem zaręczony z panną Dean - oświadczył nie bez pewnej dumy

- Tsss - syknął bandyta strzepując palcami - powiadasz... zaręczony? - powtórzył, przeciągając słowa. - Oj - jęknął po chwili milczenia, wpatrując się dość bezmyślnym wzrokiem w twarz Bandery

- to niedobrze. Słyszycie, chłopcy - odwrócił się do swych towarzyszy - to

jest Bandera... ten sam co wtedy... przyjaciel Harringtona, i zaręczył się z panną Dean...

- Popatrzcie no - wzruszył ramionami jeden z zamaskowanych

- coś to tak wygląda, że pieniądze przepadły?

- Na to wychodzi - mruknął niezbyt zadowolonym głosem inny - drugi raz w ciągu tygodnia pudło...

Pozostali milczeli, tępo wpatrzeni w leżącego Bandereę.

- Ano - Joe wydobyl z za pasa nóż, przecinając więzy Bandery - skoro wszyscy jesteśmy tego samego zdania... I do tego jeszcze - dodał patrząc z żalem na skórzane skrawki opadające pod dotknięciem stali - całkiem nowiutkie lasso diabli wzięli.

- Powiedz mi - do Joego podszedł bandyta, który pilnował więźniów - kto to taki ten Bandera?

- Ach, prawda - spojrział na niego Joe. - Tares przy tym wszystkim nie był obecny. Otóż tego Bandereę uratowaliśmy kiedyś przed śmiercią z pragnienia, poza tym był przyjacielem Harringtona, razem z nim siedział w jednej celi, razem uciekli... i Bandera pochował na Diabelskiej Drodze Harringtona zmarłego od ran...

- A - pokiwał ze zrozumieniem głową bandyta nazwany Taresem - skoro tak, to rzecz oczywista - powrócił na swoje poprzednie miejsce, siadając z obojętną miną na krześle.

Uwolniony z więzów Bandera podniósł się z trudem z podłogi i rozprostował zdętwiałe mięśnie.

- Uff - sapnął z ulgą, przeciągając całe ciało - porządny z ciebie chłop, Joe. Byłem zresztą pewny, że tak się zachowasz - uściśnął mocno rękę bandyty.

- Et tam - wydał wargi tamten - cóż mam zresztą robić? Taki już mój pech,

żeby akurat narwać się na ciebie.

Zajął się przecinaniem więzów Deanowi.

Bandera jednym susem podbiegł do Ann, zrywając z niej pośpiesznie rzemienie.

Powstawszy z ziemi, ledwo zdołała się utrzymać na nogach, i gdyby jej nie przytrzymał, niechybnie runęłaby na podłogę.

- Nie wiedziałam - uśmiechnęła się wesoło, rozcierając sine pręgi na rękach - że masz tak szerokie znajomości...

- Widzisz - przytulił ją mocno do siebie - Wesoły Joe już kiedyś uratował mi życie.

Dean, zrobiwszy kilka kroków na mocno chwiejnych nogach, stanął przed Joem, patrząc na niego niepewnie. Prawdę powiedziawszy, nie mógł nic zrozumieć z niespodziewanej zmiany sytuacji.

- No więc - podparł się pod boki, zatykając kciuki obu rąk za pas - co będzie dalej?

Bandyta zdjął chustkę z twarzy, ocierając nią pot obficie perlący się na czole.

- Cóż - wzruszył ramionami - co ma być? Pójdziemy sobie, tak jak i przyszliśmy. To wszystko.

- A... a pieniądze? - zdziwił się Dean.

- Otóż to - westchnął tym razem z niekłamana szczerością bandyta - bardzo by się przydały, nie ma gadania. Ale co robić? Skoro Bandera żeni się z pańską córką... nie możemy ich wziąć. Nie da rady...

Bandera podszedł do bandyty i ujął go pod ramię.

- Słuchaj, Joe - rzekł zniżonym głosem - chciałbym z tobą trochę pogadać...

Joe spojrział na niego spod oka.

- Pogadać?... - wytarł z hałasem nos w chustkę służącą mu niedawno za maskę. - To pogadamy poszedł bez oporu za Banderą ciągnącym go ku oknu. - Ale - zastrzegł się z wyraźnym niepokojem - nie każesz mi chyba płacić za... hm... porozbijane meble?... Miałbyś może nawet rację, tylko... widzisz... nie jestem teraz przy gotówce... ot co...

- Nie - zaśmiał się wesoło Bandera. - Nie mam tak daleko idących wymagań. Powiedz mi szczerze, nie za bardzo się wam powodzi w ostatnich czasach, co?

- Powodzi? - zaśmiał się z goryczą Joe - jak psu w studni... Pudło za pudłem... po prostu nie ma co w gębę włożyć... tak się powodzi - opuścił ponuro głowę na piersi.

Bandera wsadził rękę pod bluzę i czegoś szukał przez dłuższą chwilę.

Joe obserwował te manipulacje spod oka. - Oblazło go coś, czy ki diabeł? - zastanawiał się, bezskutecznie usiłując wyłowić sens zachowania się rozmówcy.

Bandera wyciągnął wreszcie z zanadrza niewielkich rozmiarów zamszowy woreczek. Rozwiązawszy rzemień, zapuścił do środka dwa palce.

- Chciałbym - bąknął - podarować ci coś na pamiątkę... oto - podał bandycie jakiś niewielki przedmiot.

- He? - Joe wziął ostrożnie okrągły kamień wyglądający jak kawałek szkła

- cóż to znowu takiego?

- O! - zawołał nagle, podniósłszy kamień do oczu - diament? Wytrzeszczył oczy.

- Ależ - wyjąkał - przecież to jest warte nawet dla pasera co najmniej pięć dużych kawałków...

- Bardzo was krzywdzą paserzy w takim razie - uśmiechnął się Bandera. - Jubiler z Neavill ocenił kamyczek na okrągłe osiem tysięcy...

- I... to ma być dla nas? - Joe obracał diament niezdecydowanie w palcach.

- Znaleźlibyście znacznie więcej, gdybyście zechcieli mnie przeszukać - oznajmił Bandera, zniżając głos niemal do szeptu. Mimo wszystko nie sądził, by można było bez zastrzeżeń ufać wszystkim członkom bandy Joego.

- Uhum - Joe pokwitował tę wiadomość niewyraźnym chrząknięciem - to, jak widzę, okropnie się dorobiłeś?

- Et - zaprzeczył śmiejąc się Bandera - tak znowu okropnie to nie, ale w każdym razie ten diament mnie nie zuboży, to pewne... Dostałem, widzisz, spadek po stryju - wyjaśnił.

- Nie zuboży... nie zuboży - mruzczał pod nosem Joe - tak się tylko mówi. I to ma być wynagrodzenie za to, że zaniechaliśmy rabunku? - spojrzał nieufnie na Bandere. - Przecież Dean chciał dać nam wszystkiego dwa i pół kawałka... i z tym byśmy poszli, a szukać u ciebie pod bluzą na pewno nikomu nie wpadłoby na myśl... więc co za kalkulacja?

- Wcale nie za uratowanie pieniędzy Deana - zaprzeczył żywo Bandera. - Tylko tak sobie, przyjacielski podarunek. Źle wam się powodzi. A pamiętasz, jak wtedy, gdy umierałem z pragnienia?... Każda kropla wody była dla mnie na pewno cenniejsza od tysiąca diamentów, więc teraz, gdy ja z kolei wam mogę oddać przysługę...

- Chłopcy! - zawołał na cały głos Joe, entuzjastycznie potrząsając rękę Bandery - czy słyszycie, co się tu dzieje? Bandera podarował nam drobnostkę wartą osiem tysięcy, i to nie w związku z dzisiejszym napadem ani z uratowaniem mu kiedyś życia... przyjacielski podarunek!

Ośłupiałe ze zdumienia oczy bandytów zawisły na kamieniu, trzymanym przez dowódcę wysoko ponad głową.

- O! - zerwał jeden z nich kapelusz z głowy powiewając nim na wszystkie strony - chłopcy, trzykrotnie hip, hip, hura na cześć Bandery!

Ściany bawialni zatrzęsły się od gromkich okrzyków bandytów.

Przy Banderze zrobiło się nagle tłoczno. Bandyci otoczyli go ze wszystkich stron ciasnym kołem. Każdy z nich uważał za swój obowiązek uścisnąć dłoń hojnemu ofiarodawcy. Na pozostałych jeńców nie zwracali najmniejszej uwagi. Dean mógłby niewątpliwie bez większego trudu wyciągnąć każdemu z nich rewolwer z pochwy i powystrzelać bandytów do nogi, ale taka myśl nie powstała mu w głowie nawet przez ułamek sekundy.

Patrzył skamieniały ze zdumienia na rozgrywającą się przed jego oczyma scenę. Widział już w życiu niejedno, ale coś podobnego?...

Nie, nie mógł się przecież w żadnym razie spodziewać takiego obrotu sprawy.

- Chłopcy - podniósł głos Joe, starając się przekrzyczeć wrzawę - zła passa minęła. Znowu jesteśmy górą. A jeżeli stary Pears zechce nam dać za kamień choćby centa mniej niż sześć tysięcy, obedrzemy go żywcem ze skóry. Już i tak ta pijawka za bardzo się na nas tuczy!

- Nareszcie - zawołał jeden z bandytów, sądząc po głosie jeszcze młody chłopak - nareszcie będziemy się mogli zabawić jak należy.

Bandera wsłuchiwał się z napięciem w jakiś ledwo uchwytny dźwięk, docierający przez otwarte okno.

Twarz jego spoważniała. Słuch miał nadzwyczajny i było nieprawdopodobne, aby się mylił. Dla niego zresztą dźwięki brzmiały już

zupełnie wyraźnie, choć nikt z pozostałych, obecnych w bawialni, jeszcze ich w ogóle nie słyszał.

Szarpnął za rękaw Joego i pochyliwszy mu się do ucha, coś szepnął.

- O - wzdrygnął się Joe - czyżby? Cisza tam! - wrzasnął gromkim głosem.

Hałasy ustały nagle, jakby ucięte nożem.

W zapadłą ciszę zaczęły się wdzierać dźwięki jeszcze przytłumione, jeszcze niewyraźnie, ale już nie mogące budzić wątpliwości co do swego pochodzenia. To były uderzenia kilkadziesiątu kopyt o ziemię.

- Właśnie - Joe skrzywił się, jakby połknął coś wyjątkowo niesmacznego - naturalnie, mister Winsney ze swoją kompanią. Nie mogą widać żyć bez nas i umierają z tęsknoty za naszym widokiem. Depczą nam już od kilkunastu dni po piętach. No, chłopcy, na nas już czas! - Bandyty wymknęli się szybko na podwórze. Po chwili lekki zgiełk oznajmił, że dosiadali koni. W bawialni został jeszcze tylko Joe.

- I na mnie już czas - nasłuchiwał coraz głośniejszych z każdą chwilą dźwięków. - Bywaj - uścisnął dłoń Bandery. - Nigdy ci nie zapomnę twojego kamyczka i twojego... słuchu... Do widzenia... przepraszam - skłonił się niezgrabnie przed Ann i Deanem, znikając w drzwiach.

Zagrzmiały staccato kopyta o kamienie, oddalając się w stronę północy.

Od południa nadciągały inne dźwięki, potężniejąc z każdą sekundą.

Gdy drzwi otworzyły się, pchnięte energicznie, odgłosy ucieczki bandytów ucichły już w oddali.

- O - Winsney zatrzymał się zdziwiony na progu, opuszczając lufą ku ziemi trzymany w ręku rewolwer - gdzież się podzieli?

- Kto? - zapytał z niewinną miną Bandera.

- Jak to kto? - Winsney obrzucił baczny spojrzeniem pokój, w którym

spodziewał się zastać inną scenę. Teraz dopiero zasunął bezpiecznik rewolweru. - Wesoły Joe, oczywiście!

- Aha, to o niego wam chodzi - Bandera pokiwał głową, mając przy tym całkiem niemądrą minę - uciekli...

- Dawno?

- Hm - zastanowił się Bandera. - Pytacie, czy dawno - rozciągał z niemożliwą powolnością słowa, niemal recytując je poszczególnymi głoskami. - Nie... żeby... tak znów bardzo dawno, to nie można powiedzieć... ale żeby w tej chwili to też nie... jednym słowem, jakiś czas w każdym razie upłynął... nie bardzo wielki... ale zawsze... - tłumaczył szeryfowi z wielką powagą. Ktoś, kto by go po raz pierwszy ujrzał i słyszał byłby niewątpliwie pewny, że ma przed sobą ostatniego matołka. Ann, przysłuchując się narzeczonemu, z trudem powstrzymywała cisnący się na usta śmiech.

- Et - zachnął się Winsney - może pan - zwrócił się do stojącego przy oknie Deana - powie mi, w którą stronę uciekli?

- Ba - podrapał się w siwą czuprynę Dean, patrząc z ukosa na zaniepokojoną twarz Bandery - jeżeli wam o to chodzi... - umilkł, popadając w głęboką zadumę.

- Co się tu dzieje! - ryknął rozwścieczony szeryf - kpiny sobie wszyscy ze minie robicie, czy co?

Dean milczał wpatrzony z wytężoną uwagą w jakiś kamień tkwiący w bruku podwórza. Winsney podszedł do Ann.

- Może choć pani odpowie mi na pytania?

- Ja? - mrugnęła łobuzersko okiem do Bandery - ale skądże. Bardzo źle pan trafił. Wcale się nie interesuję bandytami... ja... - nie wytrzymała i



parsknęła niepohamowanym śmiechem. Odwróciła się pospiesznie do ściany.

Winsney szarpnął się w tył, wytrzeszczając oczy.

- Co... co... - wyjąkał niepewnie. - Co to ma znaczyć? - zdołał wreszcie wykrztusić, chwytając się oburącz za głowę - albo ja oszalałem, albo...

- Niech się pan nie gniewa, szeryfie - przerwał mu Dean, uważając dalsze przeciąganie tej sceny za ryzykowne - ale, widzi pan, jesteśmy wszyscy okropnie zdenerwowani napadem i... - w jego oczach zabłyśły ogniki śmiechu.

- Zdenerwowani? - zdawało się, że oczy Winsneya za chwilę wyskoczą z oczodołów - o... okropnie zdenerwowani, Dean, Bandera i miss Ann? - sapnął bezradnie - to... to przecież niesłychane...

- Trudno - po ustach Deana przemknął przelotny uśmiech - to się może zdarzyć każdemu. Ale już przeszło... przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

Otóż - rzucił ukradkiem spojrzenie na zegarek tkwiący w skórzanej bransoletce opasującej przegub jego lewej ręki - pytaliście się mnie przed chwilą, w którą stronę bandyci uciekli? - urwał wyczekująco.

- Pytałem! - warknął Winsney.

- Po pewnym namyśle mogę wam już teraz na to pytanie odpowiedzieć. Uciekli w tamtym kierunku - machnął ręką ku północy.

- Dziękuję - w głosie szeryfa dźwięczała wyraźnie nuta z trudem hamowanej wściekłości - ale na to, by doczekać się od was tej odpowiedzi, musiałem stracić pół godziny cennego czasu...

- Nie - zaprzeczył uprzejmie Dean - z całą pewnością się pan myli...

- Jak to?

- Na pewno się pan myli - potwierdził Dean, spojrzawszy znowu na

zegarek - straciliśmy zaledwie piętnaście minut. Właśnie przed chwilą to sprawdziłem.

Szeryf zacisnął pięści. Mogłoby się wydawać, że rzuci się na Deana.

- To już przechodzi wszelkie pojęcie - głos jego wypłynął jękiem z gardła.

- Aleja tu jeszcze wrócę, aby to wszystko wyjaśnić. W tym tkwi coś niejasnego.

- Oczywiście - potaknął Dean - ta niejasność aż piszczy. Gdy wróci pan z pościgu, wszystko panu wyjaśnię...

Winsney wypadł przez drzwi jak pocisk. Poprzez otwarte okno wdarł się do bawialni obłok pyłu, podniesionego przez pędzące en carriere konie.

- Nie mogę - zawołała Ann, dusząc się od śmiechu. - Gdyby Winsney mógł zobaczyć swoją minę... - Po jej policzkach spływały ciurkiem łzy.

- Ann - Bandera przytulił mocno do siebie narzeczoną - byłaś wspaniała...

- Tak... tak... - Dean patrzył z uśmiechem na nich. - Dla was to śmieszne, a stary ojciec pójdzie do ciupy, pokutować za współudział w ucieczce bandytów. Winsney nie daruje swego, zobaczycie.

Omylił się jednak.

Gdy w kilka godzin później Winsney, do ostateczności zziębnięty uganianiem się po górach za nieuchwytnymi bandytami, zjechał wraz ze swą nie mniej zmęczoną kompanią i usłyszał opowiedzianą ze wszystkimi szczegółami przez Deana historię napadu... ustąpił na całej linii. Z początku wprawdzie marszczył gniewnie brwi, burcząc jakieś urzędowe, groźnie brzmiące formułki pod nosem, ale w końcu nie wytrzymał, wybuchając wraz z innymi śmiechem na wspomnienie swej miny wywołanej sposobem udzielania przez mieszkańców farmy informacji o bandytach.

Przyznał zresztą, aczkolwiek mocno niechętnie, że po niespodziewanym zakończeniu napadu nie mogli inaczej postąpić.

Jak się okazało, Winsney nie był całkiem pozbawiony poczucia humoru. Podobno nawet na drugi dzień uważał tę historię za jeszcze bardziej zabawną, a gdy ją opowiadał po upływie kilku lat, wprost ryczał ze śmiechu...

## **OJCZYSTY BRZEG**

„Batory” sapał monotennie stalowym sercem niestrudzonego motoru, przecinając wyniosłym dziobem wełnistą toń szarosinych, wpadających miejscami w niemal nieprzezroczysty granat, fal.

Horyzont zaścielały nisko nawisie, ciężkie chmury. Na wschodzie poprzez przedartą zasłonę skołtunionych obłoków przebierał skrawek nieba, gęsto zasiany zimno połyskującymi plamami gwiazd.

Potężne cielsko okrętu drgało, wstrząsane krótkim, urywanym dreszczem chwiejby. Ostre podmuchy lodowato zimnego wiatru przejmowały przenikliwym chłodem do szpiku kości. Nic zresztą dziwnego. Był to dopiero początek wczesnej wiosny.

Pomimo późnej pory i zimna na zalanych elektrycznym światłem pokładach poruszały się sennie sylwetki otulonych w ciepłe okrycia podróżnych. Wielu nie potrafiło zasnąć podczas ostatniej spędzonej na morzu nocy.

Bandera stał na pokładzie spacerowym, wpatrując się wyteżonym wzrokiem w ciemność pokrywającą powierzchnię wody. Trwał tak w bezruchu od paru godzin. On też nie zdołał zasnąć. Podróż dobiegała

końca. Jeszcze trochę i stanie znów na ojczystym brzegu. Jakże tu spać w tych warunkach?

Wymknął się z kabiny, pozostawiając w głębokim, beztroskim śnie Ann. To była ciężka, męcząca podróż. Nie tylko z powodu wiosennych kaprysów morza. Komunikaty radiowe przynosiły ze wszystkich stron alarmujące wieści. Nad kontynentem zbierały się nabrzmiałe elektrycznością chmury. Lada chwila groziło wybuchem przerażającej burzy. Któż mógł przewidzieć, czy ominie Polskę?

Mieli wyruszyć za trzy miesiące, jednak wieści z dalekiego świata przyśpieszyły decyzję podróży. Bandera chciał za wszelką cenę zdążyć na czas. Ojczyzna mogła go potrzebować. Ann rozumiała dobrze, co się dzieje w sercu męża. Ani jednym słowem nie próbowała odwlec momentu opuszczenia farmy. Przeciwnie. Pokrywając smutek z powodu rozstania z ojcem odważnym uśmiechem, nagliła sama do pośpiechu. - Nasze miejsce jest tam - oświadczyła, gdy z nadesłanych z przeszło tygodniowym opóźnieniem gazet powiało widmem krwawej grozy. A przecież musiała sobie niewątpliwie zdawać sprawę, że opuszcza cichy, wolny od wszelkich burz zakątek, by wstąpić na podminowaną ziemię starego lądu.

Kochana, dzielna dziewczyna. - Bandera położył rozpalone dłonie na chłodnym, metalu poręczy. Gorąca fala tkliwości podpłynęła mu do serca. Ann naprawdę była dzielna. Nie pozwoliła nawet wspomnieć o pozostaniu w farmie, dopóki horyzont nad starym lądem nie ulegnie przejaśnieniu. - Moje miejsce jest przy tobie - oświadczyła stanowczo, przecinając słowa Bandery, gdy odezwał się o tym nieśmiało. - Będziemy razem w dobrej i złej doli. Tym bardziej w złej.

W oddali zamigotały liczne światełka. Rosły z każdą niemal chwilą,

znacząc na wodzie migocące plamy. Z zasłony mroku wynurzyły się niewyraźne kontury kilku statków, przecinających drogę „Batorego”. Widać je było coraz dokładniej. Na przodzie sunął wielki stalowy potwór, szczerząc groźnie ramiona potężnych dział. Za nim utykało w falach kilka mniejszych, przysadzistych sylwetek.

Przy balustradzie przystanął jakiś marynarz. Żar fajki rzucił krwawy refleks na mocno ciosane rysy jego twarzy. Patrzył przez chwilę na przepływającą eskadrę.

- Ttak - rzucił przez zęby, pykając fajkę - to oni... Bandera potaknął milczącym skinieniem głowy. Wszelkie objaśnienia były zbędne. Obydwaj wiedzieli dobrze, kto i skąd wraca.

- Udało się im - mruknął marynarz. Okręty ginęły powoli w czerni nocy. Marynarz zasunął ręce głęboko w kieszenie spodni i odszedł, mrucząc coś niewyraźnie pod nosem.

Poprzez chmury zaczęła się przesączać nikła szarość wstającego dnia. Z prawej strony zaczerniała wąska klinga wbitego w morze sztyletu Półwyspu Helskiego. Łyskało mdło oko latarni wznoszącej się na końcu cypla, walcząc z jasnością świtu. W głębi Zatoki Puckiej mrugały, podobne do odbijanych lustrem promieni słonecznych, przerywane błyski latarni w Rozewiu.

Bandera wciągnął pełną piersią mroźne powietrze. Teraz już wiedział, że zdąży. Gdy stalowa pierś okrętu pruła obce wody, nie był tak znów tego zupełnie pewny. Wrogie moce mogły zastąpić mu drogę do Ojczyzny. Teraz już nie. Fale, uderzające w boki statku, były już falami polskiego morza.

W oddali zamajaczyła matowa panorama zbliżającego się lądu.

- Jacku...

Drgnął, wytrącony cichym głosem z głębokiej zadumy. Ann stała tuż przy nim. Fałdy jej luźnego płaszcza wydymały się w podmuchach wiatru jak żagiel.

- Nie zimno ci, kochanie? - zapytał z niepokojem, wpatrując się w jasną plamę jej twarzy. W czasie długotrwałej podróży Ann wyraźnie zmizerniała.

Uśmiechnęła się zuchowato.

- Nie - pokręciła głową. - Masz mnie za takiego zmarzłucha?

Było jej jednak zimno. Wskazywały na to pobladłe wargi.

Otoczył szczupłą postać opiekuńczym ramieniem, przygarniając mocno do siebie. Odczuł lekkie drzenie przebiegające po jej ciele.

- Jeszcze mi się zaziębisz na samym końcu podróży - usiłował pokryć niepokój gderliwym mruzeniem. Przytuliła się do niego.

- Ani mi nawet w głowie. Nie gniewaj się, że wyszłam na pokład. Ale widzisz... chciałam jak najprędzej ujrzeć moją nową ojczyznę.

- To - Bandera zatoczył szerokim gestem wokoło, jakby chciał przycisnąć do piersi ziemię, ku której się zbliżali - już Polska.

Zapadła chwila uroczystej powagi. Patrzyli w milczeniu przed siebie na coraz bardziej określone zarysy lądu. Ażurowe szkielety dźwigów portowych sterczały stalowymi ramionami ku niebu, odcinając się od szarego tła nieba.

Robiło się coraz, jaśniej. Kolorowe światelka sygnałów portu nagle zgasły. Wszystkie pokłady napełniły się tłumami ludzi. Nerwowa krzątanina zwiastowała kres długiej wędrówki.

Na dziobie statku zabrzmiały uroczyste, pełne powagi dźwięki „Mazurka

Dąbrowskiego”. Bandera zeszywniał, stając odruchowo na baczność.

Hymn zamarł w pożegnalnym akordzie. „Batory” wchodził do portu.

Ann wspięła się na palce, przechylając głowę. - Jacku - szepnęła cichutko.

- Co, kochanie? - ogarnął rozmiłowanym wzrokiem jej twarzyczkę.

- Bo widzisz... - szept jej stał się ledwo dosłyszalny. - Tatko miał rację. -

Ja... - przytknęła usta niemal do jego ucha - nie będę mogła na przyszłe wakacje pojechać do Ameryki...

- Jak to? - spojrzał na nią nieco zaskoczony, nie mogąc zrozumieć o co jej chodzi. - Dlaczego nie będziesz mogła?

- Bbo... - zająknęła się - bo - powtórzyła pesząc się coraz bardziej pod jego badawczym wzrokiem - ja... - umilkła, przesłaniając oczy powiekami. Na twarzy jej wystąpił gorący rumieniec.

Nagle zrozumienie radosnej prawdy błysnęło w jego mózgu jasnością błyskawicy.

- Ann! - zawołał niemal na cały głos. - Jesteś pewna? - usiłował jej zajrzeć w oczy. Wargi Ann rozchylił promienny uśmiech.

- Tak - skinęła głową - jestem zupełnie pewna. Przywozisz Polsce więcej aniżeli jednego nowego obywatela. Wylądujemy we troje...

- Ann! - porwał ją w objęcia, nie zważając na tłumy otaczające ich ze wszystkich stron. - Taki jestem szczęśliwy...

- Oooo - bąknął zaniepokojony nagle i odsunął ją delikatnie, jak jakiś niezmiernie kruchy przedmiot - wybacz... może nie można...?

Zarzuciła mu ramiona na szyję, kryjąc zarumienioną twarz na jego ramieniu.

- Można... kochany. Jeszcze... można. Kocham cię, Jacku - ostatnie słowa wymówiła po polsku z zupełnie poprawnym akcentem. Sama jedna tylko

wiedziała, jak wiele trudu kosztowało ją wyuczenie się tego krótkiego zdania. To miał być jej drugi dar dla męża w chwili wstępowania na ojczysty brzeg. Na ten też moment zachowała zakomunikowanie mu radosnej wieści, choć sama wiedziała o niej już od dawna.

Przyjął też oba dary z sercem przepojonym żarliwą wdzięcznością.

Ojczysta mowa w jej ukochanych ustach?

Podziękował jej gorącym pocałunkiem, w który włożył całą siłę swego uczucia. Nauczy się po polsku. To było jego najtajniejszym pragnieniem. Nieraz bolał w głębi serca, że musi naginać słowa miłości w sztywne formy obcego języka.

Gdy znowu spojrzeli przed siebie, ku lewej burcie statku zbliżał się już kamienny masyw mola portowego.

W tłumie zalegającym molo Bandera dojrzał poraną zmarszczkami twarz ojca.

Żałośnie zapiszczały sznurowane boje, przytłaczane stałą boków morskiego olbrzyma do szorstkiej powierzchni betonu.

Na pokład opadła z głuchym stukotem przerzucona z brzegu schodnia.

Przytuleni do siebie ruszyli w ślad za wypływającym na brzeg tłumem.

Poprzez rozdartą podmuchem wiatru zasłonę chmur przebił się złocisty promień słońca, padając na ich głowy. Bandera powitał go radosnym uśmiechem. - Patrz, Ann - przycisnął jej ramię do swego boku - oto zapowiedź szczęśliwego jutra...

Tadeusz Kostecki urodził się w 26 maja 1905 r. w Białej Podlaskiej. Po ukończeniu studiów prawniczych zaczął pracować w sądzie w Skierniewicach, następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie podjął pracę w



sądzie grodzkim. Po wybuchu II wojny światowej znalazł się w hitlerowskim obozie jenieckim w Prusach Wschodnich, z którego został wykupiony przez żonę. Wojnę spędził w Warszawie, a po jej zakończeniu przeniósł się do Katowic, gdzie pracował jako adwokat do 1949 r. Następnie ponownie zamieszkał w Warszawie. Tam też zmarł 30 maja 1966 r.

Swoje powieści pisał, używając pseudonimów: Krystyn T. Wand, W.T. Christine, T. Kryswan. Zadebiutował w 1938 r. cyklem książek o tematyce Dzikiego Zachodu (Żółtodziób, Krwawy szlak pogranicza, Kanion Słonej Rzeki, Czerwony diabeł). Po ukazaniu się pierwszych książek w recenzjach podkreślano, że „główną zaletą powieści T. Wanda jest ich interesująca, często pełna napięcia dramatycznego treść, oraz zwięzła, logicznie skomponowana konstrukcja, o umiejętnym rozłożeniu efektów narracyjnych”.



Również w czasie okupacji niemieckiej pisał powieści (m.in. ciąg dalszy Żółtodzioba), niestety ich maszynopisy spłonęły. Kolejne powieści Tadeusza Kostekiego ukazywały się w latach 1946-1948 i od 1955 r.

Nazwano go „klasykiem polskiej literatury sensacyjnej”. W jednej z recenzji zauważono, że autor należy do „najtęższych z naszych autorów sensacyjnych”, a książka *Zaulek mroków* to „bez wątpienia jest to najlepszy z powojennych ‘kryminałów’ cały czas trzymający czytelnika w napięciu i przynoszący czytającemu w efekcie wszystko, co dobra powieść tego rodzaju dać powinna”.

W powieściach, których akcja toczy się na terenie Anglii (*Waza z epoki Mingi Kaliber 6,35*), bohaterem jest płk Reginald Pentham - były oficer Secret Service, który rozwiązuje zagadki, z którymi nie radzi sobie zawodowa policja.

Bohaterem powieści kryminalnych, których akcja rozgrywa się w Polsce, jest Jerzy Kostrzewa - lekarz chirurg, który został oficerem śledczym. W kolejnych powieściach Kostrzewa opuszcza milicję i jest tylko osobą prywatną pomagającą w rozwiązywaniu trudnych spraw.